

WYBRODZENIE



fabryka słów

TAMTA
STRONA
CZASU

TAMTA STRONA CZASU



EUGENIUSZ DĘBSKI

TAMTA
STRONA CZASU



Lublin 2011

COPYRIGHT © BY Eugeniusz Dębski
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2008
WYDANIE I
ISBN 978-83-7574-407-1

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA
Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI
Paweł Zaręba

GRAFIKA NA OKŁADCE
Marek Okoń

PORTRET AUTORA
Agnieszka Orłowska

REDAKCJA
Katarzyna Bagier

KOREKTA
Urszula Gardner

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ
lesiojot



Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

Nie jesteś dziś człowiekiem, Marlowe.
Może nigdy nie byłem i nigdy nie będę.
Może jestem porcją ektoplazmy z licencją detektywa.
Może wszyscy powoli stajemy się tacy w tym zimnym,
niedogrzanym świecie, gdzie zawsze dzieją się rzeczy
niewłaściwe, a nigdy właściwe.

Raymond Chandler
Siostrzyczka



Prolog

Automatyczny dezynfektor przemierzał korytarz oddziału reanimacji cztery razy na dobę. Wyglądał jak duży tłok bez dna. Bezsensownie i uparcie usiłował sprężyć powietrze w czworokątnym cylindrze pomieszczenia. Najeżdżał na mnie już dziewięć razy. Teraz przystanął, cierpliwie czekając aż przejdę przezeń jak tresowany tygrys przez płonącą obręcz. Skierował się na koniec korytarza, pod okno, gdzie szczególnie starannie oczyszczał ściany i podłogę z naniesionych przeze mnie bakterii. Za każdym razem, gdy przygotowywałem się do skoku przez obręcz, tryskał mgłą jakiegoś preparatu, dzięki czemu chyba już po drugim razie cały tchnąłem specyficznym szpitalnym zapachem czystości, świeżości i choroby. Po każdej dezynfekcji szedłem do łazienki, by przynajmniej z twarzy i dłoni zmyć osad dezopary. Gdy dziewiąty raz wróciłem z sanitariatu i oparłem się o ścianę przy oknie, dobiegł mnie szept:

- Pst! Proszę pana!

Pielęgniarka stała w głębi korytarza, trzymając dłoń na klamce, drugą ręką przywoływała mnie, jakby sam szept nie wystarczał. Szybko przemierzyłem dzielący mnie od niej odcinek. Zasłoniła piersią drzwi i zatrzymała mnie gestem otwartej dłoni.

- Odzyskał przytomność - powiedziała wolno i wyraźnie jakby w obawie, że słabo znam amerykański i mogę ją opacznie zrozumieć. - Żadnych rozmów! Może go zabić głośniejszy dźwięk. Tylko dlatego pana wpuszczamy, że on ciągle pana wzywa i denerwuje się. Proszę go uspokoić i zaraz wyjść.

- Dobrze, siostró. Przyrzekam.

Wpatrywała się we mnie kilkanaście sekund, szukając w moim spojrzeniu pretekstu, który pozwoliłby jej wycofać się z zezwolenia. Bardzo, najbardziej w świecie pragnęła nie wypuścić mnie do Yayo, ale nie miała szczęścia. Odsunęła się, okraszając ten ruch zgrzytem zaciskanych zębów.

Trąciłem końcami palców klamkę i gdy drzwi wsunęły się w ścianę, wszedłem do pokoju. Trzy długie, ciche kroki przeniosły mnie do łóżka, na którym w płataninie różnej grubości przewodów i rurek leżał Yayo. Oplatało go to wszystko szczelnie niczym kilka warstw sieci narzuconej na ciało. Widoczne było tylko jedno oko, prawe. Po chwili, gdy zaczął mówić, odsłoniła się mała szczelinka w miejscu ust. Powieka na krótko odsłoniła gałkę oczną, mętną i z krwawymi zaciekami. Szept był niesłyszalny. Pochyliłem się nad nim. Chciał coś powiedzieć. Gdy tę samą sekwencję dźwięków usłyszałem chyba piąty raz, dopiero zrozumiałem. Spróbowałem nadać swej twarzy dziarski wyraz i wyprostowałem się. Uśmiech kosztował mnie tyle energii co wypchnięcie ciężarówki z błotnistej dołu, ale udało mi się na krótko przykleić go do twarzy.

- Dobrze, Yayo. Będę uważał, na pewno. Nie przejmuj się mną i szybko wracaj do roboty, nie stać mnie na fundowanie ci wylegiwania się tutaj. Skracaj pobyt do minimum. No! - Kiwnąłem energicznie głową i poszerzyłem uśmiech. - Na razie!

Starłem się nie śpieszyć, specjalnie zrobiłem aż cztery wolne kroki i jeszcze od drzwi pomachałem dłonią. Dopiero gdy drzwi zamknęły się, biegiem ruszyłem do najbliższej toalety.

Woda była za ciepła, choć spłynęło jej kilkadziesiąt litrów na moją twarz i głowę; lustro, pozornie gładkie i czyste, wciąż odbijało obcą, rozfalowaną twarz, a przynajmniej twarz, jakiej nie chciałbym nosić - szarą, ozdobioną jak tani tort dwoma rodzynkami rozbieganych, wytrzeszczonych oczu. W stulonych dłoniach nie udało się utrzymać więcej niż kilkadziesiąt kropli wody. Długo piłem. Zużyłem pół rolki ręcznika. Skutek był taki, jakiego oczekiwałem, czyli zaden.

Na końcu korytarza znalazłem drzwi z napisem: Walter C. Olheiser. Dotknąłem klamki. Wstał na mój widok, gestem wskazał fotel. Sam, po chwili wahania, podszedł do szeregu kaset tworzących jedną ze ścian pokoju i z jednej wyjął butelkę bourbona. Bez zbędnych pytań nalał mi pół szklanki i charknął sobie. W jego porcji nie utopiłaby się nawet sparaliżowana mucha. Podał mi szklankę i usiadł w drugim fotelu. Przytrzymałem pierwszy łyk na języku, aż poczułem smak alkoholu. Trwało to długo, ale następne łyki były już szybsze.

- Posłucha pan pana Radera? - zapytał.

- Co?

- Mamy, oczywiście, podgląd do separatki. Zrozumiałem, że prosił, aby pan wycofał się z tej sprawy.

- Jest pan pewien? - zabełtałem whisky.

- Jestem. Zresztą jego stan jednoznacznie wskazuje, że macie do czynienia ze zwierzętami, bestiami. Nawet zwykły oglądacz kryminalów zrozumie, że nadepnęliście komuś na odcisk. - Wychylił się w moją stronę i starał się mówić bardzo przekonująco.

- Rzadko oglądam kryminały - zapaliłem papierosa i zaciągnąłem się ostrożnie.

Doktor Walter C. Olheiser nie rozumiał mnie albo udał, że nie rozumiał, wstał po jakąś tekturkę. Usiadł ponownie i położył kartonik na stoliku. Patrzyłem w ścianę.

- Panie Yeates - nie ustawał - Rader ma oderwane prawe ucho, wybite lewe oko, złamaną prawą stronę żuchwy, złamane lewe ramię, prawe przedramię, wyłamane palce lewej dłoni. Dalej... - nabrał powietrza do płuc - ...odbitą prawą nerkę, zmiażdżone lewe jądro i prawe kolano, złamaną lewą goleń i pogruchothane prawe śródstopie. Niech pan popatrzy - podsunął mi kartonik.

Oderwałem wzrok od ściany. Sylwetka mężczyzny narysowana czarną kreską na białym papierze była upstrzona czerwonymi znaczkami. Gdyby poprowadzić od góry ku dołowi kreskę łączącą te znaczki, utworzyłaby nieregularną spiralę. Mężczyzna na kartoniku nie miał rysów twarzy Yayo, ale to był on. Zatrzęsła mi się głowa, jakby puściły jakieś

przeguby albo kręgi szyjne nabrały nagle luzów.

- Zaserwowali Raderowi gigantyczną porcję środków znieczulających - powiedział.

Pomyślałem, że część tej porcji przydałaby się teraz i mnie. Walter C. Olheiser musiał być kiepskim lekarzem, skoro tego nie zauważył. Musiałem postukać palcem w szklankę, by zrozumiał czego mi trzeba. Westchnął i przyniósł butelkę. Zaoszczędził trochę, pomijając siebie, ale do mojej nalał szczerze.

- Tylko dlatego jeszcze żyje - podsumował i zawiesił głos.

Wlałem do ust połowę porcji.

- Będzie żył? - zapytałem, patrząc przed siebie.

- Być może. Jeśli przetrzyma te dawki leków, osłabienie spowodowane upływem krwi i parę jeszcze rzeczy. Wie pan, mam już długą praktykę, rzadko angażuję się uczuciowo w leczenie jakiegoś pacjenta, muszę mieć dystans, ale tak jak współczuję Raderowi... - sięgnął bez pytania do mojej paczki i zapalił również. Przez chwilę szamotał się wewnątrz, ale w końcu nie nalał sobie już ani kropli. - Obiecuję, że zrobię wszystko co możliwe... - zakończył zdanie wzruszeniem ramion.

Złamałem papierosa w popielniczce i starannie go zgaśliem. Uścisnęliśmy sobie dłonie bez słowa. Dopiero pod drzwiami przypomniałem sobie coś, o co chciałem zapytać. W tej samej chwili Olheiser zawołał:

- Panie Yeates! Może przyda się panu na coś ta karteczka, która... - odchrząknął - ...była przypięta do penisa Radera.

Sięgnął do stosu papierów na biurku i zrobił dwa kroki z wyciągniętą dłonią. Mały karteluszek był poplamiony krwią. Wziąłem świstek do ręki i przeleciałem wzrokiem kilka wierszy, kombinację łacińskich nazw, skrótów i ekierok. Zwykła czcionka z małej, kieszonkowej drukareczki, jakich miliony noszą w kieszeniach rodacy. Olheiser zakręcił palcem w powietrzu, odwróciłem kartonik. Tu tekst był bardziej dla mnie zrozumiały: „Mamy całe wagony takich specyfików. Ale zawsze może zabraknąć”. Trzymając kartonik za rożek, na którym nie było krwi, wsunąłem do kieszeni i skinieniem podziękowałem lekarzowi.

- To są te dawki, które w niego wpompowali - powiedział jeszcze. - Proszę dzwonić.

Kiwnąłem głową i wyszedłem. W recepcji na dole opłaciłem podłączenie mojego komputera do sieci szpitalnej i otworzyłem rachunek za leczenie Yayo. Na ulicy długo przypominałem sobie, gdzie zostawiłem samochód. Na szczęście był blisko. Silnik posłusznie zaskoczył, gdy tylko wsunąłem klucz do zamka drzwi, włączyłem się do ruchu i bez pośpiechu pojechałem do domu. Zostawiłem wóz przed garażem i zabierając po drodze z kasety towarowej zakupy sprzed trzech dni, wylądowałem w mieszkaniu. Wstawiłem torby do kuchni i nie rozbierając się, podłączyłem komputer do szpitala. Od tej chwili każda zmiana stanu Yayo znajdzie odbicie w sygnale mojego minikompa. Upakowałem zakupy w lodówce, zaparzyłem pół wiadra kawy i połknąłem podwójny zestaw neuroplegów. Zdążyłem wypić ćwierć butelki kukurydzianki i rozegrać z kompem jedną całą i prawie połowę drugiej partii yao-in, kiedy komp przerwał grę i przekazał sygnał ze szpitala. Nie ruszyłem się z miejsca i nie poznałem szczegółów walki o życie Yayo Radera. Dowiedziałem się tylko, że dwadzieścia sześć minut trwała akcja reanimacyjna, że doktor Walter C. Olheiser dotrzymuje słowa. Potem komputer szpitalny przekazał standardowy komunikat zredegowany w oszczędnym, ale nie suchym tonie. A jeszcze potem mój minikomp drobnymi literkami poinformował mnie, że dokonał przelewu na konto szpitala. Doktor Olheiser nie odezwał się. Tak więc przejście Yayo na tamten świat załatwiły - jakby między sobą - dwa komputery.

Sprawdziłem stan swojego konta i nakupiłem za dwie trzecie sumy sprzętu, który miał mi pomóc pomścić śmierć Yayo Radera i wcześniejszą Claude'a Scarrowa. I innych, których nazwisk i imion wtedy jeszcze nie znałem.



Rozdział pierwszy

Poklepałem się po lewej piersi, po kieszeni, gdzie spoczywał archaiczny zasilacz aparatu słuchowego wmontowanego w okulary. Tak to wyglądało, a w rzeczywistości aparat słuchowy został zastąpiony aparatem fotograficznym.

Moje poklepywanie po wypukłej kieszonce i inne energiczne działania kosztowały Ariadnę Wood dwieście dolarów za dzień śledzenia i zbierania dowodów zdrady jej mężonka. Ten ostatni za każde klepięcie udokumentowane zdjęciem zapłaci przy rozwodzie dużo więcej, ale to już nie było moją sprawą. Chociaż z przyjemnością prowadziłbym ją dłużej. Klienci nie wyłamywali drzwi w mojej agencji, więc z nudów potraktowaliśmy trywialną rozwodówkę jak symulację sprawy najwyższej wagi - zmienialiśmy się na „ogonie” co trzy dni, a wolny czas traktowaliśmy jak wakacje. Yayo przesiadywał w bilardziarniach, Claude rwał dziewczyny jak porzeczeki, a ja dusiłem się w saunach i nawijałem kilometry w basenach. Na szczęście Rem Wood nie siedział zbyt długo w jednym miejscu. Połączył przyjemne z pożytecznym i w dziewięć dni przemierzył odległość z Chicago do Flagstaff przez Iowę, Nebraskę, Kolorado, Nowy Meksyk, po drodze wizytując swoje filie i zabawiając się spontanicznie z Simą Cavendisch. Jego małżonka zaakceptowała wydatki naszej trzyosobowej ekipy i dorzuciła premię za pozytywny wynik. Praca była lekka, łatwa i nieprzyjemna. Ale dotychczas nie znalazłem przyjemnej pracy, cieszyłem się więc z lekkiej i łatwej.

Flagstaff zaowocowało czterdziestoma zdjęciami, ostatnie sześć zrobiłem tu, w Kraterze Zgubionego Czasu. Razem - dwieście

dziewięćdziesiąt sześć. Postanowiłem pstryknąć jeszcze dziesięć. Czuję, że jeśli nie dobiję do trzystu, to Ariadna Wood nie omieszka wytknąć nam lenistwa. Na razie odwróciłem się od rozanielonego Rema przytulonego do boku Simy i - opierając się o masywną barierkę - przyjrzałem się największemu skarbowi Time Exploring Company.

Jeśli wierzyć przewodnikowi, to piętnaście lat temu Flagstaff znane było, jeśli w ogóle, tylko z olbrzymiego meteorytowego krateru. „Odkryty w 1891 roku - przeczytałem w ulotce - rozpoznany w 1905, nazywany był Canyon Diabło. Inne nazwy to: Krater Meteorytowy, Krater Barringer, Coon Mountain, Coon Butte. Średnica przed piętnastu laty wynosiła 1207 metrów, a głębokość 174 metry. Swego czasu w jego wnętrzu, na obrzeżach oraz na otaczającej go pustyni znaleziono dziesiątki tysięcy odłamków meteorytu żelaznego o łącznej masie około 30 ton. Odłamki znajdowano również w odległości 10 km, co powinno dać wyobrażenie o sile wybuchu, który towarzyszył powstaniu krateru. Uczni obliczyli, że szybkość uderzenia meteorytu Canyon Diabło wynosiła około 11-30 km/s, a masę meteorytu określono na 70 000 - 170 000 ton. Energia była olbrzymia...” Może to i tak, ale krater, choć jeden z większych na świecie, nie ściągnął turystów. Po prostu dziura, duża dziura.

Piętnaście lat temu Orth A. Hoertl zaczął opowiadać swoim najbliższym, że potrafi spowolnić czas. Omal nie trafił do czubków. Przestał gadać, przygotowywał się dwa lata, przymierzał i czekał. W końcu zaatakował. Napadł na kilka zamożnych osób, proponując wspólne hamowanie czasu. Jednym z zaatakowanych był Mosered Goldleaf, który uwierzył w brednie Hoertla i to był początek TEC, czyli Imperium Spowolnionego Czasu. Goldleaf zainwestował w pomysł cały swój majątek i potrafił przekonać innych. Zakupił i znacznie pogłębił krater, tysiące ludzi wylało miliony ton najlepszego betonu, kilka tysięcy ton ołowiu i innych metali... Szczegółowymi danymi już od godziny bombardował nas przewodnik. Powstała w ten sposób gigantyczna kula, w której czas biegł 3,086743 razy wolniej niż tu, gdzie stałem. Przewodnik widocznie zauważył, że ciągle stoję z boku grupy, bo

przysunął się bliżej i kontynuował z napiętą przeponą:

- ...samo uzwojenie tak zwanej cewki Hoertla pochłonęło tyle nadprzewodliwego, wykonanego ze specjalnych stopów, przewodu, że moglibyśmy po nim dotrzeć do Księżyca i z powrotem! Zużycie hipertajnego stopu było rozliczone z dokładnością do dwóch setnych grama!

Każde zdanie kończył wykrzyknikiem. Na pewno była to cięższa praca niż moje śledzenie niczego nie podejrzewającego Wooda, mimo to wyglądał na bardziej zadowolonego niż ja. Imponowały mu gigantyczne, wielopiętrowe liczby, olbrzymie ilości cementu, z którego można było wybudować małe miasto oraz wody, która wypełniłaby jedno z Wielkich Jezior, tyle cynku, tyle tytanu, tyle polimerów, tyle... TYLE energii!!!

Poszedłem wzdłuż barierki okalającej platformę widokową półwyspu wcinającego się w kwadratowy plac o powierzchni dwa i pół na dwa i pół kilometra, ze środka którego wypiętrzał się olbrzymi bąbel, upiornej wielkości półkula pokryta błyszczącymi w słońcu brodawkami. Coś tam się pod nimi kryło, przewodnik mówił o nich czterdzieści minut; nie zdobył jednak moich uszu. Teraz szedłem po okręgu, zamierzając zająć Wooda z drugiej strony, by uwiecznić na zdjęciu jego dłoń polerującą spódniczkę na biodrze Simy. Pstryknąłem dwa razy i wtedy rozległ się długi, przenikliwy świergot, a przewodnik niczym koń po mocnym razie palcatem, podskoczył i ryknął:

- Teraz zobaczycie państwo efekt Hoertla! Proszę do mnie! Proszę!!!

Sima pisnęła i wyrwała się z objęć Rema. Ruszył za nią, ja zostałem jeszcze chwilę, przyglądając się stojącym bezpośrednio na placu budynkom, skąd co jakiś czas wychodzili strażnicy. Stały tam trzy wozy z pracującymi wciąż silnikami i pełną obsadą w środku. Biorąc pod uwagę zasieki, rowy, autostrażnice i ludzi w mundurach, było to jedno z efektywniej strzeżonych miejsc, jakie znałem. Niedbałym krokiem dołączyłem do grupy.

- Firma Tayco dostarcza zegarki do pokazu, który za chwilę państwo zobaczycie - przewodnik starannie modulował głos. - Specjalny wózek

ze stumetrowym wysięgnikiem zanurzy zegarek w obrzeżu strefy Hoertla, co wystarczy, byście państwo zobaczyli, jak ona działa. Zegarek będzie tam minutę i zobaczymy, co później wskaże - uśmiechnął się obiecująco.

W polu widzenia pojawił się długi wózek, odjechał od platformy na jakieś trzydzieści metrów, zatrzymał się i zaczął wydłużać w naszą stronę teleskopowy wysięgnik. Na jego czubku wisiał niewielki elektroniczny zegarek, wskazujący tę samą godzinę co kilka umieszczonych na platformie dużych zegarów ulicznych.

- Zapamiętajmy! - wrzasnął przewodnik.

Nawet mnie udzieliło się pewne napięcie. Rem zapomniał o Simie, czym ta nie wydawała się zaniepokojona. Wózek przejechał tymczasem dwieście metrów, zatrzymał się i wysunął wysięgnik. Zamarł w bezruchu. Zamarła również cała grupa - jakby było to zaraźliwe.

- Proszę państwa - dramatycznym, donośnym szeptem wzmocnionym przez mocną aparaturę przerwał ciszę przewodnik. - Wysięgnik nie może bardziej zbliżyć się do kuli, ponieważ działa tam sieć czujników uruchamiających działka laserowe. Nic bowiem nie może zakłócić działania strefy. Niewidzialna kopuła z wycelowanych we wszystkie strony luf chroni kulę. - Nabrał powietrza. - W ciągu sześciu lat działania TEC zanotowano tu osiem prób samobójstwa. Trzy udane, niestety nasi agenci nie zdążyli przechwycić desperatów Ale oto wraca wózek! - wpadł w entuzjastyczny ton. - Jeszcze chwila!

Sima zacisnęła kciuki i w najwyższym podnieceniu zabębniła pięściami po ramieniu Wooda. Na wszelki wypadek klepnąłem się w lewą część klatki piersiowej, choć wątpiłem, by takie zdjęcie spodobało się Mrs Wood. Wózek uniósł wysięgnik i podsunął go pod nos stojących najbliżej przewodnika.

- No i co tu mamy?! - zapał facet w mundurze TEC. - Na wszystkich zegarkach jest siedemnasta trzydzieści siedem i czterdzieści dwie sekundy. W tej samej chwili na naszym znakomitym zegarku Tayco była siedemnasta trzydzieści siedem i prawie dwie sekundy. Znaczy to, że zegarek po minucie obecności w strefie Hoertla zgubił czterdzieści i

trzy dziesiąte sekundy! Kto nie wierzy, może sprawdzić - wskazał ręką płyty zegarów, wyświetlających aktualny czas, czas zegarka Tayco i odpowiednie działania weryfikujące jego słowa.

Wykonałem całą serię zdjęć Simy radośnie całującej Rema i sięgnąłem do kieszeni po papierosy. W tej samej chwili ktoś głośno pisnął. Ponad barierką mignęły szczupłe nogi w przeraźliwie jaskrawych pończochach. Rzuciłem się do barierki i roztrąciłem tłum piszczących kobiet i bełkocących bez sensu mężczyzn. Młoda dziewczyna, uczestniczka naszej wycieczki, podniosła się właśnie z betonu i lekko kulejąc, biegła w stronę kuli. Wyszarpnąłem z kieszeni aparat słuchowy, wcisnąłem wraz z okularami jakiejś kobiecie i skoczyłem w dół. Dziewczyna wyprzedzała mnie o czterdzieści, pięćdziesiąt metrów. Miałem drugie tyle, by ją zatrzymać, potem zaczynało się oddziaływanie strefy Hoertla. Biegłem, jakby mnie ścigało stado wygłodniałych bloodhoundów, gdzieś z boku usłyszałem przeraźliwy wizg syreny i wycie silnika pracującego na najwyższych obrotach, odległość między mną i dziewczyną zmniejszała się, ale wiedziałem, że nie mam szans jej dogonić. Wrzasnąłem coś i nagle, jakby ten krzyk podciął jej nogi, potknęła się i szeroko machając rękami wykonała kilka nieregularnych susów, starając się utrzymać równowagę. Upadła jakieś dwa metry przed czerwoną, grubą krechę wyrysowaną na betonie. Mała torebka trzymana przez cały czas w ręce dużym łukiem poszybowała do przodu i gdy rzutem ciała przybiłem podrywającą się na nogi dziewczynę, wówczas ta właśnie torebeczka przekroczyła linię, na której straż pełniły sterowane komputerami lasery. Krótki błysk na krzywej balistycznej wykreślanej przez torebkę oznaczył koniec jej istnienia. Dziewczyna szarpnęła się kilka razy, ale nie miałem większych kłopotów z utrzymaniem jej. Zapiszczały opony i otoczyły nas wysokie buty strażników TEC. Kilka rąk poderwało nas oboje. Dziewczynę błyskawicznie umieszczono w samochodzie. Nie zdążyłem nawet przyjrzeć się jej twarzy. Mignął mi tylko mały, cwany nosek i intensywnie błękitne oczy. Z drugiego auta wyskoczył mężczyzna w cywilnym ubraniu i sprężystym krokiem podszedł do mnie i podtrzymujących mnie trzech strażników. Wyciągnął rękę, strzepnął

palcami i gdy dłonie strażników opadły, uściśnął moją.

- Serdecznie panu dziękujemy - przedłużył o kilka sekund ceremonię potrząsania, pamiętając zapewne o kamerze wycelowanej w nas z okien jego wozu. - Uratował pan tę dziewczynę od śmierci, a nas od kłopotów, bo choć każdy ze zwiedzających podpisuje znane panu oświadczenie, to... - machnął ręką. - Zapraszam do siebie do biura.

Skinąłem głową i przestawiłem stopy, by pójść za nim. Nadepnałem na coś, co okazało się małym notesikiem w twardej okładce z wtopionym zdjęciem niedoszłej samobójczyni. Pod spodem biegł rząd literek tworzących jej imię i nazwisko. Chyba. Zanim przeczytałem dane, jeden ze strażników wyrwał mi z ręki notesik i od razu podał cywilowi. Ten wsunął go do kieszeni i wskazał swój wóz. Wsiadłem i spróbowałem wyrównać oddech, wygodnie rozsiadając się i wykonując kilka głębokich wdechów. Nie rozmawialiśmy w trakcie jazdy, dopiero gdy znaleźliśmy się w pokoju, cywil gestem głowy skierował mnie do fotela, a sam na chwilę odwrócił się do mnie tyłem, zasłaniając sobą szafkę. Dopiero gdy tyknęliśmy, powiedział:

- James Creal. Dowódca tej kohorty - uniesionym ku górze kciukiem zatoczył w powietrzu koło.

- Owen Yeates. Urlopowicz.

- Ma pan niezły refleks - przeszedł do rzeczy.

- Tak - potwierdziłem.

- Tak - powiedział również, ale nieco innym tonem.

Chwilę słuchaliśmy ciszy, potem ktoś zapukał do drzwi, a gdy Creal szczerknął coś krótko, do pokoju wsunął się jeden ze strażników i podał szefowi mój aparat słuchowy. Mruknął mu coś na ucho i wyszedł bez salutowania. Creal położył zdobycz na biurku.

- Po co urlopowiczowi taki aparacik? - zapytał przymilnie.

Dopiłem whisky i westchnąłem. Z drugiej kieszeni na piersi wyjąłem licencję i rzuciłem Crealowi. Musnął ją okiem i przeniósł spojrzenie na mnie.

- Ma pan przegłódkę? - zapytałem.

Stuknął palcem w blat biurka, rozbroił aparat i mały krążek wcisnął w

szczelinę odsłoniętego mihikompa. Szybko przeleciał zawartość, wyjął krążek z terminalu i podał mi razem z aparatem.

- Prywatne zlecenie, sprawa rozwodowa - wyjaśniłem, chowając aparat i zapalając papierosa.

- Przecież widzę - powiedział łagodnie. - Kilku facetów w tym kraju zawdzięcza mi wolność, a kilka żon majątek - zabrał butelkę i przysiadł się do mnie. Nalał. - Na starość się ustatkowałem. Ale czasem... - uniósł brwi i pokiwał głową.

Wypiłem darmochę i plasnąłem dłonią w oparcie fotela. Kiwnąłem brodą w stronę biurka, gdzie wciąż leżała moja licencja. Creal bez słowa podniósł się i zwrócił mi ją.

- A ta dziewczyna? - zapytałem.

Wrócił do biurka i postukał w klawiaturę. Przeczytał odpowiedź z monitora.

- Bonnie Le Fay z Duluth - wzruszył ramionami. - Mieliśmy już tu kilka takich pieprzonych - niedbale trzasnął w klawisz.

Gdy wstawałem, płyta maskująca zasłoniła już pulpit terminalu. Podałem mu rękę i skierowałem się do drzwi. Na korytarzu przejął mnie jeden ze strażników, uśmiechnął się i poszedł pierwszy. Pa rozgrzanym betonie dotarliśmy do drzwi w podstawie platformy, z której kwadrans temu skakałem i poszliśmy jasno oświetlonym korytarzem. Wyszliśmy na placyk, gdzie największą atrakcją było dwa i pół tysiąca zegarków umieszczonych w trzech olbrzymich gablotach, wszystkie oczywiście spóźniały się o czterdzieści i trzy dziesiąte sekundy.

- Nie bał się pan? - zapytał nagle. - Jeszcze trochę i... - kierował kciuk w niebo.

- Bez przesady - prychnąłem. - Zatrzymałbym się. Gorzej byłoby z nią. Jakby się nie wywróciła... Ja już zaczynałem hamowanie.

Strażnik jakoś dziwnie zerknął na mnie, chyba się lekko uśmiechnął. Chwyliłem haczyk.

- Ile u was w Flagstaff kosztują dwie butelki Johny Walkera?

- Nie wiem - zaczął prawidłowo.

Już byłem złapany, zostało mu tylko holowanie, żadnego podbieraka, z

ciekawości sam byłem gotów się oskrobać, wypatroszyć, obtoczyć w jajku i mące i wskoczyć na rozgrzaną patelnię.

- Za ile nie wiem?

- Za dwadzieścia.

Poszukałem w kieszeni i złożyłem w kostkę dwudziestkę.

- To pozorantka - powiedział strażnik i wyszczerzył zęby.

Staliśmy już przy bramie, wystarczająco jednak daleko, by nikt nas nie słyszał.

- Mieszka chyba w hotelu „By-Eddy”. Co jakiś czas popełnia samobójstwo. Zawsze tuż przed czerwoną linią się wywraca i udaje nam się ją uratować. Ma szczęście - mrugnął.

Skląłem w duchu własną ciekawość, dzięki której pozbyłem się dwudziestki. Podałem strażnikowi rękę, zgrabnie przejął banknocik i zasalutował. Przynajmniej tyle. Skinąłem dłonią i wyszedłem z terytorium TEC.

Mój wóz stał na początku parkingu. Zanim dotarłem tam, przypomniałem sobie, że „By-Eddy” mijałem po drodze ze swojego hotelu do Krateru Zgubionego Czasu. Jeszcze ruszając, rozważyłem ewentualność wstąpienia do tej Bonnie i wytargania jej za włosy, potem rycersko przyznałem w duchu, że winna jest nie ona, lecz moja chorobliwa ciekawość. Minałem „By-Eddy Hotel” obojętnie, kasując całe zajście z pamięci. Wydało mi się to najlepszym wyjściem. Zmieniłem zdanie dopiero kilka godzin później.



Rozdział drugi

Dobrze po siódmej, mając za sobą prawie godzinę sam na sam z tenisowym autotrenerem i tyle samo w wannie wróciłem do pokoju. Wycierając włosy, poszedłem w kierunku balkonu i potknąłem się o porzucone w nieładzie buty. Czasem zdarza się, że informacja dociera do mnie jak przez budyń. Tym razem też dopiero po minucie przyglądania się kąpiącym się w basenie, uświadomiłem sobie, że z moimi butami jest coś nie tak. Złapałem je i usiadłem na łóżku. Chwilę lustrowałem ich wierzchy, potem obejrzałem podeszwy. Do lewej przykleił się kawałek gumy do żucia, a do gumy złoty, owalny wisiołek. Powierzchnia owalu była nieźle poharatana, ale nawet na pierwszy rzut oka były widoczne inicjały: B.L.F. Oderwałem wisiołek od gumy i poszedłem do łazienki. Obmyłem blaszkę, odkryłem dwa niewielkie brylanciki na drugiej stronie i pęknięcie na uszku. Wróciłem do pokoju i ubrałem się. Lubię jasne sytuacje. Ta była aż nadto jasna. Los wyraźnie wskazuje palcem uratowaną przeze mnie samobójczynię. Przekonałem się, że ilekroć trzepnąłem los po palcach, tylekroć związał je w rewanzu w pięść i grzmocił, gdzie popadło. Nie ryzykowałem więc zadzwoniłem do Claude'a, potem do Yayo. Żaden nie odezwał się. Zmarnowałem chwilę, by nagrać dla nich polecenie zbiórki o dziesiątej u mnie i zaprogramowałem telefon. Do „By-Eddy Hotel” dojechałem w dziesięć minut.

- Hallo, panienko - uśmiechnąłem się do młodego rudzika za pulpitem recepcji. - Któż to zmusza cię do pracy w taki piękny wieczór?

- Może ojciec sam to panu powie? - zaakcentowała słowo „ojciec”.

Cmoknąłem i oblizałem wargi. Wciągnąłem powietrze przez zęby.

- Szukam Bonnie Le Fay. Mieszka tu u pani.

- Mieszkała - odpowiedziała spokojnie.

- A kiedy się wyprowadziła?

- A nie udzielamy informacji o klientach! - wyglądało, że miała tę kwestię na końcu języka już od samego początku rozmowy.

Nie ulegało wątpliwości, że skoro zaczęła już odgrywać tak pryncypialną, to i dziesięciodolarowy banknot nie skruszy murów jej zasad. Sięgnąłem do kieszonki, wyjąłem wisiorek i pokazałem stronę oznaczoną inicjałami.

- Nie jest to bardzo cenna rzecz, ale nie kosztuje też stówy ani dwóch. Chcę go zwrócić właścicielce - dziewczyna wpatrywała się we mnie uważnie. Westchnąłem. - Zgubiła to dzisiaj w Canyon Diabło - tłumaczyłem cierpliwie. - Sprawdziłem na liście zwiedzających, tylko ona ma takie inicjały, a ktoś z wycieczki tu mieszka i widział ją. Nie rozumiem, dlaczego pani tak strzeże niewinnej informacji?

- Wyprowadziła się dwie godziny temu i to na zawsze - powiedziała wolno. - I nie wiem dokąd - dodała tonem wskazującym zakończenie rozmowy.

- Ma tu jakichś znajomych?

Chwilę zastanawiała się, czy powiedzieć. Potem drugi raz w ciągu kilku minut złamała swoje zasady.

- W „Charley Crabs” gra na perkusji Mike Skinner. Widziałam ich kilka razy razem - rozłożyła dłonie gestem kaznodziei i opuściła je na pulpit kompa.

- M-m-a-ach... - bąknąłem. - Same kłopoty - skubnąłem nos w rozterce. - Może umówmy się tak pojedę do tego Skinnera, a pani zostawię swój adres, może Bonnie się odezwie. Położyłem wizytówkę przed nią. Nie poruszyła się, lecz gdy będąc już za drzwiami, odwróciłem się, zobaczyłem, jak wcisnęła ją w szparę memoretki. Zauważyła moje spojrzenie i odwróciła się ostentacyjnie.

Pojechałem do „Charley Crabs” drogą obsadzoną gęsto jak aleja parkowa informacjami o cudzie XXI wieku. Gdybym chciał przeczytać

przynajmniej jedną trzecią tych informacji o TEC i Kraterze Zgubionego Czasu, musiałbym wysiąść i udać się piechotą. Na szczęście, przewodnik przekazał mi wystarczającą porcję wiedzy, dużo również zobaczyłem, może nawet za dużo, prowadziłem więc ręcznie nie zjeżdżając na pasy sterowane przez komputer, jak robiła to większość kierowców. Mogli dzięki temu spokojnie sycić się wiedzą z przydrożnych ekranów. Po piętnastu minutach wjechałem do Flagstaff i kierowany wskazówkami miejskiego komputera odnalazłem „Charley Crabs”. Miał trzy piętra i kształt litery L, balkony na całej długości wszystkich pięter, a na dachu cały szereg mocnych lunet, zapewne do obserwacji kopuły Największej Bańki Świata Hoertla.

Obszedłem krótszy bok hotelu i znalazłem wejście służbowe. Przemierzyłem spory odcinek korytarza, zanim natknąłem się na drobniutką Mulatkę, która poinformowała mnie, gdzie mogę znaleźć Mike’a Skinnera i nie pytając o nic odeszła. Przez resztę drogi do sali prób zastanawiałem się, czy mógłbym wyżyć, pracując jako pokojówka. Zabrakło mi kilku metrów, by dojść do jakichś wniosków. Pchnąłem drzwi do sali prób.

Wiedziałem, że to on. Półleżał w fotelu otoczony paroma kubikami aparatury, z głową wpasowaną w dwie stereoszyny, kiwał się w rytm niesłyszalnej dla mnie muzyki. Pociągnąłem nosem, ale nie wyczułem zapachu hajcu, co kłóciło się z moim wyobrażeniem o muzykach. Podeszedłem bliżej, by trącić zasłuchanego perkusistę, ale zobaczyłem, że Skinner ma otwarte oczy, więc kłapnąłem kilka razy szczęką. Zrozumiał, bo pstryknięciem w sterownik wyłączył multifoniczną aparaturę, a potem, siadając, ruchem karku strząsnął szyny.

- Mike Skinner, jak sądzę?

- Tak, panie Stanley.

Każdemu dźwiękowi wydobywającemu się z jego gardła towarzyszył lekki szurgot, jakby ktoś powłóczył nogami, chodząc po dnie basenu. Z tą chrypą mógłby być niezłym odtwórcą starych bluesów.

- Zna pan Bonnie Le Fay? - wyjąłem paczkę papierosów i wyciągnąłem w jego stronę. Wziął jednego, poczekał na ogień i dopiero potem skinął

głową. Czekał na następne pytania. - Wie pan, gdzie mogę ją znaleźć?

- Nie.

- A będzie ją pan widział w najbliższym czasie?

- Nie.

Nie był to ożywiony dialog. Wypuściłem strugę dymu w stronę sufitu.

- Dzisiaj znalazłem ten wisiołek - wyjąłem z kieszeni złote cudeńko i pokazałem Mike'owi. - To jej?

- Uhu.

- Chcę jej zwrócić, ale wyprowadziła się z hotelu.

- Kim pan jest, Stanley? - zapytał, odpinając się od kilku przewodów.

- Proszę - wyjąłem z kieszeni licencję i pokazałem mu. - Bonnie zupełnie mnie nie obchodzi, spotkałem ją całkiem przypadkowo w tym waszym Kraterze. Chcę tylko oddać jej wisiołek albo niech pan jej odda - wzruszyłem ramionami.

Wstał i przysiadł na usianym klawiszami pulpicie, trzymał papierosa w ustach, lekko przechylił głowę, by dym omijał oczy. Zastanawiał się chwilę. Skrzyżował ramiona na piersi.

- Co robiła w Kraterze?

- Była służbowo, popełniała samobójstwo.

Kiwnął głową i otworzył usta, ale w tej samej chwili odezwał się melodyjny gong, przebiegając przez cały szereg głośników.

- Może pan poczekać pięć minut? Muszę dograć perkusję do dzisiejszego występu.

Gdy kiwnąłem głową, wskazał duży fotel nieco z boku, a sam nie zwracając już na mnie uwagi, usiadł w swoim i odwrócił się do panelu. Klawisze, przyciski, potencjometry i wskaźniki różnego rodzaju mogłyby śmiało obsłużyć prom księżycowy. Zapadłem w fotel.

Skinner chwilę manipulował jakimiś wichajstrami. Pulpit rozjarzył się. Miałem ochotę zacząć odliczanie, ale właśnie z kilkunastu kolumn popłynęła muzyka. Skinner chwilę trwał nieruchomo, potem delikatnie przesunął fotel i położył palce na klawiaturze perkusji. Poruszył nimi i do subtelnej, harmonicznnej melodii dołączyło kilka dźwięków punktujących rytm. Nie wiem dlaczego, ale byłem nastawiony raczej

sceptycznie do Mike'a i jego umiejętności, lecz teraz w ciągu kilkunastu sekund musiałem zrewidować swoje poglądy. Znakomicie podkreślał kołyszący, śpiewny rytm, wyprowadzał z klawiatury własną, melodię idealnie wplecioną w tę nagrany wcześniej. Pod koniec utworu miał półminutową brawurową solówkę. Byłem pełen uznania. Powiedziałem mu to, gdy odsunął się od klawiatury i odwrócił do mnie. Podziękował skinieniem głowy.

- Wydawało mi się dotychczas, że klawiperkusja to po prostu instrument dla leniwych muzyków - dodałem jeszcze.

Chyba zrozumiał, że mu nie kadzę, bo nagle uśmiechnął się szeroko i powiedział:

- Dasz jeszcze papierosa, to ci udowodnię, że myliłeś się w kilku punktach.

Rzuciłem mu paczkę. Mike skinął ręką i poszedł pierwszy. W dużo mniejszej sali znajdowała się standardowa perkusja i malutki pulpit. Cztery kąty sali zajmowały potężne kolumny. Skinner zapalił papierosa i oddał mi paczkę, potem usiadł na stołku za kotłem i wziął do ręki pałeczki. Zawirowały mu w palcach, mrugnął okiem i powiedział:

- Wciśnij start.

Wykonałem polecenie. Chwilę trwała cisza, potem rozległ się krótki gwizd i nagle Skinner ruszył. Zaczął od prostego, monotonnego rytmu, stopniowo dodając do niego jakby uboczne, dodatkowe. Nie było to nic rewelacyjnego, ale czuło się, że ten facet wie, co to jest break-machina w przeciwieństwie do tysięcy zafascynowanych klawiszami kolegów z branży. Do perkusji dołączyła muzyka z głośników i Mike Skinner zabrał się z pasją do roboty. Bez wątplenia był to utwór napisany specjalnie dla dobrego perkusisty, a on był dobry, pracował jak szalony, wszystkie cztery kończyny poruszały się niezależnie od siebie jakby sterowane przez minikomp, ale była to ludzka muzyka, której najlepsza maszyna nie jest w stanie podrobić. Stałem zafascynowany umiejętnościami chudzielca z wygoloną głową. Odpływałem na falach muzyki wydobywającej się spod pałeczek. Dopiero gdy skończył, nabrałem powietrza do płuc i długo je wypuszczałem. Mike w tym

czasie, nie czekając na brawa, wyłączył magnetofon i podszedł do mnie.

- Marnuję się w tym hotelu, nie? - skrzywił się i przechylił głowę.

- Niewątpliwie.

Stuknął mnie palcem w pierś i pokazał drzwi za plecami. Wróciliśmy do pierwszej sali. Gdy usiedliśmy znowu w swoich fotelach, podrapał się po szyi.

- No? Co chcesz wiedzieć?

Wzruszyłem ramionami.

- Nic. Chciałem jej oddać wisior.

- Nie wiem, jak to zrobić. Cztery dni temu pożegnaliśmy się. Za obopólną zgodą. Zjedliśmy już siebie i trzeba było wytrzeć usta.

- Wiedziałaś, że pracuje dla TEC?

- Pewnie - prychnął. - Nawet wprowadziła mnie kiedyś na swój pokaz. Niezły numer, nie? Kto chce, kiwa współobywateli w tym kraju, aż furczy. Szambo.

- A jak ona się tu znalazła?

- Chciała zostać dziennikarką. Kręciła się wokół TEC, bo tu jest najcieplej.

- TEC? - pokręciłem głową. - Przecież o tym nie da się już napisać niczego nowego. Paru facetów zestarzało się, pisząc - tylko o TEC i nieźle na tym zarabiając.

- Ona twierdziła, że jeszcze można się objeść. Wiesz, starała się dopchać do tych naukowców, którzy zostali wybrani do zamknięcia w kuli, ale oczywiście ci byli tak obsadzeni, że nie miała żadnych szans. TEC dobrze dba, by wyłączność miały ich pieprzone gazety.

- Dość naiwnie podchodziła do tej roboty - mruknąłem. - Aha. Ale miała, tak twierdziła, jeden atut: Otóż facet, jeden z dwóch, który odmówił. On się nazywał... - uniósł oczy ku górze i cmoknął kilka fazy. - Mmm... A! Bogg. Saul Bogg odmówił, nie zgodził się na przedłużenie swojego życia, a Bonnie wyżebrała u niego zgodę na wywiad. Napaliła się jak diabli, tyle że facet wziął i się zmył. I ta biduła od roku cały wolny czas i całą forszę puszczała na szukanie Bogga. Kiedy ją poznałem, obzerała się orzeszkami arachidowymi, nie mogła bez nich żyć, a gdy

Bogg zniknął, rzuciła nawet to, żeby mieć więcej forsy, wie pan: detektywi, ogłoszenia w prasie, jazdy po całych Stanach i tak dalej, i tak dalej. I nic z tego. Zero.

- A w domu, w Duluth? Może tam pojechała?

- Nie! - zaprzeczył. - Nie ma tam nikogo, sierota. Zerknął na zegarek. Wstałem i wyjąłem wisiołek. Podrzuciłem go na dłoni.

- To co? Zostawię ci go? Może wróci?

- Nie, nie! - podniósł obie dłonie jakby odgradzając się nimi od mojej propozycji. - Po pierwsze, ona mnie na pewno nie odwiedzi, a po drugie, wyjeżdżam i to chyba do Eurazji. Nie mamy szans na spotkanie.

- Trudno - wrzuciłem wisiołek do kieszeni i poszedłem do Mike'a. - Żegnaj i życzę powodzenia. Moim zdaniem zasługujesz na nie.

Uścisnął mi dłoń i niespodziewanie przytrzymał. Pociągnął nosem i spojrzał na moją kieszeń. Wzdychając teatralnie wyjąłem papierosy i wyszarpnąłem swoją dłoń z jego, wciskając paczkę.

Na korytarzu nie spotkałem nikogo. Na autostradzie włączyłem się do sieci i półdrzemiąc, popijając piwo, wróciłem do hotelu. Minikompi zameldował, że Yayo przyjął polecenie, a Claude nie odebrał dotychczas telefonu, ale było dopiero wpół do dziewiątej. Wisiołek wrzuciłem do walizki, a sam udałem się na basen. Widmo zwisającego brzucha było silniejsze od coraz częściej ogarniającej mnie gnuśności. Kilka minut po dziewiątej powitałem w pokoju Yayo Radera, a gdy tylko napelniliśmy swoje szklaneczki, zjawił się również Claude. Rozsiedliśmy się wygodnie w fotelach.

- To co? Skończyliśmy? - zapytał Claude.

- Ta... Mamy ponad trzysta zdjęć, z czego dziesięć procent wystarczyłoby do bezapelacyjnego rozwodu. Inkasujemy forszę... - pokazałem palcem pulpit minikompa, Yayo wychylił się i postukał w klawisze - ...i żegnamy uroczą Ariadnę Wood. Ile?

- Trzydzieści dni po dwie paczki plus premia, to razem trzy tysiące trzysta osiemdziesiąt - Claude klasnął trzy razy w dłoń. - Nie wiem, czy nie jesteśmy za tani? - z zadumą powiedział Yayo.

- Może Ariadna narai nam jakieś koleżanki spragnione wolności

podbudowanej kilkoma milionami?

- Na pewno - nalałem sobie i podałem butelkę Yayo. - Jutro wracamy do domu. Zaraz połączę się z klientką i umówię na rozliczenie. Tyle mam do was. Jeszcze jedno, jak wracamy?

- A nie uważasz, że twoje zarządzanie byśmy zawsze jeździli osobno nie dotyczy rozwodówek? Przecież to bez sensu - mruknął Claude.

- Posłuchaj mnie, bączku. Zaczynasz dopiero kręcić się w tej branży. Pewne rzeczy muszą dziać się automatycznie, a to zdobywa się przez trening. - Nadałem twarzy miły wyraz. - Pewnie, że moglibyśmy mieszkać w jednym hotelu i wracać tym samym samolotem, a jeśli mam mieć w przyszłości z ciebie pociechę, to muszę być kilku rzeczy pewien, między innymi tego, że nie podejdziesz do mnie na ulicy i nie rykniesz na całe gardło: Znowu kogoś śledzimy, Owen? Sam mam na koncie kupę spraw zawałonych przez idiotyczne drobiazgi i przyrzekłem sobie, że wyeliminuję je choćby nie wiem co. I dlatego będziemy się zawsze konspirować, nawet jeśli to czasem wygląda na kiepski kryminał. Nie ma więcej pytań? No to żegnam panów. Lecę jutro o dziewiątej piętnaście. Jeden z was może lecieć ze mną, albo lećcie razem, byle nie wszyscy trzej tym samym lotem. Pa!

Dopili swoje drinki i pożegnali mnie niedbałymi skinięciami dłoni. Połączyłem się z Ariadną Wood bezpodłuchowym kanałem i poinformowałem o pomyślnym zakończeniu pracy. Umówiliśmy się na drugą i oboje zadowoleni odłożyliśmy słuchawki. Od razu położyłem się spać, by nie jeść kolacji i nie miałem, niestety, żadnych proroczych snów.



Rozdział trzeci

Z masochistyczną przyjemnością powitałem swoje biuro. Niewiele zaznałem w nim radosnych chwil, ale teraz, po dwóch tygodniach spędzonych w kilkunastu hotelach, na widok odkurzonej wykładziny, pustego blatu biurka i pulpitu minikompa poczułem się rześko i przyjemnie. Niewątpliwie zasadniczą przyczyną dobrego humoru był fakt, że za chwilę miała tu się zjawić klientka i wypłacić ponad trzy tysiące baksów, dość pilnie potrzebnych i mnie, i pracownikom. Zapaliłem fajkę, by zagłuszyć panujący zapach pustki i nudy, przejrzałem pocztę, sprawdziłem rachunki i wyciągnąłem na blat „służbową” teczkę, której jedynym zadaniem było stworzenie atmosfery pracy. Wyłożyłem z niej kilka zdjęć i sześć stron notatek dotyczących ubiegłorocznej gonitwy o Puchar Pięciu Jezior. Punktualnie o drugiej zaparzyłem kawę, a także łyknąłem z ukrytej w biurku butelki. Ludzie mają zakodowany w umyśle pewien stereotyp detektywa - naczelne miejsce w nim zajmuje oddech przesiąknięty whisky. Ariadna Wood nie odbiegała od stereotypu klientki wyposażonej w stereotyp detektywa. Nie miałem zamiaru sprawiać jej zawodu. Tacy jak ona nie lubią się mylić. Zadzwoiła do drzwi sześć po drugiej. Otworzyłem sam, z przyjemnością stwierdziłem, że od razu nieznacznie wciągnęła nosem powietrze i w jej oczach pojawiło się zadowolenie.

- Dzień dobry - wymięła mnie zgrabnie i szybko dopadła fotela. - Rzeczywiście ma pan dla mnie te zdjęcia?

Wróciłem do biurka i chwilę milczałem. Potem położyłem przed nią wyjętą z pancernej kasety szyfrową kopertę.

- Ponad trzysta zdjęć i szczegółowy raport. Nie daje to pani mężowi żadnych szans.

- Chcę zerknąć - zażądała.

- Oczywiście - wsunąłem kopertę do kieszeni minikompa, odwróciłem ekran w stronę klientki i podałem jej sterownik.

Rzetelnie przejrzała całą dokumentację, choć już po kilku sekundach oczy jej rozblęły i dostrzegłem w nich zapowiedź kilkucyfrowych alimentów. Wyłączyła komp i zwróciła mi sterownik.

- Kod? - rzuciła.

- Koperta otwiera się na hasło: trzy tysiące trzysta osiemdziesiąt. Łatwo zapamiętać. Tyle jest mi pani winna.

Długą chwilę patrzyła mi w oczy, starając się bym zauważył, jak mną gardzi.

- Niech pan przekoduje na cztery tysiące - powiedziała wolno, - Nie mam pamięci do tak trudnych liczb - odchyliła się w fotelu i zadowolona założyła nogę na nogę.

Kleistym spojrzeniem przejechałem po kończynach Ariadny Wood. Wyjąłem kopertę z kieszeni i posunąłem po blacie w jej stronę.

- Niestety - powiedziałem. - To koperta jednorazowa. Nie do przekodowania. Nie będę jej marnował, kosztowała mnie czterdzieści trzy centy. Proszę - wstałem i wskazałem jej klawiaturę minikompa.

Dyskretnie usunąłem się do okna i poczekałem chwilę, aż Mrs Wood, jeszcze Mrs Wood, przeleje na moje konto wskazaną kwotę. Zrobiła to, trzaskając w klawisze ostentacyjnie głośno.

- Już - syknęła.

Zanim odwróciłem się, była przy drzwiach. Obrzuciła mnie jeszcze pełnym politowania spojrzeniem i wyszła. Teraz, już dla własnej przyjemności wypaliłem fajkę i wypłem dwa razy po dwa łyżki whisky. Półożąc w fotelu z rękami za głową, zakotwoczyłem spojrzenie na suficie. Kilka minut minęło na jałowych rozmyślaniach, potem przyszedł Claude. Zerknął na ekran wciąż wyświetlający ostatnią operację i uwalił się w fotelu.

- Wakacje - stwierdził i wsypał do ust garść maicornu.

Pozbierałem do teczki dokumentację, by czekała na następnych klientów. Z troską spojrzałem na Claude'a. Czoło pokryła mi sieć zmarszczek. Kilka sekund zmarnowałem na poszukiwania w kieszeniach.

- Znajdź w Duluth Bonnie Le Fay i wyślij jej ten wisiołek. - Rzuciłem mu złoty owal. - To znaczy, jeśli będzie w domu.

- Może pojedę tam? - skrzywił się błazeńsko.

- Na własny koszt, proszę bardzo.

- Eee...

- Masz dwa dni wolnego, tylko zostaw komputerowi namiar. Spływaj - wykonałem wierzchem dłoni znany od stuleci gest.

Podniósł się i skierował do drzwi. W połowie drogi zastopował i zapytał przez ramię: - A jak tam nasza klientka?

- Zadowolona. Szczególnie, że poznała się na mnie.

- Nie znudził cię ten numer?

- Dlaczego mam nie sprawić człowiekowi przyjemności? Mnie to nic nie kosztuje.

- A Yayo?

- To samo, urlop. Zaraz do niego zadzwonię.

- No to... - chwilę myślał - ...chyba wszystko.

Okręcił się na palcach stopy i wyszedł. Ziewnąłem. Z nudów kopnąłem odkurzacz i dziesięć minut obserwowałem, jak snuje się po pokoju. Partię szachów przerwałem po czterech ruchach. W biurze wytrzymałem do piątej. Wyszedłem wyładowując się trzaskiem drzwi. Poziom cieczy pozostawiony w butelce opadł o trzy palce, ale była to jedna z dwóch czy trzech rzeczy, które mnie nie martwiły - w domu też miałem co nieco.



Rozdział czwarty

Dwa następne dni spędziłem w podobny sposób, tyle że przejrzałem instrukcję obsługi odkurzacza i zmusiłem go, by wyszczotkował wykładzinę w szachownicy. Rozegrałem na niej kilka partii, w których partnerem był komp, a figury przesuwiał odkurzacza. Dawno już nie zajmowałem się czymś tak przyjemnym i użytecznym. Trzeciego dnia, w piątek, odwiedził mnie Wood. Naszedł mnie sam Rem Wood! I jeszcze jakiś gładko wygolony jegomość ze sterczącym tyłkiem, czego nie była w stanie ukryć nawet szyta na miarę, przedłużona marynarka. Wskazałem Woodowi fotel. Ten z wystającym zadem usiadł skromnie pod ścianą. W teczkę, którą położył na kolanach, mógł mieć tylko papiery albo jakiegoś gnata. Wood chwilę przyglądał mi się z uwagą.

- Panie Owen - powiedział wolno. - Moja żona jest bardzo zadowolona z pana usług. Serdecznie poleca pana wszystkim znajomym. Ponieważ cenię sobie, jej zdanie i wierzę w jej znajomość ludzkich charakterów, dlatego zwracam się do pana z pewną propozycją - sięgnął do kieszeni i wyjął futerał na cygara ozdobiony etykietą, od której portfel robił się lżejszy o kilkaset dolców. Wyciągnął futerał w moją stronę, a gdy odmówiłem, kręcąc w milczeniu głową, schował go. - Ja nie palę, ale lubię ich zapach - wyjaśnił. - Jak pan się domyśla - wrócił do sedna - Ariadna rozpoczęła proces rozwodowy - towarzysz Wooda pokiwał z oburzeniem głową. - W świetle dokumentacji, jaką pan jej dostarczył, jestem załatwiony. Jest jeszcze szansa, żeby wystąpić z kontrdowodami, czyli udowodnić, że Ariadna miała przyjaciół w tym samym czasie co ja albo jeszcze wcześniej. To mogłoby mnie uratować

przynajmniej finansowo. Pan - wychylił się w moją stronę - może chyba znaleźć takie dowody? Na pewno - odpowiedział sam sobie. - Moja żona wcale nie jest wierniejsza mnie niż ja jej, tylko wystartowała do rozvodu o kilka tygodni przede mną. Pan... - uśmiechnął się z wysiłkiem - ...jest poniekąd sprawcą moich nieszczęść. Może pan chyba teraz dla odmiany poszperać w życiorysie mojej małżonki?

- A gdybym przypadkiem niczego nie znalazł, to czy wystarczy, że nie potwierdzę dokumentacji pana żony? To pana zadowoli?

Wood otworzył usta, ale chrząknięcie totumfackiego zamknęło mu je.

- Słusznie - powiedziałem do tego pod ścianą. - Nagrywam wszystkie rozmowy w tym biurze. Popatrzył na mnie obojętnie, po czym założył nogę na nogę. Zakołysał stopą. Podeszwę ozdobił szereg cyfr układających się w liczbę 30 000. Widziałem, że Wood patrzy na mnie w napięciu, podrapałem się po karku.

- Niestety, nie mogę przyjąć pana zlecenia. Jestem obłożony robotą na najbliższe dwa miesiące, a panu chyba zależy na czasie. Żałuję.

Spod ściany dobiegło mnie teatralne chrząknięcie, a kątem oka zauważyłem zmianę układu nóg. Druga podeszwa również oferowała kilkadziesiąt kawałków w najlepszej walucie świata.

- Nie wystarczy wam sklepu obuwniczego - uśmiechnąłem się jak mogłem najszerzej, najwredniej.

Wood spojrzął przez ramię pod ścianę, poderwał się z fotela i prawie wybiegł z pokoju. Wyczekująco spojrzałem na drugiego z gości. Wstał wolno, wcisnął teczkę pod pachę. Przesunął się bokiem, tak by stać dokładnie na wprost mnie. Wsunąłem rękę pod blat biurka i szcęknąłem zatrzaskiem zamka. Świetnie udawał dźwięk kurka kolta. Mój gest został właściwie odczytany.

- Postąpił pan nierozsądnie - powiedział. - Jesteśmy wielce niezadowoleni. Pan nie przyjmuje zlecenia, choć nie ma w tej chwili żadnego innego. Nie świadczy usług wykonywania których się podjął. Postaramy się, by pana licencja została wycofana, wstrzymana lub przynajmniej zrewidowana. Żegnam - skłonił uprzejmie głowę.

Wstałem.

- Na rogu Justine i Osiemdziesiątej Drugiej jest sklep znakomicie zaopatrzone w pasomajtki - oznajmiłem. - Świetnie ściągają zarówno brzuch, jak i zad. Polecam, bo niezmiernie korci mnie, by zaaplikować kopa w tę zwisającą, galaretowatą, spoconą i bezwłosą dupę. Żegnaj - skłoniłem uprzejmie głowę.

Bez słowa odwrócił się i wyszedł. Nawet nie trzasnął drzwiami. Wywołałem Claude'a i Yayo, by krótko zawiadomić o niezadowoleniu Rema Wooda. Obiecali być ostrożni.

Przez trzy dni nie wziąłem do ust kropli alkoholu. Potem zadzwonił Yayo.

- Owen - wychrypiął. Fotel zmroził mi plecy, nie odpowiedziałem. - Owen - powtórzył. - Wóz Claude'a eksplodował na autostradzie. Policja podejrzewa trafienie rakietą.

Nadal milczałem. Ze zdziwieniem usłyszałem własny oddech wypełniający cały pokój. Spróbowałem oddychać ciszej.

- Jestem w drodze na to miejsce - powiedział Yayo.

- Jadę do jego mieszkania. Przyjedź tam - usłyszałem. To był mój głos.

Rzuciłem słuchawkę. Do kieszeni włożyłem biffaxa i zapalniczkę strzelającą zatrutymi mikrostrzałkami. Uruchomiłem system alarmowy i wyszedłem z biura. Do mieszkania Claude'a jechałem wolno, nie śpiesząc się. Podejrzewałem, że pośpiech nie jest już do niczego potrzebny. Chyba się nie myliłem. Yayo przyjechał półtorej godziny po mnie. Do tego czasu dokładnie przejrzałem mieszkanie i obie skrytki. Nie było tam nawet cienia wskazówki co do sprawców zamachu. Wprowadziłem Yayo do pokoju. Chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Może byś coś powiedział? - wrzasnąłem w końcu.

- Bezpośrednie trafienie minirakietą przeciwpancerną - wycedził. - Coś jeszcze chcesz wiedzieć? - Nie ma świadków, brak jakiegokolwiek informacji - pochylił się w fotelu i splótł palce obu dłoni; Umieścił je między kolanami i ścisnął nimi.

Przesunąłem szklankę w jego stronę, uspokoiłem się nieco. - Chcesz? - zapytałem.

Skinął głową. Nalałem mu i kilka kropel sobie. Milczeliśmy jak para

ludzi szukających tematu do rozmowy, choć przecież temat podsunął nam ktoś, kto zabił Claude'a. Taki temat nie lubi pośpiechu. Odpaliłem od niedopałka następnego papierosa, Yayo sięgnął do kieszeni i skręcił grubego gwoźdź z mieszanki tytoniu i canitoo. Gorzki, ostry zapach zdominował woń moich golden gate'ów.

- Czy to mógł być Wood? - zapytał wreszcie Yayo.

- Nic innego nie przychodzi mi do głowy - powiedziałem, po chwili milczenia, mimo że wcale nie musiałem się zastanawiać. - Choć to trochę bez sensu. Facet powinien bronić swojej forsy przed adwokatami żony, a nie szukać zemsty.

- Chyba że chce w ten sposób zmusić cię do zanegowania materiału.

- Chyba że tak - zgodziłem się. - Ale robi to... - chciałem powiedzieć „w wyjątkowo niezręczny sposób”, ale takie określenie zabrzmiałoby co najmniej niestosownie, nie mogłem znaleźć niczego odpowiedniego, nie dokończyłem więc, zastępując słowa wzruszeniem ramion.

- Powinien raczej wziąć zakładnika - mruknął Yayo, wypuszczając długi, pędzący w, przestrzeń pokoju strumień dymu.

- Brak mu czasu.

- No to powinniśmy mieć już znak, powinien postawić warunki.

- Normalnie tak. Ale może się bać, że zostawi jakieś ślady. Liczy na naszą inteligencję - zdusiłem papierosa i popatrzyłem na Yayo. - Co robimy?

- Chyba nie chcesz poczołgać się do niego?

- Albo to, albo wojna - powiedziałem wyraźnie.

- Załatwimy sami, czy poszukać kogoś do pomocy?

- Sami!

- No to... - po raz pierwszy od czasu, kiedy wszedł do pokoju podniósł głowę i spojrzał na mnie.

- Po pierwsze, wynosimy się ze swoich mieszkań, przynajmniej na tę noc. O dziesiątej zadzwoń do mnie, telefon dostaniesz z sieci na hasło: be el ef - trzymałem rękę w kieszeni, palcami bawiłem się wisiorciem Bonnie, który znalazłem w kieszeni bluzy Claude'a. - Przejrzyj, co mamy na Wooda. Szukaj jakichś powiązań z mafią czy kimś tego typu.

Sądzę, że to musi być ktoś mocny, jeśli bez żadnych przygotowań, bez straszenia decyduje się zabić detektywa - ostatnie zdanie kosztowało mnie sporo wysiłku, ale musiałem je powiedzieć, musiałem, by śmierć Claude'a nie załamała nas, nie zmieniła w trzęsących się, przekupnych tajniaków. - Spróbuj przypomnieć sobie, czy przed Woodem było coś, co mogło kogoś rozjrzeć, chociaż ja nie przypominam sobie niczego takiego. Idziemy.

Wstałem pierwszy, poczekałem na Yayo, stojąc w drzwiach. Rozejrzał się po pokoju i unikając mojego spojrzenia wyszedł. Nie zamieniliśmy już ani słowa. Ja zostałem przy samochodzie, Yayo skinął ręką i skierował się do metra. Otworzyłem drzwi i spojrzałem w górę na okna mieszkania Claude'a Scarrowa, a potem sięgnąłem po sterownik, po raz pierwszy w życiu. Odszedłem od pyersa dwadzieścia kroków, odczekałem aż minął go jakiś małolat i uruchomiłem silnik. Wóz wahał się, z rury wydechowej trysnął strumień ciepłych spalin. Spuściłem hamulec ręczny, potem go zaciągnąłem, nic więcej na odległość zrobić nie mogłem. Westchnąłem i podniosłem nogę, by ruszyć do samochodu, ale nagle zwałem się na chodnik jak ścięty. Stłumiony wybuch podrzucił wóz i wysadził obie duże szyby. Koronkowa robota. Żadnego ognia, huku ani płomieni na wysokość czwartego piętra. Tylko tyle ile trzeba, by kierowca rozpoczął jazdę po najgładszej z autostrad. Podniosłem się z betonowych płyt i rozejrzałem. Wybuch nie przyciągnął niczyjej uwagi. Musiałem sam zadzwonić po policję i czekać prawie trzy minuty na patroler. Specjalnie długo nie rozmawialiśmy, nie odpowiedziałem na pytanie kto i dlaczego. Kwestia „po co” nie była też dyskutowana. Dwadzieścia minut później, po załatwieniu formalności z ubezpieczeniem, kupiłem turkusową chimerę, opancerzoną i rzucającą się w oczy jak słoń na Antarktydzie. Wygodnie rozparty w nieskazitelnie białym wnętrzu zjeździłem pół miasta, odwiedzając kolejno: sklep z węglem drzewnym, biuro wynajmu krótkoterminowych pracowników, dwa banki, trzy domy w dzielnicy biedoty, podejrzaną kregielnię, centrum elektronicznej aparatury strażniczej, salon masażu o ustalonej reputacji. Wszystkie te wizyty były

najzupełniej przypadkowe i miały tylko jeden cel: dostarczenie materiału do przemyśleń Woodowi, a nam z Yayo czasu na wykonanie kilku kroków. Miałem nadzieję, że zanim pracownicy Wooda zaatakują nas, zastanowią się nad moimi poczynaniami. Potrzebny nam był czas. Zameldowałem się w „Park Suite Hotel”, zamówiłem cyberostróżnika do pokoju, przekazałem do sieci miejskiej swój telefon na hasło i zapadłem w wannę na prawie dwie godziny. O dziesiątej z minutami dopadł mnie Yayo. Nie mieliśmy sobie do przekazania żadnej, wartej chociażby dziesięciu centów wiadomości. Umówiłem się z nim na drugą następnego dnia.



Rozdział piąty

Następnego dnia jeszcze żyłem. Obudziłem się rano, mimo trzystopniowego kaca. Cała skala miała pięć stopni. Trójkę załatwiało pożywne śniadanie i litr kawy. Wszystko to otrzymałem w moim hotelu. Godzinę później zadzwoniłem do Hy Masona i nie zwracając uwagi na ryk w słuchawce, zapowiedziałem swoją wizytę. Wypalając trzy papierosy, sporządziłem listę przeróbek i dorobek w nowym samochodzie, zadzwoniłem do warsztatu, w którym kiedyś tak znakomicie wyposażono mojego bastaada. Dopiero potem wyszedłem z pokoju.

Zostawiłem chimerę w umówionym miejscu z zakodowanym w kłamce hasłem i taksówką dotarłem do redakcji „Afternoon New’s”. Sara obrzuciła mnie ponurym spojrzeniem, ale nie protestowała, gdy wskazałem palcem drzwi gabinetu Masona i uniosłem pytająco brwi. Wszedłem. Hy wpatrywał się w ekran terminalu, poruszał wargami, jakby przeżuwał każdą widoczną na nim literkę, lewą ręką sięgnął do kasety biurka i wyjął dwie szklaneczki. Usiadłem w fotelu. Wytrzymał pół minuty.

- Zbankrutowałeś? - zapytał, waląc piecami w oparcie fotela. - Dlaczego jeszcze nie wyciągnąłeś...

- Mam trochę roboty - przerwałem - ale ty się nie krępuj, przecież masz tam własną butelkę.

- Co to znaczy: mam trochę roboty? Co to za robota, przy której nie chcesz się napić ze mną? - przygryzł dolną wargę.

Wzruszyłem ramionami. Hy mlasnął językiem i schował szklaneczki. Burknął coś do mikrofonu.

- Co się stało?
- Claude nie żyje.
- Wdepnąłeś w coś?

Sara wtoczyła do gabinetu mały stolik z kulistym termosem pełnym najlepszej w tym mieście kawy, otworzyła usta, ale nie powiedziała nic. Nalałem sobie.

- Chyba tak - powiedziałem. - Na pewno tak. Ale nie wiem w co. Muszę zdobyć u ciebie pewne dane. Jeśli się potwierdzą, to będę przynajmniej wiedział, kto ma do mnie pretensje.

- A jeśli się nie potwierdzą?

- To zostaje zemsta za coś, o czym nie mam pojęcia... psychopata, przypadek albo pomyłka. Nie wiem, co z tego bym wolał.

Hy podniósł się z fotela i przysiadł do stolika. Nalał sobie kawy i wlał do ust połowę. Palcami prawej ręki wybijał galop na poręczu fotela.

- A nie chciałbyś zobaczyć mojego domku w...

- Nie, Hy - skrzywiłem się. - Mam tam siedzieć całe życie? Muszę wiedzieć, o co chodzi, no i był Claude...

Mason pokiwał głową, siorbnął z filizanki. Przyglądał się jakiś czas termosowi, trącił go palcem, poruszył brwiami.

- Zabezpieczyłeś się jakoś? - bąknął.

- Cała pamięć mojego minikompa będzie twoja miesiąc po mojej, że tak powiem, ewentualnej śmierci...

- Dobrze - przerwał. - Kod?

- Komp zgłosi się sam. - Zgasilem papierosa. - Masz kogoś, kto zajmuje się mafią?

- Oczywiście - podniósł się i wsadził ręce w kieszenie spodni.

- No to mnie zapowiedz.

- James Babie, sto siedemnaście - ruszył do biurka i pochylił się nad interkomem, co wyglądało na pożegnanie, więc się wyniosłem.

Przechodząc przez sekretariat, cmoknąłem kilka razy w kierunku Sary. W zamian przesłała mi uśmiech, ale widziałem, że zdenerwowało ją odstępstwo od obyczaju. Przywykła już do moich wizyt skrapianych whisky. Nasza abstynencja wytrąciła ją z równowagi. Zjechałem na

pierwsze piętro i znalazłem pokój sto siedemnaście.

James Babie miał twarz smutną jak pusta od lat skrzynka bagażowa na leżącym poza główną trasą dworcu. Na moje przywitanie odpowiedział skinieniem głowy, odwrócił w moją stronę ekran terminalu. Ciało ułożył w znak zapytania.

- Rem Wood - powiedziałem. - Właściciel firmy „Wood’s Hollyday”, sprzęt turystyczny, campingowy, wycieczkowy.

Babie zmrużył oczy i na kilka sekund jego twarz zwróciła się ku sufitowi, a potem, nie sięgając nawet do pulpitu kompa, otworzył usta i zaczął:

- Czterdzieści jeden lat. Jedna ósma domieszki czarnej krwi, a więc jeszcze biały. Firmę przejął po ojcu, a właściwie po bracie, który odziedziczył ją, a dziewięć lat temu zginął w wypadku lotniczym. Żonaty od siedemnastu lat. Żona Ariadna, dwóch synów, piętnaście i trzynaście lat. Kapitał firmy...

Chrząknąłem i uniosłem rękę. Babie przerwał i znowu przybrał kształt znaku zapytania.

- Po pierwsze, właśnie rozpoczęła się sprawa rozwodowa państwa Wood, a po drugie, interesują mnie jego powiązania ze światem przestępczym, zwłaszcza z rodzinami, z kimś wielkim.

- Wykluczone - Babie zareagował natychmiast, szybciej od komputera miejskiego.

- Na pewno? Wyklucza pan taką możliwość czy po prostu nie ma pan takich danych?

- Wykluczam - powiedział uroczyście, a zabrzmiało to jak: przysięgam.

Teraz ja postarałem się układem ciała wyrazić swoje niezadowolenie i bezradność. Odczekałem chwilę.

- Trudno - wstałem i wskazałem palcem komp. - A mógłbym dostać kopię pana dossier?

Wzruszył ramionami, najwyraźniej obraziłem go, powątpiewając w jego rozeznanie, ale nie powiedział nic. Konferował kilka sekund z komputerem, potem czekaliśmy ćwierć minuty, w końcu dostałem swoją memoretkę i poźegnaliśmy się.

Ostrożnie wytknąłem nos na ulicę. Nikt mi go nie odstrzelił ani na trasie do metra, ani gdy wskoczyłem w pierwszy nadjeżdżający wagon i potem, gdy szukałem telefonu. Przedarłem się przez szyfry i wywołałem Yayo, żeby umówić się w moim hotelu. Godzinę zmarnowałem na zgubienie hipotetycznego pościgu, a załatwiwszy to, zamówiłem już w pokoju obiad dla dwóch osób. Wtem ktoś pojawił się pod drzwiami. Kamera pokazała mi twarz Radera. Wskazałem mu fotel i krótko streściłem wizytę u Masona.

- Teraz przejrzymy życiorys Wooda milimetr po milimetrze, rozłożymy go na atomy. Musi coś być - powiedziałem. - Facet nie może ot, tak sobie, zwrócić się do mafii bez kontaktów. Oni na to nie idą, zabijają albo za ogromne pieniądze, a takich Wood nie ma, albo robią to dla znajomych i tylko to wchodzi w grę. Zaczynamy. Będziesz odfajkowywał wszystkie ślady, po których trzeba będzie pójść.

Jedząc obiad, zaczęliśmy przyglądać się z bliska Remowi. Przyglądaliśmy się jeszcze półtorej godziny. Dopiero potem Yayo wyprowadził na ekran trzy punkty: dwa nazwiska, co do których mieliśmy pewne wątpliwości oraz odnotował pobyt Wooda w Szkole Chorążych Wojsk Saperskich. Załałem dno dwu szklanek cienką warstwą algamenu;

- Fatalnie - powiedział Yayo. - Ci faceci są na pewno czyści, a to że na kursie miał okazję zetknąć się z różnymi ludźmi o niczym nie świadczy. Nawet gdyby tam był ktoś interesujący, to wątpię, żeby w ciągu dwóch miesięcy mieli sposobność zejść się aż tak blisko - kilka razy uderzył kostkami zgiętych palców w udo.

- Wiem - zaciągnąłem się, aż poczułem gorąco na końcu języka.

Zgasilem papierosa i zacząłem chodzić po pokoju z rękami w kieszeniach. Po kilku rundach czubki palców uchwyciły jakiś metalowy krążek. Nie przerywając chodzenia, wyjąłem z kieszeni nieszczęsny wisiołek Bonnie i rzuciłem na stół. Po kolejnym nawrocie zobaczyłem, że Yayo wziął go do ręki i ogląda. W końcu rozwaliłem się w fotelu i opróżniłem swoją szklankę.

- Co to jest? - spytał Yayo.

Skrzywiłem się, machając ręką.

- W Kraterze Zgubionego Czasu pracowała dziewczyna z Duluth, która co jakiś czas pozorowała samobójstwo, skacząc do strefy Hoertla. Wykonała swój numer akurat przy mnie, a ja jak idiota rzuciłem się ją ratować. Zgubiła to, a mnie coś odbiło, żeby jej oddać. Claude miał do niej zadzwonić, ale chyba nie zdążył. Znalazłem to w jego skrytce.

Ująłem twarz w dłonie i końcami palców nadusiłem gałki oczne. Chwilę uciskałem czaszkę, szukając natchnienia. Spojrzałem na Radera.

- Zadzwonić do niej? - zapytał. - Ech! - zbyłem go machnięciem dłoni.
- Daj mi spokój. Mamy inne zmartwienia.

- To wiem, ale czy mamy jakiś pomysł?

- Do cholery, nie poganiaj mnie! - wrzasnąłem. - Wiem, że Claude był twoim kumplem, a nie moim. Wiem, że znaleźliśmy się dopiero od dwóch lat. Ale dowiedz się też... - wiedziałem, że nie mam racji, wrzeszcząc na Yayo, ale nie mogłem się powstrzymać od wyładowania złości i rozpaczy - ...że zawsze pracowałem sam. Po raz pierwszy zmontowałem zespół i to nie dla forsy, bo to robi się łatwiej w pojedynkę. Był kiedyś - trochę ściszyłem głos - taki facet, który popełnił samobójstwo i zostawił mi kupę pieniędzy tylko po to, żeby wygarnąć jak najwięcej gówna z naszego życia. I dlatego zdecydowałem się na agencję, śpieszyłem się, by zrealizować testament jak najlepiej. A teraz chyba przeze mnie zginął człowiek. Płaciłem mu grosze, a w zamian zabrałem wszystko. Czy ty to rozumiesz?

- Uspokój się - Yayo rzucił mi papierosy i zapalniczkę. Złapałem jedno i drugie i niespodziewanie uspokoiłem się. Yayo był dobrym psychologiem. - Nikt cię o nic nie oskarża, podjęliśmy pracę świadomi jej niebezpieczeństw, a żaden z nas nie chciał zarabiać, zajmując się tylko niewiernymi żonami. Nie masz sobie nic do zarzucenia. I nie chodzi mi o zemstę. To jest morderstwo i powinno być ukarane, obojętne kto byłby ofiarą. Więc nie rób sobie wyrzutów i nie myśl, że cię poganiam. Gdyby sprawa była łatwa, sam bym wpadł na jakieś rozwiązanie. Nie wyczuleś, że w moim pytaniu czai się nadzieja, a nie zarzut?

Westchnąłem głęboko i pokiwałem głową. Pół minuty milczeliśmy.

Zapaliłem papierosa, Yayo nalał do szklanek. Wypiliśmy.

- Aha! Jest jeszcze jeden problem - Rader ułożył palce w pistolet i wycelował we mnie. - Claude tydzień temu kupił psa, nie wiedziałeś o tym? - zapytał, widząc moje zdziwienie. - To jest jakieś specjalne psicho, dalmatyńczyk po supertresurze. Został hipnotycznie uwarunkowany na Claude'a. - Hipnotycznie? Co ty sadzisz?

- No... - machnął ręką- ...to jest quasi-hipnoza, coś tam dają psu do zarcia, rodzaj narkotyku, a potem nasycają sygnałami właściciela, wiesz, zapachem, głosem i widokiem. Claude spędził tam cały dzień i wcale tego nie żałował. Powiedział mi, że ta suka robi cuda, ale... - Zduślił papierosa w popielniczce. - Mam z nią kłopot, nikogo teraz nie będzie słuchać, firma nie weźmie jej z powrotem, bo tego uwarunkowania nie da się cofnąć ani zmienić. Ja się psów boję, mówię szczerze. Mogę tylko wezwać rakarza.

- No to zrób to. Na psach zupełnie się nie znam, a w dodatku to jakieś zahipnotyzowane cudo - wstałem i podszedłem do okna.

Popatrzyłem przez szyby z telsaru skutecznie chroniące przed pociskami. Ruch uliczny był niewielki, nieliczni przechodnie bez pośpiechu szlifowali podeszwami betalt chodników. Obrzuciłem spojrzeniem okna pobliskich budynków, choć był to zwiad równie skuteczny jak pościg przy pomocy tresowanego małża.

- Podzielimy się - powiedziałem.- Ty zabierzesz się za ten kurs, a ja jutro odwiedzę jeszcze raz Masona i zbiorę trochę informacji o naszych dwóch podejrzanych osobnikach. Gdzie jest teraz ten pies?

- Suka. Wabi się Teba. Claude zostawił ją w psim hotelu na Mulberry Avenue. Co zrobisz?

- Nie wiem, daj ml spokój. - Oparłem czoło o chłodną szybę. - Pytam z ciekawości. - Nie radzę jej brać, pytałem tresera. Nic się nie da zrobić.

- Dobrze, skończmy z tym - wróciłem do stolika. - Zostajesz u mnie? Strzelimy jeszcze po jednym. Jeśli wychodzisz, to kończymy.

- Idę. Zajrzę jeszcze w jedno miejsce, może znajdą coś na Wooda. - Wstał i przeciągnął się, wyginając na wszystkie strony. Naciągnął kurtkę i poklepał się po kieszeniach, sprawdzając czy ma broń. Przeciskając się

między fotelem i stolikiem, dźgnął mnie kciukiem w bark. - No to cześć. Zadzwoń, jak będę coś wiedział. - Zatrzymał się przy drzwiach. - Kod ten sam? - Gdy kiwnąłem głową, zapytał: - Co to jest „be el ef”?-

:- O Boże, aleś ty ciekawski! To inicjały tej dziewczyny od wisiora.

- Aaa... - zerknął w ekranik obok drzwi i otworzył je.

Schowałem butelkę z algamą i wyłączyłem odpluskwiacz. Zmusiłem do wydajniejszej pracy układ klimatyzacji i popijając kawę, spędziłem przy papierosie niemal bez ruchu półtorej godziny. Przetawiałem mózg na swobodne poszukiwanie, myślałem o tym i owym, przeskakiwałem z tematu na temat, rozluźniłem mięśnie i w końcu zapadłem w drzemkę.

Nieco po szóstej zjechałem do baru na drinka. Chyba nikt mnie nie pilnował, przynajmniej niczego nie zauważyłem, chociaż rozglądałem się uważnie wokół siebie.

Po powrocie do pokoju uruchomiłem cerbera i sprawdziłem broń. Tym filmowym akcentem zakończyłem niezbyt udany dzień. Mimo wcześniejszej drzemki zapadłem w sen bez najmniejszych kłopotów.



Rozdział szósty

Poderwałem słuchawkę telefonu pół sekundy po pierwszym dźwięku.

- Owen, mam dwie sprawy - Yayo mówił szybko, bez przystanków. - Po pierwsze, z recordu w centrali wynika, że Claude dzwonił do Duluth cztery razy, chyba szukał tej dziewczyny. A po drugie, mam chyba kogoś „na ognie”. - Mimo że prawie nie uczynił przerwy między słowami, moje serce zdołało jakoś wcisnąć między poszczególne dźwięki kilka własnych skurczy. - Gdzie ich przyprowadzić?

- Gdzie jesteś?

- W połowie Natchez. Na rogu Baolmoral jest pijalnia soków, przystań pedałów, może tam?

- Dobrze, będę za dziesięć minut. - Zerknąłem na zegarek. - Nie wchodź tam przed dziewięcią piętnaście. A jak już wejdiesz, wypij coś i znikaj. Ja pójdę za tobą.

Rzuciliśmy słuchawki prawie jednocześnie i wbiegłem do łazienki. Dwie minuty później wyskoczyłem z niej. Oddział specjalny nauczył mnie ubierać się w piętnaście sekund, ale nie byłem w szczytowej formie i dopiero po trzech minutach byłem na korytarzu, ale za to zdążyłem zamówić wóz z dużym bagażnikiem i sprawdzić wyposażenie torby.

Do pijalni wpadłem o dziewiętej sześć. Wypomadowany juiceman obrzucił mnie powłóczystym co prawda spojrzeniem, ale prawie na pewno i spojrzenie, i pomada, i tapeta na twarzy były jego mundurkiem firmowym. Natomiast przy jednym ze stolików siedział ascetyczny typ po sześćdziesiątce, który spojrzał na mnie i połaskotał lewą brew małym palcem. Uśmiechnąłem się do niego i ledwo dostrzegalnie pokręciłem

głową. Swój kogel i dzbanek z orangem postawiłem na blacie i rozparłem się w foteliku twarzą do wejścia. Od razu zjadłem kogel i popiłem szklanką soku, kilka razy zerknąłem na zegarek. Miałem sprawiać wrażenie umówionego - zresztą rzeczywiście czekałem. Yayo nie przyszedł dwadzieścia po dziewiątej ani o wpół do dziesiątej. Czekałem do dziesiątej. Warknięciem przegnałem trzech kolejnych kandydatów do łóżka i musiałem w końcu wyjść, bo zaczęli się niepokoić.

Czekałem w samochodzie do jedenastej. Na siedzeniu obok leżała torba, w której poukładałem kilka buteleczek z paralizatorami i narkotykami, rolkę plastra, kajdanki. Zaplanowałem przecież przejście „ogona” i przepytanie go na temat pracodawcy. Duży bagażnik czekał na ładunek. Yayo wciąż nie przychodził. Połączyłem się z hotelem, ale nie było do mnie żadnego telefonu. Obdzwoniłem wszystkie numery Radera. Cisza. Potrzebny mi był łyk czegoś mocnego jak laska niewidomemu na kretowisku, a mogłem tylko wypełnić salon wozu przekleństwami, co zrobiłem. O dwunastej połączyłem się z warsztatem, gdzie usprawniano mój samochód. Kłąłem do pierwszej, kiedy porzuciłem wóz hotelowy i przesiadłem się do swojego półpancernego nabytku z kilkudziesięcioma skrytkami, z elektronicznym wytrychem do drogowych pasm zarezerwowanych, z kilkoma niezależnymi systemami ostrzegania i zabezpieczenia. O drugiej zabrakło mi inwektyw, zasiadłem nad szklanką piwa w „Honky-Tonky” i sączyłem je do czwartej. Odblokowałem swój telefon, tylko tyle mogłem zrobić. Zadzwoił za piętnaście piąta. W szpitalu byłem kilka minut po piątej.

- Został bestialsko skatowany. Widzenie wykluczone. Może pan porozmawiać z lekarzem dyżurnym - powiedziała recepcjonistka, patrząc na mnie z pewnym zainteresowaniem. Nie miałem wątpliwości, że patrzy tak tylko na wyjątkowych rozmówców. Ciarki mi przeszły na myśl, że dzięki Yayo stałem się takim wyjątkiem. Lekarz miał także zaciekawione spojrzenie. Zasiadłem w wygodnym fotelu na końcu korytarza, z którego jedne z drzwi prowadziły do separatki Yayo Radera. Miał złamane osiem różnych kości, wybite oko i zęby, zmiażdżone

genitalia. Dostarczono go do szpitala w znieczuleniu, z dokładną informacją o dozowaniu narkotyków. Była też informacja dla mnie. Dowiedziałem się o tym z rozmowy z doktorem Olheiserem, dwie doby później. A potem Yayo umarł. Nie byłem na pogrzebie. Nikt nie był. Spędziłem dwa dni w pokoju hotelowym. Myślałem, kombinowałem, rozważałem. Wieczorem, dwa dni po zgonie Yayo zadzwoniłem do Ariadny Wood.

Starła się nie okazać zdziwienia, ale nie przesadzała w staraniach.

- Dobry wieczór - ukloniłem się do soczewki. - Przepraszam, że przeszkadzam, ale mam problem i sądzę, że pani może mi pomóc. Jeśli pani zechce, oczywiście.

Uniosła jedną brew i przekrzywiła głowę, potem gwałtownie nabrała powietrza do płuc i spróbowała się uśmiechnąć.

- Może przejdę od razu do sedna. Ktoś się bardzo na mnie rozgniewał i wyraźnie to okazuje. Czy mógłby to być pani mąż?

Tym razem jej reakcja była szczerą. Cofnęła brodę i zacisnęła usta.

- Rem? - zapytała jakby wątpiac, że chodzi o jej męża.- Absurd! - prychnęła. - Oczywiście, jest wściekły, ale to dotyczy mnie. Przecież nie jest idiotą, żeby wściekać się na młotek, którym uderzył się w palec. Nie - uśmiechnęła się ubawiona moją głupotą.

- Przepraszam, a rozwód?

- No... - pokiwała głową w lewo i w prawo. - Na razie wstrzymałam się z dalszymi krokami, zawiesiłam proces. Zobaczę, jak będzie się sprawować. Przemysślałam sprawę i postanowiłam dać mu szansę. Tak że pana podejrzania nie mają sensu - zerknęła na zegarek.

- Aha... - cmoknąłem z żalem. - No to trudno. Dziękuję. Nie będę już pani zabierał czasu. Do widzenia.

Powstrzymała się od zadania pytania, choć nie przyszło jej to łatwo. Skinęła głową i rozłączyliśmy się prawie jednocześnie. Rzuciłem się na łóżko. Postanowiłem założyć, że Ariadna zna swojego męża, zresztą typowałem Wooda na zabójcę Claude'a i Yayo tylko dlatego, że nie miałem innych kandydatów. W dalszym ciągu nie miałem, ale wyszły na jaw pewne przesłanki, ulotny cień padł w zupełnie inną stronę.

Postanowiłem spenetrować ten właśnie kierunek. Ubranie z carbonu włożyłem już przed rozmową z Ariadną, biffax obciążył kieszeń. Nie pozostało mi nic do zrobienia prócz przedłużenia rezerwacji. Załatwił to komputer. W hallu oczekiwałem na małą grupkę gości i wyszedłem wraz z nimi na ulicę, gdzie szybko wskoczyłem do taksówki, kazałem się wieźć do południowej części miasta i rozparłem się na siedzeniu. Jazda przebiegała spokojnie, kilkakrotnie spojrzałem za siebie, ale nie zauważyłem „ogona” na całej trasie aż do placu przed terminalem miejskim. W sali pod gigantyczną kopułą przejrzałem rozkłady jazdy i nie mogąc zorientować się w gąszczu cyfr i literek, użyłem kabiny z kompem i dopiero tam dokładnie zorientowałem się w możliwościach. Wahałem się chwilę - samolot był szybszy, tyle że na szybkości mi specjalnie nie zależało; ekspres dawał przeciwnikom czas na przygotowanie jakiejś niespodzianki, ale jednocześnie i ja zyskiwałem czas na zastanowienie się, a poza tym tylko jakiś ich błąd dawał mi szansę trafienia na właściwy trop. Zamówiłem bilet na okaziciela, przelałem opłatę z mojego konta i wyszedłem z kabiny.

Terminal był jednym tym bardziej niebezpiecznych miejsc dla człowieka spodziewającego się w każdej chwili pocisku między oczy czy małej strzałki w kark. Serki ludzi snuło się po głównej sali, tworząc na kilka sekund małe skupiska i znów rozchodząc się. Niektórzy stali chwilę, potem zrywali się do biegu, prawie każdy miał w ręce czy na ramieniu jakąś torbę. Idealne miejsce, by wyjąć z teczki rozpylacz, użyć i pobiec z zaferowaną miną w dowolnym kierunku. Mogłem wmieszać się w tłum albo stać pod ścianą, ale jedno i drugie miało więcej wad niż zalet. Cóż mogłem zrobić innego? Zerwałem się nagle i na początek pobiegłem dookoła sali. Prawie pustą winiarnię znalazłem dopiero po dwustu metrach biegu, kiedy i tak zaczynałem zwalniać. Był nawet pusty stolik w rogu, przesunąłem tylko lekko fotel, by mieć osłonięte boki i zamówiłem szampana z kilkoma kroplami koniaku. Prawą połą kurtki ułożyłem równo na kolanie i wsunąłem dłoń do kieszeni.

Zapałem i choć dyszałem ciężko po biegu, papieros sprawił mi dziwną przyjemność. Zanim kelner postawił przede mną wysoki

stożkowaty kieliszek i skasował należność, przyjrzałem się pięciu mężczyznom i trzem kobietom siedzącym w pobliżu i wygodnie rozparty w fotelu, z biffaxem w dłoni skierowałem zamyślane spojrzenie w sufit nad drzwiami. Przesiedziałem tak prawie półtorej godziny. Poczułem nawet coś w rodzaju rozczarowania, wolałbym, by coś zaczęło się dziać niż siedzieć tak beczynnie, ugniatając w spoczonej dłoni kolbę pistoletu. Gdy do odjazdu ekspresu zostało siedem minut, pobiegłem po ruchomym chodniku na teren dworca i wskoczyłem do wagonu stojącego na bezludnym peronie. Odczekałem przy oknie kilka minut i dopiero gdy wagon ruszył, by na zbiorczej rampie dołączyć do innych, przyjeżdżających z pozostałych dworców miasta, znalazłem swój przedział. Bilet wsunięty w szparę readera otworzył drzwi, ale nie wchodziłem. Przeczekałem na korytarzu kilkanaście minut jazdy, aż poczułem kilka delikatnych wstrząsów i pociąg po sformowaniu składu ruszył pełną szybkością. Spacer po korytarzu przekonał mnie, że tylko trzy przedziały są zajęte. Szybko wróciłem do końcówki kompa na początku wagonu i wykupiłem pozostałe sześć przedziałów. Pozamykałem w nich drzwi, a sam ulokowałem się w pierwszym od wejścia. Pod kuloodpornym ubraniem byłem mokry jak mysz, to znaczy jak mysz biegająca w pancernym futerku. Musiałem skorzystać z prysznicza, a potem owinięty w prześcieradło usiadłem pod strugami chłodnego powietrza z klimatyzatora, żeby opatrzeć i zdezynfekować swoją psyche. Wykonałem cały dwugodzinny kompleks mato-soe. Zakończyłem dwoma seriami autohipnozy, czego nie robiłem od dziesięciu lat. Ale też nigdy nie czułem się tak zagrożony i nigdy nie miałem tak nikłego pojęcia o przeciwniku. I nikt nigdy nie zabił w odstępie trzech dni dwóch moich pracowników. Absolutny debiut. Wypaliłem dwa papierosy pod rząd i czując się nieco lepiej, położyłem się na szerokim łóżku. Cichy szmer, a może tylko świadomość pędu, nie wiem, ale coś ukołysało mnie skutecznie.



Rozdział siódmy

Kiedy nagle obudziłem się, w przedziale było ciemno, rozświetlała go tylko poświata gwiazd i księżycy padająca z okna. Zerwałem się i błyskawicznie ubrałem. Osłuchałem ściany i drzwi, ale nie licząc szmeru powietrza ciężego korpusem pociągu nic nie dotarło do moich uszu. Stałem nieruchomo pośrodku przedziału kilkadziesiąt sekund z wnętrzościami skręconymi w ciasną spiralę. Ekspres wszedł właśnie w łagodny zakręt, siła odśrodkowa delikatnie pchnęła mnie w kierunku okna i wtedy usłyszałem dwa szybkie, metaliczne stuknięcia w sufit. Na palcach przysunąłem się do drzwi, odbezpieczając pistolet. Drzwi otworzyły się bezszelestnie, a ja przykucnąłem i z żabiej perspektywy rozejrzałem się po korytarzu. Pusto. Zatrzymałem się w drzwiach, nie wychodząc z przedziału. Chwilę zastanawiałem się. Przypomniałem sobie wąskie drzwi zaraz przy wejściu do wagonu. Znalazłem w kieszeni futerał z cienkimi tytanowymi wytrychami, jeden zacisnąłem między zębami i z drugim w lewej ręce szybko przesunąłem się na koniec wagonu. Łatwo przedostałem się do sekcji serwisowej. Bez trudu odnalazłem włącznik. Chwilę mrugałem, usiłując szybko zorientować się w pomieszczeniu. Znajdowało się tu wszystko, o czym marzyłem. Kilka skrzynek z narzędziami i duża okrągła kłapa w suficie. Zamknąłem drzwi, zablokowałem zamek, zaczepiłem drabinkę i wdrapałem się pod sufit. Kłapa otwierała się za pomocą korby po odblokowaniu zamka. Nie potrzebowałem nawet narzędzi. Dla pewności, by nie robić niepotrzebnego alarmu, zsunąłem się na dół i wróciłem z nożycami. Przeciąłem cienki przewód sygnalizujący otwarcie kłapy i jeszcze raz

zszedłem. Odłożyłem nożyce i wyłączyłem światło. Odczekałem chwilę aż wzrok przyzwyczai się do ciemności i trzeci raz wspiałem się po drabinie. Odblokowałem zaczepy klapy i trzymając biffax w prawej ręce i zapierając się nogą o ścianę, szarpnąłem korbę. Stawiła mocny, sprężysty opór. Nie miałem szans otwarcia jedną ręką. Schowałem pistolet do kieszeni i poprawiłem się na drabinie. Wiedziałem, że na dachu pędzącego z prędkością prawie czterystu kilometrów na godzinę ekspresu nie utrzyma się człowiek, a więc broń na razie nie była mi potrzebna. Wiedziałem również, że jeśli w ogóle otworzę klapę, pęd powietrza może mnie zmieść z drabinki jak śmieć z parapetu. Oplotłem nogami pręty drabiny, nabrałem powietrza i ponownie pociągnąłem korbę. Coś cmoknęło, klapa odrobinę uniosła się i nagle z głośnym furkotem odskoczyła. Ryk powietrza wypełnił komórkę, moje ręce wpadły w strugę wichru omywającą ściany i dach pociągu, rzuciło mną do tyłu i boleśnie uderzyłem przedramionami w krawędzie otworu. Omal nie spadłem z drabiny, rozkaszałem się ogłuszony uderzeniem powietrza. Jakiś czas poprawiałem się, wciąż nie mogąc znaleźć optymalnej pozycji. W końcu nabrałem powietrza w płuca i wysunąłem czoło na zewnątrz. Musiałem z - całej siły napiąć mięśnie karku, by nie stracić głowy. Udało mi się ją wysunąć, tak że w świetle księżycza zamajaczyła przede mną płaszczyzna dachu, ale mając głowę w tunelu aerodynamicznym, nie byłem w stanie stwierdzić czy jasny występ na nim jest częścią pociągu czy czymś obcym. Zsunąłem się na podłogę i włączyłem światło. Szarpany na wszystkie strony gwałtownymi porywami wiatru, rozejrzałem się po komórce. Zacząłem przeglądać szafki przynaglany myślą, że któryś z pasażerów usłyszy hałas i zawiadomi obsługę, a obiekt na dachu, jeśli nie był częścią składu, również skłaniał do pośpiechu. W trzeciej czy czwartej szufladzie znalazłem okulary spawalnicze, przestawiłem drabinę, tak by pęd powietrza przyciskał mnie do niej i szybko wdrapałem się na górę. Teraz napinając mięśnie szyi, mogłem chwilę patrzeć przed siebie, pęd powietrza rozchyłał mi wargi i nadymał policzki. Mózg zakotłował się w czasie omywany dwiema strugami powietrza wpadającymi przez uszy,

ale opłaciło się - pęcherz na dachu, półkula jaśniejąca na ciemnym tle nie zawiodła mnie. Sześć przyssawek wolno, parami przesuwano bąbel do przodu, oddalając go ode mnie. Prosty mechanizm napędowy używany na przykład do czyszczenia przepływów wody w zaporach, tu miał do wykonania inne zadanie. Spróbowałem ocenić, ile ma jeszcze do przejścia, by znaleźć się nad moim przedziałem, tym wykupionym w terminalu, i jednocześnie gorączkowo myślałem, co dalej robić. W grę wchodziła tylko ucieczka do przodu. Gdy ładunek zdetonuje, wówczas pęd powietrza rozerwie wagon. Te z tyłu osiadną na szynie magnetycznej i nastąpi piekło. Zresztą z przodu niekoniecznie musi być inaczej. Zsunąłem się dwa stopnie niżej i wyjąłem biffax. Pochyliłem głowę, by dać odpocząć mięśniom szyi, głęboko odetchnąłem kilka razy zmuszając umysł do ekspresowej analizy: jeśli uda mi się w ogóle wycelować i odstrzelić przyssawkę to ryzykuję, że bomba grzmotnie w moją głowę i bez detonacji wykona swoje zadanie. A nie ulegało wątpliwości, że muszę to zrobić. No to już... Jeszcze raz poprawiłem się na drabince i wysunąłem dłonie z biffaxem na zewnątrz. Udało mi się zaczepić o brzeg otworu małymi palcami obu dłoni ściskających jednocześnie kolbę pistoletu. Pochyliłem głowę do przodu, wysunąłem ją przez otwór i naprowadziłem muszkę na ostatnią prawą przyssawkę. Poczekaliśmy, by przykleiła się do dachu i wystrzeliłem dwa razy. W łoskocie wichury prawie nie słyszałem huku, ale wiedziałem, że nie trafiłem. Zaciśnąłem zęby i znów strzeliłem dwukrotnie. Przyssawka szarpnęła się, wykonała kolisty ruch i nagle wystrzeliła w moją stronę. Runąłem w dół, niedostatecznie jednak szybko, by nie poczuć ostrego uderzenia w głowę. Zwaliłem się na podłogę, zdarłem okulary, przekręciłem na plecy i przyciskając przedramię do czubka głowy, patrzyłem w otwór. Jeśli bomba w kolejnym kroku uruchomi tylną parę przyssawek, to musi się oderwać. Chyba żeby była już nad celem i za sekundę czy dwie popełni efektowne samobójstwo. Czekałem jeszcze kilka chwil ze spojrzeniem wbitym w ciemny otwór nad głową, a potem zakląłem, zerwałem się z podłogi, naciągnąłem okulary i ponownie, chyba już siedemnasty raz, wdrapałem się na drabinę. Wysunąłem głowę milimetr po milimetrze,

ale gdy oczy znalazły się ponad poziomem dachu, nie zobaczyłem niczego. Szybko schowałem głowę i przekręciłem się na drabince, wyrząłem ponownie, spoglądając teraz do tyłu. Wiatr błyskawicznie zerwał okulary, ale zdążyłem zobaczyć gasnący błysk po lewej stronie. Chichotałem radośnie i złośliwie, triumfalnie zeskakując na podłogę, ale musiałem jeszcze raz wdrapać się, by zamknąć klapę. Szło to tak ciężko, że chwilami traciłem nadzieję, czy podołam. W końcu udało się. Rzuciłem w kąt okulary i ostrożnie wyszedłem na korytarz. Wciąż był pusty. Bezszelestnie zrobiłem kilka kroków i wsunąłem się do swojego przedziału. Dopadłem papierosów i gorączkowo zaciągając się rozebrałem się i podążyłem do łazienki. Pod strumieniami zimnej wody udało mi się zatrzymać krwawienie, a potem pod ciepłym nieco ogrzać. I już byłem zrelaksowany i zadowolony. Przeciwnik zaczął działać, zatem szansa na jego błąd wzrosła. Zastanawiałem się, czy warto wobec tego jechać do Duluth, ale zdecydowałem, że skoro wysłał za mną bombę, mógł nie usuwać śladów w rodzinnym mieście Bonnie Le Fay. Zresztą i tak nie mógłbym wysiąść, więc nie wysuwając nosa z przedziału, przesiadzałem przy papierosach pozostałą godzinę.



Rozdział ósmy

Zapłaciłem okrągłą sumkę za sesję z komputerem, ale dowiedziałem się od niego sporo o Bonnie. Sierociniec, szkoła, praca w „Duluth Tribune”. Postanowiłem zacząć od pracy. Nie sądziłem, bym w dzieciństwie panny

Le Fay znalazł coś, co sprowokowało dwa morderstwa. Zdecydowałem się zająć jej pracą. Gwizdnałem na taxi. O tej porze ruch na drogach był nieduży, ulice kręte, tak że bez trudu zobaczyłbym śledzący mnie samochód, nie odrywałem więc nosa od tylnej szyby taksówki. Na pewno nikt za mną nie jechał, ale też pewne było, że w pociągu znajdował się ktoś, kto skorzystał z klapy w przedziale służbowym, by wypchnąć przez nią bombę i kto wiedział, że jego ciężka praca poszła na marne. Ten ktoś zapewne znów będzie próbował wykonać zlecenie.

Taksówkarz przyjął niewielki napiwek bez słowa podziękowania, co kolejny raz upewniło mnie, że w dwudziestym pierwszym wieku taki przeżytek razi zarówno dawcę, jak i biorcę. Tuż za wysokim, chudym starszkiem wszedłem do dwupiętrowego budynku.

- Przepraszam pana - zabiegłem mu drogę w hallu. - Szukam pewnej kobiety, pracowała tu kiedyś, może pan ją zna? Bonnie Le Fay?

Przełożył teczkę do lewej ręki i wyciągnął do mnie prawą. Miał starcze, zimne i suche dłonie. Spłukane życiem niebieskie oczy przesunęły się po mojej osobie, a pomarszczone wargi, przez które przejść musiały kilometry makaronu rozsunęły się, odsłaniając wspaniałe, białe zęby. Bez wątplenia kosztowały furę pieniędzy.

- Lester Alchin - powiedział wysokim głosem, niemal falsetem. - Proszę do mnie, mam chwilę czasu - zaakcentował tę chwilę, jakby to

był cud, a przecież Hy Mason twierdził, że jeśli jakikolwiek dziennikarz ma choć raz w życiu chwilę czasu, to znaczy, że nie jest dziennikarzem.

Staruszek wskazał mi schody. Na pierwszym piętrze pchnął jakieś drzwi i weszliśmy do niewielkiego pokoju z dużym biurkiem i dwoma fotelami. Prócz nas i tych trzech mebli nie było nic, nawet kosza na papiery. Usiedliśmy w fotelach rozdzieleni biurkiem. Alchin oparł łokcie na blacie i splótł palce. Żeby nie miał wątpliwości, że czeka na pytania, wysunął do przodu brodę.

- Bonnie Le Fay - powtórzyłem. - Szukam jej, bo mam coś, co do niej należy.

- Tylko dlatego? - zapytał podejrzliwie.

W jego oczach roz błysła duma z własnej przenikliwości. Westchnąłem w duchu. Na zewnątrz westchnąłem również, lecz w innej tonacji.

- Nie będę ukrywał - powiedziałem. - Jestem detektywem. Szukam jej również na zlecenie chłopaka, którego rzuciła, a on nie może się z tym pogodzić. Historia starsza niż świat.

- Aha - dotknął dłonią podstawki z pisakami i pliku kartek jak niewidomy sprawdzający układ przedmiotów. - Nie wiem o niej zbyt wiele. Pracowała u nas krótko, niecały rok. Przyszła ze stosem artykułów, reportaży, felietonów z pisemka szkolnego, przekonana, że może pisać na każdy temat. Rzeczywiście, sprawdziła się w okresie próbnym. Opowiadał w skrócie - wyjaśnił. - Nie była wprawdzie drugą Fioną Shinerock, ale... - przez przymknięte wargi wydmuchnął porcjami powietrze - ...miała szansę rozwijać się u nas. Co prawda, marzyła o grubej aferze, o skandalu na miarę co najmniej stanu. Chciała wstrząsnąć naszym miastem, ale nam nie o to chodziło, więc ją temperowaliśmy. Po roku zwolniła się, twierdząc, że tu nie może rozwinąć skrzydeł i wyjechała.

Pozornie zakończył wypowiedź. Przygryzłem dolną wargę i okraśliłem spojrzenie sporą dozą smutku. Musiałem wyglądać wystarczająco bezradnie, bo Alchin uśmiechnął się z wyższością. Za te zęby mógłby kupić dwa samochody, ale w końcu jeździć nie musiał, a jeść tak.

- Co najsmieszniejsze, spotkałem ją pół roku temu zupełnym

przypadkiem w... nie zgadnie pan! - uniósł wskazujący palec i strzepnął nim. - W Kanadzie!

Zawiesił głos. Wychyliłem się do przodu.

- Co tam robiła?

- Nie wiem - wzruszył ramionami.- Ale rozmawiała ze mną w irytujący sposób, nieomal poklepywała protekcyjnie po ramieniu - jego wysoki, łamiący się głos zawiódł nagle, gdyż prawie kwiknął. - Zapytała łaskawie, co słycać w Duluth i wysłuchała mojej odpowiedzi. Rzuciła niedbale, że ma życiowy temat. Powiedziała, że nasza gazeta będzie kiedyś dumna z faktu współpracy z nią. Po chwili zastrzegła, że żartuje, ale chyba mówiła serio. No, ale jak na razie nie błysnęła niczym, prawda?

- Ma pan rację.

- Oczywiście - jeszcze raz strzelił uśmiechem. - W moim wieku suma doświadczeń i to... - wskazał swój nos - ...pozwala prawie bez pudła oceniać ludzi. Rzadko się myślę.

- Niewątpliwie - wstałem i zrobiłem krok w kierunku biurka...

Nie wstał, ale wysunął do mnie dłoń i niespodziewanie przytrzymał moją. Zmrużył nieco oczy i przeszył mnie przenikliwym spojrzeniem.

- Pan nie jest detektywem - rzucił twardo.

Uwolniłem dłoń i odsunąłem się nieco. Spłoszony strzeliłem oczami po ścianach i suficie.

- Nie - przyznałem się. - Po prostu nabrała mnie na większą kwotę.

- Właśnie! - rzucił nie bardzo sensownie. - Na przyszłość niech pan nie podszywa się pod innych. Robi pan to bardzo nieudolnie.

Uśmiechnął się jeszcze raz. Uniosłem obie dłonie i uśmiechając się przepraszająco, dotarłem tyłem do drzwi. Skinieniem głowy pożegnałem Alchina i wyszedłem z pokoju i budynku. Schodząc w dół uznałem, że nie znalazłem tu żadnych śladów.

Złapałem taksówkę i pojechałem na lotnisko. Wszystko wskazywało na to, że Bonnie Le Fay jest przyczyną trzech zamachów, katalizatorem, który uruchomił gwałtownie przebiegającą reakcję. Było równie jasne, że w Duluth zostawiła po sobie nader nikły ślad i że chyba ten ślad

znalazłem. Dopiero na lotnisku przypomniałem sobie, o co jeszcze miałem zapytać Alchina. Szybko zatelefonowałem do niego, a gdy podniósł słuchawkę zapytałem, w jakim mieście spotkał Bonnie.

- W Ottawie. Na ulicy - pisał.

Rzuciłem słuchawkę. Wykupiłem bilet na samolot do Scheridan z lądowaniem w Fargo. Już na pokładzie sprawdziłem rozkład lotów. W Fargo nie schodząc z płyty, znalazłem samolot do siebie i nieco po trzeciej byłem z powrotem w hotelu. Wprawdzie zjadłem lekki obiad podczas lotu, ale zamówiłem drugi i ku własnemu zdziwieniu spałaszowałem go piorunem. A gdy sięgałem po wykałaczkę, doznałem ołśnienia. Dopadłem komp i zażądałem książki telefonicznej na PI. Gdyby ktoś miał mnie już na podsłuchu, z trudem zorientowałby się, o jakie nazwisko chodzi. Spacerowałem po pokoju z papierosem w zębach, co jakiś czas zerkając na ekran. Przesuwały się po nim równe szeregi adresów i telefonów, przyspieszyłem wertowanie i przycupnąłem z notesem w ręce. Pinigerów było kilkudziesięciu, na szczęście Lyndon był tylko jeden. Nie zanotowałem numeru telefonu, gdyż był nadspodziewanie łatwy. Poklepałem się po kieszeniach i wybiegłem z pokoju. Zignorowałem windy, dla urozmaicenia wybierając służbową część korytarza. Już pierwszego dnia za pomocą elektrowytrycha wymacałem kod. Garaż był pusty i cichy. W jednym z motoboksów paliło się światło. Na palcach podszedłem bliżej i zajrzałem do środka. Młody chłopak, chudy jak sznurówka, dużą płachtą irchy polerował chromowany zbiornik olbrzymiego harleya. Wycofałem się cicho i zbliżyłem do samochodów, zastanawiając się, który pożyczyć.

- Słucham pana? - usłyszałem z tyłu.

Odrzuciłem się, spokojnie podszedłem do garażowego. Wygrzebaną z kieszeni piątkę jedną ręką skręciłem w rurkę.

- Potrzebny mi jest twój motocykl. Na dwie godziny - powiedziałem w natchnieniu. - I kombinezon - dodałem widząc, że chłopak otwiera usta, by mnie wyśmiać. - Za drugie tyle.

Zamknął usta z młaśnięciem. Kilka sekund zastanawiał się.

- Ma pan szczęście - powiedział. - Akurat nie mam na benzydol.

Wysunął jedną rękę po forszę, drugą wskazał boks. Przekazałem mu banknot i przecisnąłem się między masywną maszyną a ścianą. Podniszczony kombinezon był na mnie nieco za szeroki, a już zupełnie nie wiem jak wyglądał w nim właściciel, ale bardziej martwił mnie motocykl. Młodzian obejrzał mnie sceptycznie, wytoczył maszynę i widząc, że naciągnąłem rękawiczki i sięgam po kask, lekko trącił palcami stopy rozrusznik. Głęboki pomruk silnika, który mógłby napędzać tankietkę, ponurym echem odbił się od ścian garażu. Złapałem za kierownicę i trąciłem podnózek. Gdy przerzuciłem nogę przez siodełko, młodzian nachylił się do mnie, ale nic nie powiedział. Widocznie uznał, że wiem, ile kosztuje taka zabawka. Jedyńka weszła bez oporu, puściłem sprzęgło i głowę odciągnęło mi do tyłu. Wolno wyjechałem z garażu i włączyłem się do ruchu. Po kilkunastu minutach opuściła mnie trema, śmielej pędziłem po ulicach, wykorzystując każdą lukę, by przesunąć się do przodu. Dwadzieścia minut śmigałem bez celu, potem skierowałem się do Oak Lawn. Dwie przecznice od domu Lyndona zatrzymałem się obok budki telefonicznej i wystukałem jego numer. Był w domu i nawet nie zdziwiłem go, wprasząc się na wizytę, a motor był, tak szybki, że zanim odłożył słuchawkę byłem już pod jego domem.

- Mam masę czasu - oświadczył, gdy rozsiedliśmy się na dwóch wąskich kanapach z drewna i sztucznej skóry. - Możemy gadać w nieskończoność.

- Nie bardzo. Nikt nie może nas razem zobaczyć, nie dzwoń do mnie przypadkiem i zaprzeczaj, że mnie znasz.

- Aż tak?

- Więcej.

- Hm. No to w czym mogę ci pomóc?

- TEC - powiedziałem. - Skąd to się wzięło, jak działa, czemu służy i tak dalej, i tak dalej...

- Co ty? Nie wiesz takich rzeczy? Gdzieś ty był dziesięć lat temu, kiedy wrzało wokół TEC tak, że nie było słyhać piorunów i nikt nie zauważał błyskawic.

- Byłem na odwyku, powiedzmy.

- Aha... A teraz?

- Teraz nie jestem.

- No to poczekaj, zaparzę kawę. Opowieść może być długa.

Wyszedł do kuchni. Podszedłem do wykutych w ścianie nisz i włączyłem quadrofon, tak by był ledwo słyszalny i wróciłem na fotel. Lyndon wniósł po chwili tacę z tubiastym termosem, filiżankami i szklaneczkami. Postawił wszystko na stole i raźnie podskoczył do wąskiego termobarku w jednej z nisz. Pokazał mi butelkę ginu, a gdy skinąłem głową, złapał jeszcze pod pachę pojemnik z tonikiem i małe opakowanie seco. Milczał napełniając szklaneczki, dopiero gdy łyknęliśmy i ruchem brwi pochwaliłem kompozycję, Lyndon zapytał: - Wszystko od początku?

- Tak - nie przyznawałem się, że podczas śledzenia Wooda przyswoiłem trochę wiadomości o Hoertlu i jego epokowym wynalazku.

- Orth Hoertl jest absolwentem wydziału fizyki eksperymentalnej w Boise. Jest jedynym wartym wzmianki absolwentem tej prowincjonalnej uczelni. Po studiach wykładał dwa lata fizykę cieczy, nie pamiętam gdzie, czy to ważne? - Zaprzeczyłem ruchem palca. - Potem osiadł z żoną i dziećmi u teściowej w Fort Peck w Montanie i uczył w średniej szkole. Jeśli wierzyć temu, co mówił, to już wtedy kiełkował mu w głowie pomysł opornika czasowego. Wymyślił sobie urządzenie, które miało spowalniać czas. Teoretycznie jest to jego zdaniem możliwe aż do nieskończoności, czyli w eksperymentalnym wymiarze można by zatrzymać czas, czujesz? W takim polu człowiek byłby nieśmiertelny - wyjął spod blatu zapalonego papierosa. Zaciągnął się dwa razy. - Do tego potrzebna jest jednak gigantyczna moc, jakiej nie jesteśmy, w stanie aktualnie wytworzyć. Udało mu się nieco przekroczyć kwadrat z jeden i sześć dziesiątych, czyli zwalnia czas jakies trzy razy. Możesz sprawdzić w sieci wszystkie dane, jeśli są ci potrzebne, ale chyba nie o to chodzi?

- Nie, masz rację.

- No, to dalej. Jakoś tam zainteresował swoim opornikiem Goldleafa, przeciętnego milionera ze skłonnością do ryzyka. Tamten wpakował w cewkę Hoertla prawie cały swój majątek, a kiedy zabrakło, założył TEC,

zebrał potrzebny kapitał i wybudował Krater Zgubionego Czasu. Powinieneś to zobaczyć. Co by nie mówić, robi wrażenie.

- Dlaczego powiedziałeś: co by nie mówić? - zainteresowałem się.

- To później - chlusnął ciecżą ze szklanki w otwarte usta. - Teraz historii TEC ciąg dalszy. A więc, Goldleaf przy pomocy kompanii bystrych prawników, na zasadzie precedensów i Bóg wie jeszcze czego, utajnił i jednocześnie opatentował cewkę Hoertla, jasne? TEC jest kompanią produkującą cewki, ale jest jedynym znanym w historii świata producentem jednorazowym. Zaplanowali zbudowanie jednej cewki i zastrzegli patent Koniec. W ten sposób nikt, nigdy i za żadne pieniądze nie zbuduje takiej cewki. Więcej, zablokowali budowę ewentualnych podobnych urządzeń do końca świata. Chyba że udowodni się całkowicie inną zasadę i masę innych rzeczy. Reasumując, TEC i Goldleaf z Hoertlem są jedynymi na kuli ziemskiej panami czasu. Już w trakcie działań prawnych rzesza ludzi zastanawiała się nad celem ich działalności, bo o ile problem jest niesamowicie ciekawy z teoretycznego punktu widzenia, czyli sam czas, jego spowalnianie, pośredni spór z Einsteinem, a jak wiadomo on i cała fizyka po nim uważała, że czas może biec wolniej tylko w pojeździe pędzącym z prędkością bliską prędkości światła, co prawda Hoertl dość mętnie tłumaczył, że jego cewka symuluje posuwanie się w przestrzeni z taką właśnie prędkością, o tyle nikomu nie udało się wymyśleć jak wycisnąć z tego pieniądze i to takie, by kolosalne koszty zwróciły się, nie wspomnę już o zysku - przerwał na chwilę z braku tchu. Dopiliśmy swoje porcje i Lyndon rozlał znowu gin i rozcieńczył go tonikiem i seco. - W końcu, kiedy Goldleaf był pewien, że nikt mu nie zdmuchnie interesu, ogłosił TEC dobroczyńcą ludzkości, choć od razu zastrzegł, że dobroczyńca nie musi być altruistą. Wymyślił następującą rzecz: kolegium TEC i ewentualni dodatkowi eksperci typują co roku jednego, dwóch wybitnych uczonych, którzy otrzymują prawo do zamieszkania w Kraterze Zgubionego Czasu, jedynym „zakładzie produkcyjnym” Time Exploring Company. Płacą za to nie za dużo, ale też i nie grosze. W niektórych przypadkach pomagają uczelnie, instytuty, nawet prywatni

sponsorzy. I taki uczyony jest zamykany w specjalnej „trumnie”. Cewki Hoertla na ułamek sekundy przerywają pracę, trumna wpada do kuli, kula wypływa kapsułą z owocami rocznej pracy zamkniętych wcześniej naukowców, czyli jakby spłacają swój dług, no i to wszystko. Aha! Wykupili przestrzeń nad Kraterem. Są pytania?

- Po pierwsze... wybaczyć, jestem absolutnym laikiem i pewnie dlatego nie potrafię sobie wyobrazić spowolnienia czasu - rozłożyłem ręce. - Facet w takim polu powinien moim zdaniem poruszać się jak w kisielu albo pod wodą.

- To jest właśnie wpływ idiotycznych filmów science-fiction - Lyndon pokiwał głową z dezaprobatą. - Zaraz ci zademonstruję - wstał od stolika i zaczął grzebać w kasecie stojącej w jednej z nisz. Znalazł jakiś sznurek i wrócił z nim do mnie. Zanim rozpoczął pokaz, pogonił mnie ruchem dłoni. Szybko wypilem i podstawiłem szklankę. Wprawnie wlał do szklanek jałowcówkę.

- Patrz - unióś obie ręce, trzymając w palcach końce sznurka. - Wyobraź sobie muchę, która przejdzie ten odcinek w ciągu minuty. Widzisz to, prawda? - Skinąłem głową. - A teraz... - rozsunął dłonie, sznurek okazał się gumką i wydłużył chyba pięciokrotnie - ...mucha poruszając się z taką samą prędkością, przejdzie tylko jedną czwartą czy jedną piątą tego odcinka. Rozumiesz? Ona robi to, co robiła, przedtem, tyle że ma do zrobienia o wiele więcej, to znaczy, jeśli chce znowu przejść całą tę odległość. I to wszystko. Dla tych w kuli doba trwa dwadzieścia cztery godziny, poruszają się normalnie, nie tak jak ty to widzisz, a w rzeczywistości w tym czasie mijają trzy nasze doby. Proste?

- Ty w to wierzysz?

- Widzisz, mnie to też męczy, dlatego powiedziałem: „co by nie mówić” - westchnął pełną piersią. - Na studiach, patrząc na wzory wierzyłem w to i powinienem wierzyć teraz, kiedy słowo ciałem się stało, ale widocznie jestem kiepskim fizykiem. No i fakt, że nikt prócz Hoertla dotychczas nie wie, jak spowolnić czas. Nie było żadnego pokazu, żadnego raportu. Męczy to nie tylko mnie, najlepszy dowód, że dopiero trzy lata temu dostał Nobla, a i tak mówi się, że jest to

„wydeptana” nagroda. Chol... - piasnął dłonią w udo. - Chyba po prostu męczy mnie tajemnica i zazdrość. Chyba tak...

- Dobra. A co z tymi naukowcami? Jak się ich typuje, na ile tam idą?

- Mówiłem, typuje kolegium TEC. Czasem kupują ekspertyzy u innych naukowców. Wybierają największe umysły, z największymi osiągnięciami i perspektywami, to po pierwsze. Po drugie, TEC najbardziej preferuje nauki stosowane, a przynajmniej te z teoretycznych, które w perspektywie mogą dać jakiś zysk. To zrozumiałe. I trzeba przyznać, że nie są nachalni, a jednak stajnia Goldleafa zakosiła jak dotychczas osiem Nobli, dziewięć, licząc Hoertla. Rzeczywiście mają stos wynalazków, kilkaset patentów na różne rzeczy, wymienię chociażby nowy typ zapięcia do ubrań, tak zwany magnetoszew, jakieś turbiny, kilka nowych leków. Możesz to wszystko znaleźć w swoim kompie. Oczywiście, mają też sporo prac teoretycznych. Ale moja wiedza tu się powoli kończy. Był czas, kiedy chłonałem wszystko o Hoertlu, potem mi przeszło. Nie mam szans tam się dostać, a na wycieczce w Kraterze już byłem. Aha! - przerwał w połowie ruchu w kierunku papierośnicy. - Pytałeś na ile idą do Krateru? No więc mówi się w tak zwanym środowisku: „Iks miał piękny i szybki pogrzeb” po każdym załadowaniu Krateru nowym człowiekiem. Już wiesz dlaczego?

- Nie wychodzą stamtąd? - domyśliłem się.

- Tak - przypomniał sobie o kawie, nalał do filiżanek.

- A umarł ktoś?

- Przecież dla każdego z nich minęły dopiero trzy lata, niecałe trzy lata, a chyba zdajesz sobie sprawę, że znakomity stan zdrowia jest jednym z warunków selekcji. Biorą ludzi w pełni sił. Poza tym w pierwszym rzucie znaleźli się tam dwaj lekarze, co prawda nie są to klinicyści, ale mają do pomocy potężny komputer, no a elementu ryzyka nikt nie wyklucza. TEC lojalnie uprzedza, że pod żadnym pozorem nie pozwoli wyjść stamtąd i wszyscy się z tym godzą.

- Pozwalają się pogrzebać za życia? - dopiero w tej chwili dotarło do mnie, że zgoda na pogrzebanie w Kraterze Zgubionego Czasu jest

również pewnego rodzaju poświęceniem.

- Wiesz, robią tam to samo, co robili wcześniej. Mają wspaniałe warunki, nikt i nic im nie przeszkadza. Wchodzą do historii już przez sam fakt umieszczenia w skarbcu TEC, choć przeżywają pewne tego konsekwencje. Każde wyłączenie cewki kosztuje ich sporo bólu i po każdym takim seansie są do niczego przez kilka do kilkudziesięciu dni. Wysiada sensoryka, czyli zachwiania równowagi, mdłości i coś tam jeszcze. W sumie koszt pobytu jest jednak wysoki. Rodziny są oczywiście zabezpieczone finansowo. Przy okazji kolejnego „pogrzebu” wymieniają kasety, nagrania, listy, zdjęcia i co tylko chcą. Zresztą nieźle zarabiają na publikowaniu fragmentów tych materiałów. Niektórzy z naukowców nawet prowadzą dzienniki, ale wszystko jest ocenzone przez TEC.

- Jassne... - łyknąłem kawy i spojrzałem na swoją szklaneczkę.

Lyndon przeciągnął się w fotelu i wyrzucił ramiona na boki. Wstałem i przeszedłem się po pokoju. Usłyszałem z tyłu subtelny bulgot. Nie zbliżałem się do okna - ale z pewnej odległości przez szpary w żaluzjach zerknąłem na harleya. Stał. Wróciłem do stolika

- Masz jeszcze czas? - zapytałem.

- Oczywiście. A ty masz jeszcze pytania?

- Prffi - parsknąłem. - Wydaje mi się, że tak. Ale nie potrafię ich wyartykułować. Poczekaj - sięgnąłem po szklankę i od razu jedno z takich pytań skryształizowało się. - Czy ktoś odmówił TEC? Czy ktoś miał w nosie sławę, wspaniałe warunki i długie życie? Wybrał normalne... Czeka! - Uderzyłem się w czoło. - A co z kobietami? Założyli klub pedo?

- Są tam dwie kobiety. Jedna to podobno pierwsza naprawdę nieśmiertelna dziwka. O jej pracy naukowej mówi się „duporobek naukowy albo dorobeczek”. Stosunkowo młoda, ale życiorys ma bogaty. Druga to inna sprawa. A co tam się dzieje, nie wiadomo. Na pewno mają trochę techniki i preparatów, życie jest życiem.

- Poczekaj, poczekaj... - zmarszczyłem brwi i zacisnąłem pięści. Coś błysnęło w moim mózgu, jakaś myśl przemknęła z prędkością światła,

pozostała po niej tylko mgiełka, rozmyty ślad jak ogon komety. - Poczekaj... A! - zaskoczyłem. - Czy ktoś odmówił TEC? Wszyscy wytypowani się zgadzają?

- Jeden. W drugim roku istnienia Krateru odmówił niejaki Bomes. Biolog. Trochę było szumu... Aha! I matematyk Bogg. Ty, co ty kręcisz? Przecież nie możesz być aż tak mało zorientowany. To wykluczone. Gadaj!

- Zgoda - uniosłem obie ręce. - Wiem co nieco, ale wolałem wysłuchać relacji z twoich ust, nie z kompa. Pomaga mi to w kojarzeniu.

- I co? Pomogło?

- Jeszcze nie wiem, ale na pewno z komputerem nie piłoby się tak miło jak z tobą.

- No to... - uniósł szklaneczkę.

Wypiliśmy, zapaliliśmy i wypuściliśmy dwie strugi dymu w sufit. Intensywnie myślałem nad zdobytymi i odświeżonymi informacjami. Nie chciałem drugi raz kontaktować się w jakikolwiek sposób z Lyndonem, nie chciałem go również straszyć, ale nie mogłem też milczeć.

- Strasznie ci jestem wdzięczny za rozmowę - wstałem z wygodnego fotela. - Teraz ja ci coś powiem. Najlepiej jakbyś na jakiś czas zapomniał o mnie. Sądzę, że kontakt ze mną może przynieść ci trochę kłopotów. Dotychczas spotykaliśmy się tak rzadko, że wytrzymasz chyba beze mnie parę tygodni, a potem dam ci znać. Dobra?

Wyszczerzył zęby zupełnie jak Alchin, ale miał dużo gorszego dentystę.

- Nie mam co robić, tylko, cię nachodzić? Tak myślisz? - Wstał i wyciągnął rękę. - Jakby co, daj znać. I nie strasz mnie. Wcale nie byłem gorszy od ciebie w specoddziale.

- Wiem, ale ty też wiedz, że jestem bardzo ostrożny - klepnąłem go w ramię. - No, do zobaczenia.

Szybko zamknął za mną drzwi. Byłem przekonany, że pobiegł do okna i wydawało mi się nawet, że oczami duszy widzę go, jak ściska w dłoni swojego ulubionego kolta Pire. Ale gdy usiadłem na siodełku i spojrzałem w górę, nie zobaczyłem w oknie jego twarzy. Coś było ze

mną nie tak...

Zrobiłem sobie wycieczkę po mieście, jadąc przez Alsip, Blue Island i Calurnet Park. Jazda na osiodłanym, bulgocącym mastodonicie sprawiła mi nadspodziewaną przyjemność. Kilkadziesiąt minut znakomicie bawiłem się, wchodząc ostro w zakręty, wyprzedzając samochody, slalomem mijając wolno przesuwające się czteroślady. Na parking hotelowy wróciłem dopiero późnym popołudniem. Na wyłączonym silniku, z rozpędu wjechałem w bramę i doturlałem się do boksu. Właściciel pojawił się w tej samej sekundzie. Zrzuciłem kask i kombinezon, wyjąłem z kieszeni pięćdziesiątkę i bez słowa podałem chłopakowi.

- Spodobało się - stwierdził, uśmiechając się porozumiewawczo.

- Uhu. Kupuję go - powiedziałem i wcale bym się nie rozżłościł, gdyby zgodził się na to.

Mruknął coś, ale nie dociekałem co. Nie miałem wątpliwości, że co najmniej posłał mnie do diabła. Wróciłem do pokoju służbowym wejściem. Zamówiłem lekką kolację, a potem skusiła mnie wanna. Prawie do połowy opróżniłem nowiuteńką butelkę Club 1999 i może dlatego naszły mnie niespokojne myśli na temat własnej osoby. Czułem się nadspodziewanie dobrze jak na faceta, któremu ktoś wymordował kolegów. Prawie zapomniałem o nich, a jeśli myślałem, to nie zalewała mnie fala współczucia czy klasycznej zimnej wściekłości. Robiło mi się trochę zimniej w żołądku i jakaś żyłka z lewej strony karku szarpała, jakby przepychał się przez nią okrucieństwo. Starłem się być obiektywny i sumienie „naoliwione” ginem i whisky szarpnęło mnie kilka razy. Zalałem twarz strumieniem zimnej wody. Może dlatego przypomniałem sobie Pymę i to, że nazwała mnie człowiekiem, który ma w nosie przede wszystkim siebie, ale, niestety, nie tylko. Włączyłem zimny nadmuchi, zlałem się zimną wodą, aż skóra nabrała koloru oskubanego, nie pierwszej świeżości kurczaka. Kurczaki, źle ale kurczaki nie mają wyrzutów sumienia.

Ubrałem się i wrzuciłem do torby swoje rzeczy, wyjrzałem obiektywnie kamery na korytarz i wyszedłem z pokoju. W recepcji zapłaciłem za

pobyt i poprosiłem o samochód przed główne wejście. Na Mulberry dojechałem w piętnaście minut, „Animars Eden” znalazłem bez trudu, gorzej było z obsługą, ale w końcu pojawiła się potężna blondynka i obracając zuchwą jak śmigłem helikoptera podeszła do mnie. Pod bluzką z napisem: JESTEŚMY przelewały się dwie ogromne piersi.

- Co jesteście? - zapytałem.

- A nie widać? - odpowiedziała.

Ciężkim, powolnym ruchem zmeła gumę. Pod takim naciskiem w pył rozsypałby się pośledniejszego gatunku diament. Napis na bluzce zafalował.

- Jest tu suka, Teba. Chciałbym ją odebrać.

- Pan jest właścicielem?

- Nowym.

- No to jak ją panu oddam?

- Nazywam się Yeates. Proszę sprawdzić, czy nie ma na mnie upoważnienia.

Weszła za niski kontuar i pochyliła się nad księgą. Biust legł na przedramieniu. Przemknęło mi przez myśl, że powinna mieć na nim siniaki. W tej samej chwili blondynka uniosła głowę i powiedziała:

- Są dwa nazwiska, w tym pańskie. Chodźmy. Poszła pierwsza, co mi się nie spodobało, bo nie mogłem obserwować falującego napisu. Po kilku krokach odwróciła lekko głowę.

- Z tego psa nie będzie pociechy, pan wie? Tylko do hycła - rzuciła w marszu. - Zresztą my też możemy to załatwić. Bezbolesny środek, przedtem znieczulenie miejscowe. Pogrzeb na eleganckim cmentarzu.

- Nie, dziękuję.

- Pies będzie się tylko męczył - postarała się wykrzesać z siebie trochę uczucia, ale równie przekonująco mogłaby ubolewać nad ciężką dolą asfaltu.

Zbyłem ją milczeniem. Zerkając na zegarek, dałem do zrozumienia, że mi się śpieszy. Nie pogoniło to jej, ale umilkła. Zatrzymała się przy pierwszym boksie i ospałym gestem trąciła klamkę. Teba leżała w kącie z głową na przednich łapach. Była nadspodziewanie duża, miała głębokie,

ciemnobrązowe oczy, puste i obojętne. Nie zareagowała na nas. Nie poruszyła brwią, nawet gdy blondynka weszła do boksu i zbliżyła się do niej.

- No? Tebunia... Pan przyszedł! Chodź, piesku - właścicielka pensjonatu zdobyła się na żywszy ton.

Pochyliła się i przypięła do kolczatki elegancką skórzaną smycz. Pociągnęła psa. Suka podniosła się i niechętnie wyszła z boksu. Przejąłem smycz i skierowałem się do wyjścia, czując na drugim końcu rzemienia kilkadziesiąt kilogramów głębokiej niechęci i rozczarowania. W recepcji zatrzymałem się i gotówką uregulowałem rachunek.

- Ma pani jakąś informację o jej tresurze?

- Taa... - cmoknęła gumą. - Audio, video, papier?

- Nagranie - dorzuciłem pół dolara i z kasetą w kieszeni i odrazą do mnie na smyczy wróciłem do samochodu.

Sprawdziłem czujniki zanim wsiedliśmy do wozu. Dalej nic. Teba ułożyła się od razu na tylnym siedzeniu, nie racząc nawet obwąchać nowiutkiej tapicerki. Zapaliłem nie zamykając drzwi, potem trzasnąłem nimi i uruchomiłem blendy odcinające wnętrze wozu od podglądu z ulicy. Powoli zapadał zmierzch, dla mnie zbyt wolno. Czekać aż ściemni się jeszcze bardziej, wziąłem na kolana konsolę kompa. Krótka zabawa z klawiaturą uruchomiła obserwatora, który miał lornetować wozy jadące za mną. Gdyby jakiś utrzymał się na śladzie dłużej niż pięć minut, komp usłużnie zawiadomiłby mnie o tym. Może nie miało to większego sensu, ale...

Sypnęły światłem latarnie. Musnąłem starter i ostro ruszyłem. Nie nazwałbym siebie piratem drogowym, ale zanim wypadłem na Edens Expres Way, konto moich grzechów drogowych z pewnością nieco podskoczyło. Ruch był spory, nadzorczy komputer drogowy ograniczył prędkość do sześćdziesiątki na godzinę, snułem się chwilę w charakterze jednego z wagonów długiego na kilka mil samochodowego składu, aż uznałem, że nie po to płaci się za „lewe” usługi, by z nich nie korzystać. Wcisnąłem do kompa wytrych, a gdy uzyskałem pozytywną odpowiedź ze stanowej sieci, skręciłem i wypadłem na pas zarezerwowany dla

wozów służbowych. Im komputer nie ograniczał prędkości, przemknąłem wzdłuż rozpartych wygodnie w fotelach praworządnych obywateli, których samochodami kierował komputer. Niektórzy drzemali, inni rozmawiali lub pochylali się nad ekranami telewizorów barwiących ich twarze na siny kolor. Kilku kierowców obrzuciło mnie zaciekawionym spojrzeniem. Poczuję się mile połączony i skłamałem sobie za to od idiotów. Napiliśmy się. Podróż była więc urozmaicona. Trwała prawie trzy godziny, z czego połowę spędziłem ucząc się postępowania z psem. W drogę stanową skręciłem o dziewiętej z minutami, a w przesiekę dwadzieścia minut później.

Wprowadziłem wóz do garażu i wyszliśmy z Tebą przed dom. Krótko zgryznięta zastały mechanizm drzwi, gdzieś w górze poderwał się do lotu jakiś ptak zdenerwowany moim przyjazdem. Teba obojętnie stała przy mojej lewej nodze. Wskazałem jej las i powiedziałem stanowczo:

- Spacer!

Po raz pierwszy spojrzała na mnie, ale bodajby tego nie robiła. Odeszła wolno i wykonała polecenie, prawie nie obwąchując pni. Żeby zająć się czymś innym, zacząłem wyobrażać sobie siebie pod lufą rewolweru olbrzymiego zbira i Tebę zbliżającą się z tym swoim obojętnym, zblazowanym wyrazem pyska, by mnie bronić. Póki załatwiała swoje potrzeby, doszedłem w swoim scenariuszu do miejsca, w którym psica od niechcenia zatapia kły w łydce napastnika, a potem, oblizując wargi z krwi, rzuca spokojnie:

- Jest dobrze, Owen. Spokojna twoja poczochrana.

Zrozumiałem, że jestem lekko pijany. Zawołałem Tebę, choć stała już przy mnie. Wróciliśmy do domu. Uruchomiłem wszystko co było do uruchomienia, sprawdziłem system strażniczy, nawet zaprogramowałem chimerę, by po niesankcjonowanym otwarciu drzwi garażu przejechała włamywacza. Nie zapomniałem o Tebie. Rzuciłem do miski stek wielki jak dywan, a żeby było sprawiedliwie sobie nalałem porcję grubości trzech plasterków cavonu z baru „Twin Dragons”. Nie chciało mi się spać. Rozpaliłem w kominku i siedziałem do drugiej, patrząc w ogień i przeprowadzając - czasem na głos - gruntowną autoanalizę. Nie

powinienem był tego robić, jeśli chciałem, by Teba kiedyś mnie polubiła, ale tyle błędów już w życiu popełniłem... Zwierzyłem się z kilku spraw Tobie. A ona leżała z pyskiem między wyciągniętymi przednimi łapami i nawet nie strzygła uszami.



Rozdział dziewiąty

Następnego dnia dokonałem przeglądu uzbrojenia, przeczyściłem dwa pistolety i rewolwer i rozmieściłem je w różnych chytrych skrytkach domu. Naciągnąłem na siebie lekki dres i czapkę. W puchaty szalik miałem wplecioną giętką taśmę ostrą jak brzytwa. Oczywiście, jak zwykle towarzyszył mi wierny biffax. Wyszedłem z Tebą na spacer, choć sądząc po nietkniętym befsztyku, nie miała w lesie nic do załatwienia. Spacerowaliśmy prawie trzy godziny. Integracja nie posunęła się ani o krok. Nikt też nie chciał napaść na mnie, by wsunąć mi w rękę koniec nici, która miała zaprowadzić mnie do... Waśnie! Ariadna! Przez kilka sekund stałem z łomotem w skroniach, oddychając szybko. Niespodziewane skojarzenie z labiryntem i Ariadną Wood spowodowało mętlik w głowie. Musiałem uderzyć dłonią w pień drzewa, by oprzytomnieć. Podniosłem z ziemi kawał gałęzi i rzuciłem najdalej jak mogłem przed siebie.

- Aport! - wrzasnąłem.

Teba przysiadła na tylnych łapach, po czym niespodziewanie wyprysnęła do przodu, zasypując moje stopy lawiną świeżo opadłych liści. Zamarłem w bezruchu. Teba tymczasem zanurkowała w poszycie po kij i natychmiast zawróciła. Długimi susami przybiegła do mnie, grzecznie obeszła i usiadła z kijem w zębach. Złapałem koniec patyka lewą ręką.

- Daj - rozkazałem stanowczo i gdy puściła, rzuciłem kij i odczekałem chwilę, choć widziałem, że wszystkie mięśnie napięły się pod jej skórą. Oblizałem wargi i syknąłem: - Aport.

Godzinę katowałem las rzutami we wszystkie strony. Miało to podwójny cel: ćwiczyłem Tebę, a jednocześnie mogłem obserwować otoczenie. W końcu zawróciłem w stronę domu. Gdy poklepałem po karku Tebę, wydało mi się, że drgnął jej koniec ogona. W radosnym nastroju zjadłem obfity obiad, natomiast Teba, wbrew oczekiwaniom, przedłużyła głodówkę. Wypiła jedynie sporo wody, ale od mięsa odwróciła się. Wypowiedziałem pod jej adresem kilka gorzkich słów, widocznie jednak nawet quasi-hipnoza nie może obdarzyć psa poczuciem wstydu. Dopiero gdy wkładałem talerze do zmywarki, uświadomiłem sobie, że bez komendy nie powinna jeść. Dobry kwadrans spędziłem na przekonywaniu jej, rozkazywałem i prosiłem, przemawiałem stanowczo, nadając głosowi raz brzmienie stalowe, raz obojętne. W końcu zaniechałem dalszych prób. We wnętrzu przepastnej chłodni znalazłem kilka kawałków ciasta. Jeden był upieczony kilka lat temu przez Pymę. Odłożyłem go na inną okazję. Przypieklęm inny, zaparzyłem kawę, a potem ze smakiem przepysznej szarlotki w ustach zasiadłem do relaksu - papierosy, butelka, kawa. Sięgnąłem po „Krach operacji „Szept Tygrysa”„i zacząłem czytać. Panowała cisza. Książeczka miała niecałe sto stron, pochłonęła mnie tak, że oderwałem się od niej tylko siedem razy; raz by zaprogramować wyłącznik światła i sześć razy, by rozejrzeć się po domu. Miałem niedobre przeczucia, coś gniotło, jakby niewidzialny klosz pojawił się nad moim domem i opadał coraz niżej, odcinając dopływ światła i powietrza. Nic się jednak nie wydarzyło, mimo to gdy wieczorem wychodziłem z Tebą jeszcze przed zapadnięciem całkowitego zmroku, wziąłem ze sobą drizzler. Przez cały spacer przeszkadzał nam uprawiać aportowanie, niepotrzebnie go kupiłem, niepotrzebnie zabrałem. Same błędy. Na szczęście spacer był krótki. Zaraz po powrocie wyrzuciłem wczorajszy stek Teby, przygotowałem świeży. Kazałem jej zjeść i nie interesując się, co uczyni tym razem poszedłem na górę. Już na piętrze odwróciłem się i powiedziałem:

- Amen.

Światło zgasło.

Następny dzień od rana przebiegał podobnie jak wczorajszy. Teba zjadła befsztyk, co wprowadziło mnie w dobry humor. Ponieważ w komunikatach policyjnych nie znalazłem niczego ciekawego, poszliśmy na obchód posesji. Prawie dwie godziny biegaliśmy po lesie, potem trochę postrzelałem, by sprawdzić jak suka reaguje na huk. Wróciliśmy do domu w świetnych humorach, z apetytem zjedliśmy lekki lunch. Poczułem się senny. Wcześniej postanowiłem, że tej nocy i następnej będę czuwał. Spuściłem żaluzje i uciąłem trzygodzinną drzemkę. Obudziło mnie nagłe uderzenie w żołądek. Zwinąłem się, spadłem z kanapy. Ból i brak powietrza w płucach wysadzał mi oczy. Zauważyłem, że coś jaskrawego zbliża się do mojej twarzy, szarpnąłem głową i tylko dlatego but nie zmiądzzył mi oka. Zapiekło tylko ucho i poczułem ciepło na szyi. Trzepnąłem nogami w kierunku buta, ale w nic nie trafiłem. Usłyszałem chichot, jednocześnie inny głos szczechnął:

- Wstań! Żadnych zbędnych ruchów - odczekałem kilka sekund i zacząłem się podnosić. Na tle okna stał facet w granatowym trykocie, i pomarańczowych pantoflach. Miał może metr pięćdziesiąt wzrostu. Wiedziałem, że w pokoju jest ktoś jeszcze, ale nie odważyłem się odwrócić głowy. Chichot ustał i usłyszałem:

- Na kolana i przysiądź na piętach.

Opadłem na dywan i zerknąłem pod blat stołu, biffax wisiał na rzemyku. Dopiero teraz przyjrzałem się gościowi spod okna. Gdyby nie drobne zmarszczki obok oczu i jasny wąs dałbym mu piętnaście, szesnaście lat, tyle że w tym wieku rzadko spotyka się taki skorodowany głos. Wypracowuje się go długimi latami dzięki papierosom, alkoholowi i w jego przypadku nienawiści do wyższego o dwie głowy świata.

- Przyjrzałeś się? - zapytał.

Kiwnął głową do kogoś za moimi plecami, kątem oka zauważyłem ruch. Jakaś postać weszła w moje pole widzenia i wtedy spojrzałem na nią. Na kilka sekund wstrzymałem oddech. To irytujące, ale zdarza się zawsze, kiedy się czemuś dziwi. Ten z tyłu był znakomitą kopia tego spod okna. Widziałem, że strasznie ich cieszy moje zdziwienie. Musieli

nieraz widzieć podobne reakcje. Chwilę tak staliśmy, potem ten z tyłu wskazał palcem potężny rewolwer nie znanego mi typu, który dzierżył w prawej dłoni, a drugi podszedł do kanapy i obszukał ją. Ruchy miał pewne, oszczędne, bez kłopotu znalazł drizzler w stosie poduszek. Teatralnie gwizdnął i pokazał „bliźniakowi”, potem kierując lufę w moją stronę, wyjął magazynek i sprawdził.

- Fajna zabawka - uśmiechnął się do mnie. - Nieetyczna co prawda...

- Tylko nie pieprz o etyce - jęknąłem. Poczułem się już lepiej, ból po kopniaku ucichł i oddech wrócił do normy. - Czego tu chcecie?

Rewolwerowiec przysunął się bliżej, miał na nogach ciężkie buty na grubej, twardej podeszwie. Wbiłem spojrzenie w te buty.

- Salvo! - syknął jego „brat”. - Odsuń się od tego cwaniaka. No?

Właściciel koturnów westchnął głośno i cofnął się o dwa kroki. Oderwałem spojrzenie od gości i popatrzyłem na Tebę. Leżała spokojnie, patrząc w dywan przed swoim nosem. Stuprocentowa neutralność.

- Przecież cię ostrzegano, że piesek się do niczego nie przyda - zachichotał aktualny posiadacz drizzlera. - Dobra - odchrząknął. - Będziemy kończyć - oświadczył rzeczowo.

Poczułem krótki, bolesny ucisk w żołądku. Włosy na karku poruszyły się. Mięśnie przepony napięły się, jakby chciały stawić czoła pociskowi. Nagle niesamowicie zaswędziała mnie łydka.

- Poczekaj - warknął Salvo.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, gdy przerwał mu ryk silnika chimery i skrzek dartych w poślizgu opon. Drgnęliśmy wszyscy, ale tylko dla mnie omal nie skończyło się to fatalnie - obaj napięli mięśnie, spusty wykonały wyraźny suw. Ułamki jednostek siły dzieliły mnie od strzału. Po sekundzie nacisk zelżał. Nie czułem już włosów na karku ani swędzenia, ciało zdrętwiało, straciłem nad nim władzę jak po spryskaniu polocainą. Tylko mózg pulsował w opakowaniu, które jeszcze kilka minut temu miało imię i nazwisko. Wrzasnąłem w duchu i o dziwo umysł jakby spłynął w dół, łapiąc kontakt z poszczególnymi organami i członkami. Zaboląły mięśnie napiętych łydek i nienaturalnie wygiętych

stóp.

- Możecie zdradzić powód wizyty? - wydusiłem z siebie.

- Nie kładź nam, koleś, kaszy do uszu. Jesteśmy wystarczająco głupi, by pakować się w tarapaty i w dostatecznym stopniu mądrzy, żeby nie było to mile widziane. Jeśli opowieści o życiu pozagrobowym są prawdziwe, to możesz aż do sądu ostatecznego zastanawiać się nad swoim postępowaniem. Nie powiesz, że cię nie ostrzegaliśmy - zdobył się na dłuższą kwestię ten spod okna.

- Zamknij się, Mort - wycedził Salvo. - Załatwmy go i znikamy. W ogóle nie miało być rozmowy. Felix! - wrzasnął w przestrzeń.

- Idę! - krzyknął ktoś za drzwiami.

Chimerze nie udało się przejechać włamywacza, jego głos już gdzieś słyszałem. Wyteżyłem pamięć, wpatrując się w drzwi. Ktoś szarpnął je i w progu stanął drugi Salvo. Albo drugi Mort W każdym razie trzeci identyczny osobnik.

- Ten jego wóz skoczył na mnie jak pantera - rozejrzał się ciekawie po pokoju. - Nie to co pies - uśmiechnął się szeroko.

Seplenił lekko, ale tylko to różniło go od „braci”. Pokręciłem głową.

- Gdzie wyście się uchowali? - zapytałem z przyjaznym uśmiechem.

Uśmiechnęli się również, tyle że dużo szerzej, ciągłe sprawiało im przyjemność zaskakiwanie swoim podobieństwem. Salvo otworzył usta i poczułem, że zostało już niewiele do powiedzenia. Właściwie nic.

- Mogę się sztachnąć kilka razy? - zapytałem już bez uśmiechu.

- Nie wygłupiaj się! - prychnął Mort, chyba miał najwięcej do powiedzenia, może urodził się o kilka minut wcześniej niż bracia. - Nie jesteśmy plutonem egzekucyjnym, nie ma duchownego i zawiązywania oczu. I ostatnich życzeń... - Jesteśmy zwykłymi płatnymi mordercami - wpadłem mu w słowo, byłem przekonany, że jeszcze przez kilka sekund nie wystrzelą, będą musieli przynajmniej rzucić kilka wyzwisk. Nie będą udowadniać swoich racji nieboszczykowi. - Przyszliśmy cię zatłuc.

- No to strzelajcie - wzruszyłem ramionami. - Amen.

I światło zgasło. Runąłem w lewo, osłaniając się od Salvo i jego rewolweru metalizowaną płytą stołu. Drizzler trzymany przez Morta był

bezużyteczny, bo nabity ślepakami, co w tej samej chwili potwierdził cichy trzask, lecz zupełnie bez błysku. Poza tym nic nie zakłóciło ciszy. Wytężyłem słuch i oddychając przez szeroko otwarte usta, wolno wysunąłem spod blatu rękę po biffax. Dotknąłem palcami kolby, bezszelestnie wysunąłem pistolet z pętli. Prawie leżałem pod stołem i bałem się poruszyć, by nie dotknąć nogą któregoś z upiornych trojaczków. Pomyślałem, że Salvo zapewne stoi w miejscu, miał fatalne jak na taką sytuację buty na twardej podszewie, Mort i Felix mogli się poruszać, ale w końcu nie wiedzieli, gdzie kto aktualnie się znajduje i do kogo można strzelać. Do pewnego stopnia było mi to na rękę, ale tylko do pewnego. Po moim strzale, nawet celnym, pozostali dwaj nie będą już mieli wątpliwości, w którą stronę skierować lufy. I nie będą strzelali nieszkodliwymi atrapami. Pat. Kilka sekund rozglądałem się, usiłując przebić spojrzeniem mrok, ale szybko uświadomiłem sobie, że zapewne to samo robią trojaczki i nie miałem gwarancji, czy któryś nie ma lepszego wzroku niż ja. Odwróciłem głowę i spróbowałem ocenić sytuację z tyłu. Nie powinni tam się pakować, mogli wejść w strefę strzału któregoś z nich. Bezszelestnie cofnąłem się i wyprostowałem. Na tle ciemnych ścian byłem tak samo niewidoczny jak na podłodze. Albo tak samo widoczny, ale sam strzelałbym raczej w dół. Przesunąłem się o kilkanaście centymetrów w bok i wyciągnąłem rękę w kierunku stojaka z mikrofonem. Nadal nic nie słyszałem i nic nie zakłócało absolutnej czerni przed oczami. Nabrałem powietrza w płuca, pochyliłem się nad mikrofonem, wolno przesunąłem języzek włącznika, szarpnąłem w dół i wrzasnąłem:

- Teba! Bierz! - ogłuszający ryk z czterech kolumnowych emiterów zabełtał powietrze w pokoju.

Błyskawicznie wyłączyłem mikrofon i skoczyłem w bok. Usłyszałem wrzask bólu z miejsca, gdzie kilka chwil temu stał Felix, najwyraźniej szamotał się z Tebą. Po chwili głucho stuknięcie dobiegło mnie z przeciwległego rogu, tam chyba był Mort. Omal nie wystrzeliłem, ale nie wiedziałem, co z Salvo. Potem rozległ się cichy dźwięk poruszanej klamki i wtedy strzeliłem najpierw w róg, skąd dobiegło mnie przed

sekundą stuknięcie i od razu w stronę drzwi. Zanurkowałem ponownie pod stół. Teba walczyła w milczeniu, Felix natomiast jęczał i kłął. Ani Mort, ani Salvo nie zareagowali na moje strzały. Wysunąłem rękę w lewo chcąc pomóc Tebie, ale w tej samej chwili Felix zdołał poderwać się z podłogi i uderzył ciałem o stół. Mogłem spokojnie wycełować w niego, ale nie widziałem, gdzie jest Teba. Usiłowałem więc złapać go za nogawkę, jednak nie było go już w zasięgu ręki. Usłyszałem jedynie jego pełne furii sapanie oddalające się w kierunku drzwi. Wysunąłem rękę spod stołu i strzeliłem, mierząc wysoko nad jego głową. Miałem zamiar pogonić go, bałem się, że zdoła w końcu wystrzelić w psa. I wtedy gdzieś zza drzwi dobiegł nas krzyk:

- Chodź szybko! Pośpiesz się!

Usłyszałem uderzenie ciała o drzwi, zacisnąłem zęby i obniżyłem lufę. Wystrzeliłem trzykrotnie, starając się w błysku pierwszego strzału zlokalizować cel. Mignęła blada twarz z wyszczerzonymi zębami i jasne ciało Teby zwisającej z prawej ręki Felixa. Był już prawie za drzwiami. Strzeliłem czwarty raz. Ciężkie stęknięcie potwierdziło trafienie. Cmoknąłem kilka razy, wyskakując spod stołu. Trzasnęły drzwi i ktoś przewrócił w korytarzu stojak z płaszczami przeciwdeszczowymi. W tej samej chwili coś dotknęło mojej łydki, omal nie przerywając akcji serca. Pochyliłem się i poczułem głowę Teby. Nie włączałem światła. Trojaczki nie wyglądały na nowicjuszy, a ich ucieczka nie znaczyła, że się poddają. Cmoknąłem jak mogłem najciszej i przygotowany na strzał posunąłem się w kierunku drzwi kuchennych. Pchnięte, otworzyły się bezgłośnie. Starając się nie stracić z oczu pokoju, zerknąłem w równie ciemną kuchnię. Z Tebą przy nodze wślizgnąłem się i zamknąłem drzwi. Prócz nas nie było nikogo. Podskoczyłem do drzwi obok zamrażarki i zbiegłem po schodach do piwnicy, słysząc za sobą delikatny zgrzyt pazurów Teby. Właśnie przesuwalem się między regałami do okienka, gdy potężny wstrząs rzucił mnie na jakieś paki. Runął kawałek stropu, na szczęście obok. Gęsty obłok pyłu i kurzu opadł w dół i suchą falą wzbił z powrotem w górę. Wsunąłem głowę pod sweter i pochyliłem się, macając jedną ręką dookoła. Po chwili grzebania w deskach i gruzie

znalazłem Tebę i przyciągnąłem do siebie. Rozciągnąłem sweter jak mogłem najmocniej i wciągnąłem pysk suki pod prowizoryczny filtr. Pomyślałem, że byłoby zabawne, gdyby nie zrozumiała moich intencji i ugryzła mnie w twarz. Odczekałem minutę i wysunąłem na chwilę głowę.

Wokół było dużo jaśniej, światło kilkoma szczelinami przedostawało się do naszej kryjówki. Słysząc było szelest osypującego się gdzieś piasku czy ziemi, coś stuknęło kilka razy. Nie słyszałem kroków. Potem ktoś zarechotał głośno. Złapałem kilka oddechów pod swetrem, gdzie Teba dyszała mi w twarz i znów wystawiłem głowę na „zewnątrz”. Odetchnąłem głęboko i nakazałem Tobie zostać na miejscu. Starając się nie hałasować, wyprostowałem się nieco i rozejrzałem dookoła, a nie dostrzegając żadnego ruchu, przesunąłem się wolno i po kilku krokach dotarłem do okienka. Ostrożnie wyjrzałem. Mort rzucał właśnie kawałek zapalanej szmaty na chimere, po czym wskoczył na przednie siedzenie ich wozu. Mignęła mi głowa Felixa odrzucona bezwładnie do tyłu i oparta na poduszce. Salvo siedzący za kierownicą dodał gazu i ich boddie. Wypluwając darń spod tylnych kół, runął do przodu. Spojrzałem na objętą płomieniem chimere i cicho gwizdnąłem. Teba prawie bezszelestnie przypadła do nogi, podsadziłem ją do góry i wdrapałem się sam. Wprawdzie sprzedawca zapewniał mnie, że chimery nie można podpalić oblewając benzyną, ale na wszelki wypadek odsunąłem się dalej. Spojrzałem na dom. Był już tylko dwumetrową kupą gruzów. Nie było ognia, zresztą takie przemielone szczątki źle się palą. Trojaczki potraktowały domek bombą turbulencyjną, idealną do tego celu, dającą znakomity efekt bez specjalnego huku, ognia i dymu. Właściwie zastosowana czyni cuda. Ta była wykorzystana bardzo właściwie. Wolno podszedłem do pierwszych drzew, rozebrałem się i wytrzepałem o pień całe swoje ubranie. W kieszeni bluzy znalazłem złamanego papierosa. A po karoserii chimery pełgały pojedyncze płomyki. Skoro nie wybuchła dotychczas... Podszedłem i przypaliłem cienką gałązkę. Wycofałem się pod drzewa, gdzie czekała Teba i z ogromną przyjemnością wypaliłem połówkę. W samochodzie

papierosów było od cholery, ale nie odważyłem się nawet zbliżyć, gdyż bił od niego wielki żar. Odczekałem pół godziny, zanim udało mi się przytknąć palec do klamki i otworzyć drzwi. Wskoczyłem do wnętrza, w którym prawie nie czuło się gorąca, chociaż gryzący zapach rozgrzanego lakieru wypełnił je natychmiast. Pootwierałem drzwi i z papierosami i płaską butelką wypełnioną bourbonem wróciłem do Teby. Trzęsły mi się ręce. Zachichotałem. Wytarłem spocone dłonie o mech i otworzyłem butelkę. Po trzecim łyku poczułem się świetnie. Zaciągnąłem się aż po szczyty płuc i popiłem dym jeszcze jednym łykiem. Byłem bardzo zadowolony, do szczęścia wprawdzie było daleko, ale zadowolenie było uzasadnione. Żyłem, miałem papierosy i bourbon. I miałem trop który nie mógł zawieść. Trójka identycznych zabójców nie może rozplynać się bez śladu. Położyłem się na mchu i jedną ręką głaszcząc Tebę, w drugiej trzymając papierosa i butelkę, zacząłem spojrzenie o szarzejące niebo nad lasem. Drzenie rąk ustało, opadła też euforia. Niedopałek poszybował łukiem w kierunku ruin, zakręciłem butelkę i podniosłem się z ziemi. Chimera była już zimna. Usiadłem za kierownicą, Teba usadowiła się z tyłu. Po kilku minutach jazdy represer poradził sobie z zapachem spaliny i Teba przestała marszczyć pysk.

Godzinę później zatrzymałem się przy budce telefonicznej i powiadomiłem towarzystwo ubezpieczeniowe o zniszczeniu domku i kazałem odtworzyć go według wzorca w moim biurowym kompie. Potem zamówiłem dwa bilety do Kalkuty. W zapadającym zmierzchu obserwowałem z tarasu widokowego, jak stewardesa wprowadziła Tebę na pokład odrzutowca Air India. Potem szybko przebyłem kontrolę biletów i jako jeden z ostatnich pasażerów wszedłem na pokład samolotu. Trzy i pół godziny lotu przespałem uznając, że nawet jeśli na pokładzie jest ktoś mi nieżyczliwy to i tak teraz się nie ujawni. W Kalkucie, nie schodząc z płyty lotniska, przemknąłem do trzydziestomiejscowego aerobusu. Byłem jedynym białym pasażerem, uznałem więc, że nikt mnie nie śledzi. Zasnąłem, zamieniłem się w śpiący, kamień. Wylądowaliśmy w Mongalor punktualnie. Małe, trzystutysięczne miasto przesiąknięte zapachem kawy i pieprzu,

oferujące dowolne ilości drewna sandałowego, miało przyzwoitą sieć komputerową. Pół godziny po wylądowaniu znałem już dokładny adres, w kilka minut wynająłem terenowego loyda. Małą skrzyneczkę ze szkocką ustawiłem za sobą i wyjechaliśmy - do miasta. Dwa razy zbłądziłem, okazało się, że kierunek na Bangalur jest co najmniej wieloznaczny, cofałem się i szukałem innych dróg. Potem zrozumiałem, że muszę unikać lepszych tras i od tej chwili wszystko poszło gładko. Dopiero głęboką nocą zatrzymałem się przed niedbale zbitą z grubych drągów bramą. Nie było żadnego płotu i nie sprawiłoby mi trudności przejechać przez bramę, ale zrezygnowałem. Odsunąłem jedno skrzydło i nawet zamknąłem za sobą. Dopiero potem podjechałem bliżej pod otaczającą budynek werandę szeroką i nakrytą dachem. Ciemny, obojętny dom zignorował dźwięk klaksonu, choć loyd może zagłuszyć ryk silników startowych odrzutowca. Musiałem wyjść i długo kołatać w drzwi, zanim w jednym z okien pojawiło się blade światelko, ale już w chwilę potem potężny reflektor strzelił oślepiającym błyskiem prosto w twarz. Usłyszałem szmer otwieranych drzwi i przez kurtynę z blasku udało mi się zauważyć postać na progu. A potem usłyszałem głos:

- Kogóż my tu widzimy?!

Opuściłem dłoń i skrzywiłem się. Światło jupitera niemal przypalało mi brwi i rzęsy.

- Nick, skarbie. Wyłącz to światło, bo kości miękną, światło przygasało, otworzyłem oczy. W blasku szeregu lamp zawieszonych pod dachem werandy zobaczyłem Nicka Douglasa. Nie zmienił się wiele, trochę wyszczupłał i stracił swój wielkomiejski wygląd, co grozi każdemu, kto jak on zagrzebuje się w głuszy na trzy lata. Krótka szczecina na głowie podkreślała masywny kształt czaszki. Na ramiona miał narzucony jakiś chałat czy sarong, czy jak to się tam nazywa. Był bosy.

- Mogę wejść? - zapytałem.

Bez słowa cofnął się do mieszkania, odsłaniając przejście. Również bez słowa wróciłem do samochodu i zabrałem z tylnego siedzenia torbę, do której wrzuciłem kupioną na pokładzie samolotu szczotkę do zębów i golarkę. W drugą rękę wziąłem skrzynkę z whisky i cmoknąłem. Teba

jednym wspaniałym susem przesadziła burtę wozu i ustawiła się przy lewej nodze. Doszliśmy do werandy i weszliśmy do domu, omijając nieruchomo stojącego Nicka. Nagle zrozumiałem, że mój przyjazd będzie skuteczny jak modlitwa o odrost włosów. Zatrzymałem się w obszernym livingu. Podłogę z nie malowanych desek pokrywały jasne, prawie białe maty. Kilka bambusowych krzeseł i stół w kształcie dwóch stykających się jednym rogiem kwadratów stanowiło umeblowanie. Białe ściany były puste. Źle. Poczekalem, aż Nick wejdzie i westchnąłem.

- Przydziel nam jakiś kąt do spania. Jestem cholernie zmęczony.

- Poczekaj.

Odwrócił się na pięcie i zniknął za drugimi drzwiami, prowadzącymi w głąb mieszkania. Wrócił po chwili z grubym naręczem mat i pledów. Wprawnie rozłożył je w jednym z kątów i wskazał ręką. Pokiwałem głową, uśmiechając się z wdzięcznością i bez słowa zacząłem rozpinąć guziki bluzy.

- Chcesz się wykapać? - zapytał.

Pokręciłem głową. Czuję, że chce jak najszybciej dowiedzieć się o co chodzi. Postanowiłem dać mu noc na zastanowienie się. Ciekawość powinna przywołać wspomnienia. Mocne postanowienie może skruszeć. Dlatego chciałem jak najszybciej położyć się, bez żadnej rozmowy, bez wyjaśnień.

- Wyjątkowo nawet obejdę się bez paciorka - jęknąłem. - Jestem już za stary na takie dni jak dzisiejszy. Podróż i to wszystko.

Nie patrząc mu w oczy machnąłem ręką i powlokłem się do pośłania. Zrzuciłem ubranie i walnąłem się w przygotowaną pościel. I nagle poczułem, że wszystko co mówię jest najszczerzą prawdą. Wyciągnąłem rękę spod mięciutkiego koca, by przywołać Ciebie, ale skończyło się na chęciach. Zapadłem w sen jak w miękki, puchowy krem.



Rozdział dziesiąty

Miałem szczęście. Mimo zmęczenia obudziłem się pierwszy i nawet nie miałem problemów z identyfikacją miejsca. Prawie bez szmeru wysunąłem się spod dwóch pledów i nie ubierając rozejrzałem po pokoju. Teba podniosła łeb i obrzuciła mnie pytającym spojrzeniem. Gestem zatrzymałem ją na miejscu i na palcach podszedłem pod drzwi prowadzące do sypialni Nicka. Chrapał dość głośno. Słuchałem go cierpliwie minutę, a gdy ani na ułamek tonu nie zmienił melodii i rytmu, przesunąłem się jak duch dalej, gdzie zza załomu wystawał kawałek innych drzwi. Podejrzliwie obejrzałem kuchnię, nie pomijając zawalonej wyłącznie jarzynami i owocami lodówki. Sprawdziłem inne meble. Potwierdziły się moje podejrzenia: Nick zrezygnował całkowicie z mięsa, przetworów i tłuszczów pochodzenia zwierzęcego. Przycupnąłem na brzegu stołu i potarłem nie ogolone policzki. Już wczoraj wiedziałem, że coś jest nie tak. Nick mógł być zdziwiony moim przyjazdem, mógł być niezadowolony, ale dostrzegłem w nim jakąś głębszą zmianę. Teraz pojąłem, że moje przybycie było gwoździem wbitym w jego nową filozofię. Wegetarianin. Pewnie pacyfista. Reinkarnacja. Penetracja własnego wnętrza. Zsunąłem się ze stołu i jeszcze raz obrzuciłem spojrzeniem kuchnię. Nic. Przysunąłem się do okna i wyjrzałem na zewnątrz, to znaczy chciałem wyjrzeć. Coś mignęło mi przed oczami, coś co zazgrzytało w mózgu. Zatrzymałem się i wolno przesunąłem wzrokiem po niskim kredensie. Cztery różnej wielkości miski, w jednej jakieś ziarno, w drugiej mieszanka świeżych orzeszków, marchwi i czegoś zielonego, w dwóch pozostałych miskach kisiły się

różne jarzyny. Bił od nich słaby, ale apetyczny, korzenny zapach. Nie to. Przesunąłem spojrzenie nieco dalej. Noże do jarzyn, najprzeróżniejszego kształtu i wielkości, kilka drewnianych widelców, pałeczki do ryżu... Jest! Uśmiechnąłem się szeroko. Szpikulec z rożna. Ostrożnie, żeby nie narobić hałasu, wziąłem go do ręki i obejrzałem. Był czystutki, bez śladu kurzu. Przy rękojęści dostrzegłem ślady zapieczonego tłuszczu. Odłożyłem go i cmoknąłem cicho. Teba zjawiła się po chwili. Poklepałem ją po karku i kazałem szukać. Musiałem powtórzyć to kilkakrotnie. Nie rozumiała, o co mi chodzi, ale w końcu zaczęła węszyć. Miałem nadzieję, że będąc głodna, trafi na ślad mięsa, jeśli tylko jest w tym domu. Teba obeszła kuchnię i zatrzymała się przy dużym, drewnianym wieszaku z grubymi warkoczami cebuli, czosnku i jakichś suchych badyli. Przysunąłem się bliżej i po chwili znalazłem mały zaczep. Poszło gładko - cały wieszak obrócił się wokół własnej osi, ukazując wąskie schodki prowadzące w dół. Zatarłem dłonie i bez wahania ruszyłem do zamaskowanej piwniczki, gdzie już bez trudu znalazłem potężną zamrażarkę. Teba błyskawicznie poradziła sobie z jednym kawałkiem mięsiwa, choć był zamrożony na kość, drugi rzuciłem na podłogę i wróciliśmy do kuchni, a stamtąd do pokoju.

Równe drgania strun głosowych Nicka nadal były jedynym dźwiękiem rozprasającym ciszę. Wsunąłem się pod koce i ułożyłem wygodnie. Kilka minut pogodnie rozmyślałem, a potem pstryknąłem palcami. Teba zareagowała natychmiast - głośny szczerk brzękliwym echem odbił się od pustych ścian. Chrapanie ustało. Poruszyłem się pod kocami i ziewnąłem.

- Czego-o...? - ziewnąłem głośno i z wyrzutem. - Cicho bądź.

Teba spojrzała na mnie zdziwiona, przekrzywia nawet głowę. Wypreżyłem się na posłaniu i stęknąłem głośno. W drzwiach pojawił się Nick w tym swoim chałacie, który przystawał do niego jak tablica z zakazem kąpieli do okolic bieguna zimna. Usiadłem i pomachałem ręką, a gdy jakoś krzywo uśmiechnął się, zaatakowałem:

- Potrzebuję pomocy. Zaczepiłem się o sprawę co najmniej grubą.

Uniósł szybko dłoń i pomachał nią w powietrzu. Zaczerpnął

powietrza, ale chwilę z otwartych już ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Zaskoczyłem go.

- Owen. Skończyłem z tym wszystkim. Nic mnie nie obchodzi tamten kraj, tamci ludzie, tamte sprawy. Prowadzę inne życie. Wybacz, ale...

- Nie tak szybko - przerwałem. Wyskoczyłem z pościeli i zacząłem się ubierać. - Daj mi skończyć... Albo inaczej, daj nam jakieś śniadanie, szczególnie jej - kiwnąłem głową w stronę Teby. - Nic nie jadła od szesnastu godzin - wciągnąłem koszulę i pochyliłem się, wkładając skarpety. Musiałem jakoś ukryć złośliwy uśmiezek.

- Nie mam mięsa - wzruszył ramionami. - Przykro mi - kłamał. - Przeszedłem na wegetarianizm. Będę musiał skoczyć do wsi, to niedaleko - machnął ręką w stronę jednej ze ścian.

- Coś ty powiedział? - przerwałem ubieranie i wytrzeszczyłem na niego oczy. - Żyjesz na jarzynach?

- Tak - spuścił wzrok.

- Hm. No dobrze, ale przecież to nie znaczy, że wraz z mięsem masz usunąć ze swego życia przyjaciół? Wyprowadź mnie z błędu, jeśli się mylę.

- Przestań, Owen - przestąpił z nogi na nogę. - Nie urządzajmy konkursu na dowcipniejszy tekst. Może cię to śmieszy, ale mam chyba prawo do własnego życia, zwłaszcza że już co najmniej raz wytłumaczono mi, co mogę sobie z nim zrobić.

Naciągnąłem skarpety i wsunąłem stopy w buty. Podszedłem bliżej i popatrzyłem mu w oczy. Wytrzymał chwilę, a potem machnął ręką do tyłu.

- Tam masz łazienkę i przyjdź do kuchni. A ona będzie musiała poczekać.

- Dobra.

Pięć minut później wszedłem do kuchni z Tebą u nogi. Zjadłem potulnie dwie marchwie, przegryzłem ostrym serem i sałatką z jednej z misek.

- Wiesz, że miałem firmę? - zapytałem, zapalając papierosa.

Ostentacyjnie wstał i otworzył okno. W odpowiedzi skoczyłem do

pokoju i przyniosłem jedną z sześciu butelek zakupionych wczoraj. Nick otworzył usta.

- Nawet nie zaczynaj. Ty robisz co chcesz i ja ci nie przeszkadzam - zignorowałem jego otwarte ze zdumienia usta. Czasem potrafię być bezczelny. - Więc mówię ci, że miałem firmę - łyknąłem z butelki, bo nie ruszył się po naczynie. - Dwaj pracownicy. Młodzi, tuż po przeszkoleniu w bazach Azji. Nie wiodło nam się wspaniale, ale to byli fajni chłopcy. Mówię: „fajni”, bo to mówi wszystko, mówię: „byli”, bo ktoś ich zabił. I to muszę wyjaśnić. Jeszcze nie wiem, o co chodzi, ale musi to być coś, skoro... - zacisnąłem zęby i przełknąłem korek wyrosły nagle gdzieś na styku podniebienia i gardła. - Chyba nie powiesz, że mam to zostawić, co?

- Nic nie mówię - wydusił z siebie. Drgnęła mu ręka, jakby chciał sięgnąć po butelkę, ale opanował się. - Chcesz zielonej herbaty?

- Kawy - powiedziałem twardo.

Poderwał się ze stołka i skoczył do szafki. Wystraszyłem się, że zobaczy odsunięty zaczep w sekretnych drzwiach, ale udało się. Wyciągnął jakąś puszczkę i pokazał mi.

- Zostało po gościach.

Zrobiło mi się go żal. Widać było, że łże według ustalonego wcześniej planu, ale wykonanie wyraźnie odbiegało od scenariusza. Szybko przepłukał ekspres po swoim zielonym świństwie.

- Przestań kłamać, bo w końcu się wypieprzysz przez stertę swoich błag.

Zrobił oburzoną minę i poruszył zuchwą. Rozpaczliwie nabrał powietrza w płuca, zamierzając ciągnąć tę swoją kiepsko napisaną i prowincjonalnie wykonaną rolę. Zerknąłem na Tebę.

- Szukaj - poleciłem.

Dopadła drzwi do piwnicy, migiem otworzyła je, pchnąwszy łapą i zniknęła na schodach. łyknąłem z butelki, starając się nie zauważać miny Nicka. Te kilka sekund do powrotu psa spędziłem płucząc usta whisky i bębniąc palcami po stole. Gdy Teba pojawiła się, trzymając w pysku coś, co przypominało pomalowaną na czerwono deskę,

otworzyłem usta i powiedziałem tylko:

- Weź!

Słuchając chrzęstu zamrożonego mięsa i mlaskania psa, dopaliłem papierosa i wysunąłem w stronę Nicka dłoń z butelką. Zaklął ciężko i tak głośno, że nawet Teba na sekundę przerwała posiłek. Wyrwał mi butelkę z ręki. Nie patrzyłem na niego. Usłyszałem jak oderwał usta od szyjki butelki i sapnął. Teba zakończyła swoją walkę ze zmarzliną.

- Chodź, coś zjemy, co? - poprosiłem. - A potem pogadamy. Przecież nie zabiorę cię stąd siłą - skłamałem:

- Żeby cię szlag trafił, Owen - powiedział. Po raz pierwszy tego dnia mówił szczerze.

Trawa na zboczu tworzyła tak gęsty dywan, że nawet Teba nie mogła dogrzebać się do ziemi. Leżeliśmy oparci plecami o szeroki, porośnięty mchem głąz, w cieniu dużej kępy drzew. Widok na dolinę koi mój skołatany umysł i zmęczone ciało.

- Teraz posłuchaj mnie - powiedział Nick, gdy skończyłem opowieść o ostatnich dwóch tygodniach. - Nie jesteś zorientowany w tym, co się działo po rozwaleniu przejścia.

- Byłem z Pymą - usprawiedliwiłem się.

- Uwzględniono fakt mojej współpracy z CBI i pomoc w likwidacji inwazji z tamtej strony. Ale jednocześnie widziałem spojrzenia różnych facetów, którzy nie mogli przeboleć mojej nieobecności na fotelu elektrycznym. Owszem, pan Douglas wykazał się... Pomógł... Współdziałał. Bez jego pomocy... - przedrzeźniał. - Ale jednocześnie... Tym samym... - gestykulacją podkreślał wypowiedzi. - Gdyby nie tacy jak on, to w ogóle... Słuchałem tego, Owen, prawie rok. W końcu poradzono mi, żebym zniknął z kraju. Na zawsze. Rozumiesz?

- Byłem z Pymą - powtórzyłem. - Dlaczego nie dałeś mi znać?

- A co ty byś zrobił? Myślisz, że stałeś się aż tak ważny? Wydaje ci się, że nakrzyczałbyś na kogoś i odniosłoby to skutek? Pozbądź się złudzeń. W chwili kiedy przestałeś działać, przestałeś być ważny, zresztą wcześniej też tak było - wychylił się w moją stronę i zaczął cedzić słowa. - Powiedz mi, jak zostałeś wynagrodzony za swoją robotę? Dostałeś - medal?

Nagrode? Moze wywiad w prasie? Moze licencje klasy Q? No? Gadaj - wyjal butelke z mojej dloni i lynam, nie odrywajac spojrzecia od mojej twarzy.

- Zgoda - skinalem glowa. - Nie dostalem nic prucz telewizora i warknienia Ezry, a i to nie jestem pewien, czy bylo ono skierowane do mnie. Ale nie o to chodzi.

- Wiem - przerwal mi. Machnal lekcewazaco ruka i opadl na oparcie. - Wiem, walka ze zl'em, kruczata, poslannictwo, ktos to musi robic. Wiem, ze Millerman zostawil ci spadek i czujesz sie zobowiazany za kazdego dolara dostarczyc policji co najmniej jednego bandyte, szantazyste czy gwalciciela. Twoja sprawa, choc wiekszosc twoich rodakow uzna cię za durnia. Ja nie. Dla mnie jesteś dziwny i nie jest to komplement.

- Zostawmy mnie. Nie przyjechałem tu na seans psychoanalizy...

- Ale przyjechałeś po mnie, nie? Chyba mam prawo wiedziec, z kim mam do czynienia?

Teba podrapala sie za uchem, ziewnela i rozejrzala sie dookoła. Milczalem. Nick siegnal do paczki papierosow.

- Kazano mi wyniesc sie mozliwie daleko i nie wracac, jezeli nie chce miec klopotow. Mialem tu sześć wizyt bardziej lub mniej oficjalnych. Wydaje mi sie, ze CBI albo ktos inny najchetniej wykreśliliby mnie z listy zyjących. Dlatego zmienilem sie. To byl najprostszy sposob przekonac otoczenie, ze dostalem lekkiego swira. Zreszta zaczęło mi to odpowiadać.

- Aha. Fajnie jest byc wegetarianinem i miec pol tony miesa w piwnicy. Przestana obrazac sie na wszystko i wszystkich i wracaj ze mna. Obiecuję, ze ze strony CBI nic ci nie grozi - podkreśliłem „CBI”. - Ale poza tym moze byc kiepsko. Najprawdopodobniej Bonnie tez albo juz nie zyje albo przynajmniej jest gdzieś glęboko schowana i nie wiadomo czy zyja jeszcze inni swiadkowie, ale sa trojaczki albo bliźnieta, jezeli trafilem celnie.

- Jacy swiadkowie? - zainteresowal sie.

Poczulem, ze musze panowac nad twarza, zeby sie nie usmiechnac.

Sapnąłem i podałem mu butelkę.

- Nooo... Bonnie Le Fay to raz - wyprostowałem kciuk. - Ci dwaj, którzy odmówili TEC, to dwa, trojaczki, to trzy. To jest bez pudła - wystawiłem trzy wyprostowane palce przed siebie. - Śladów jest aż za dużo. Ale umówmy się, nie namawiam cię... - Odwrócił się do mnie i oburzony otworzył usta. - Poczekaj. To co robiłem dotychczas, robiłem tylko po to, by przełamać twoje uprzedzenie. A teraz musisz podjąć decyzję świadomie i samodzielnie. Pójdę się przejść, a ty pomyśl sobie. Rozważ wszystko...

- Siedź - rzucił z papierosem w ustach. Wyglądał dość śmiesznie w prześcieradle, z prawie do skóry ogoloną czaszką, butelką w ręce i papierosem w zębach. Zaciągał się prawie z każdym oddechem, popiół nie nadążał wystygnąć i opaść, słupek żaru rósł aż papieros zmiękł. Nick ujął go w dwa palce i odrzucił daleko od siebie. Teba drgnęła. Opanowałem chęć sięgnięcia po butelkę. Leżałem nieruchomo, choć wyschnięte z podniecenia gardło aż pizczało o łyk. Nick nie odrywając ślepego spojrzenia od wzgórz po drugiej stronie doliny, potrząsnął butelką i dwukrotnie zasilił organizm niewielkimi porcjami.

- Cholera - powiedział zdziwiony. - Po pierwsze, mam ochotę pojechać z tobą. A po drugie, i to jest gorsze, skończyła się butelka.

- Pierwsze mnie cieszy, a drugim się nie przejmuję - rzuciłem niedbale i sięgnąłem do kieszeni bluzy.

Uśmiechaliśmy się szeroko i niezbyt mądrze do siebie i powodem nie była bynajmniej nowa butelka szkockiej ani słońce nad głowami, ani wymienita pogoda. Tego nie da się wyrazić słowami. To można najwyżej opić. Co do tego nie było dyskusji.



Rozdział jedenasty

Wyjątkowo nie chciało mi się palić. Nie zawsze smakują papierosy palone jeden po drugim, mimo to zapaliłem. Wiedziałem, że Ezra M. Parson nie znosi tytoniowego dymu, a on był świadom mojej wiedzy o jego awersji.

Musiałem mu zademonstrować, jak mało się boję jego i CBI, którym kierował. Wydmuchnąłem strugę dymu nieco w bok, udając, że szanuję jego zasady. Wykrzywił twarz i spopielił mnie wzrokiem.

- Moim zdaniem, sprawa została załatwiona raz na zawsze - wymruczał wyraźnie. - Douglas ma zniknąć i nie pojawić się tu nigdy. Powinien odpowiadać za udział w tej aferze, więc niech się cieszy, że nie spędził ani godziny w pierdlu.

- No, co do tych godzin, to mam pewne wątpliwości, ale to drobiazg. Nick nie ma do nikogo pretensji - machnięciem dłoni skasowałem problem. - Ale to jego wygnanie trąci mi nadużywaniem władzy i stanowiska, na którym osadzili pana obywatela tacy jak ja i Nick, a przecież mieliśmy nadzieję, że pan i pana biuro będzie nas chronić, a nie wykorzystywać do swoich celów. Dalej, gdyby Nick miał normalny proces, to już dawno wyszedłby z pudła i nawet pan nie mógłby mu naskoczyć. To nie jego wina, że procesu nie było, że opinia publiczna nie była poinformowana... - Szef CBI sięgnął do pulpitu i pokój wypełnił się niskim dudniącym pogłosem. - ...o przebiegu afery i jej zakończeniu. Jego współdziałanie z władzami w ostatniej fazie operacji wprowadziłoby w zachwyt ławę przysięgłych. Wyrok byłby niski albo wręcz uniewinniający. Woleliście jednak załatwić to inaczej... - wzruszyłem ramionami - ...wasza rzecz. Tylko dlaczego Nick ma na tym

ucierpieć?

- Gdyby nie tacy jak on, w ogóle nie byłoby afery - warknął Parson.

- Przesada - rzuciłem nonszalancko. - Nieważne. Przyszedłem tu nie po to, by bronić Nicka i prosić o jakieś względy, lecz poinformować, że on tu jest i będzie i jeśli tylko CBI w jakikolwiek sposób zacznie utrudniać mu życie... - zawiesiłem głos.

- No? - bodnął brodą przestrzeń przed sobą.

- Co pan powie na taki tytuł: „Ludzie z tamtej strony świata”? - Odrobinę bardziej wytrzeszczył oczy, choć wydawało się to już niemożliwe. - Konspekt powieści pod takim tytułem jest gotów do przekazania jakimukolwiek pismakowi w tym kraju. Jest na tyle szczegółowy, że nawet pracownicy pana biura byliby w stanie napisać na jego podstawie bestseller.

Mój mózg pracował jak wirnik na caflonowych łożyskach. Byłem w formie, inaczej skąd bym wymyślił w ciągu paru sekund tyle bzdur?

- Yeates - zbulgotał wymawiając moje nazwisko. - Jeśli to co mówisz, jest choć w znikomym procencie prawdą, to podpasz pod ustawę...

- Mam do tej ustawy stosunek - wrzuciłem peta do popielniczki. - I do wszystkich innych również. One mają służyć mnie, a nie ja im. Jeśli jest inaczej, to jest bardzo źle. Nick Douglas za kilka minut zostanie moim czasowym, utajnionym agentem i jeśli napotkam jakieś kłopoty z jego rejestracją, to zacząę podejrzewać, że pomyliłem się w ocenie pana - podniosłem się z fotela i wyszedłem bez pożegnania.

Nie było żadnych kłopotów. Nie dzwoniłem, aby podziękować Parsonowi. Nick zaraz po rejestracji wyleciał do Bagos, a ja poczekałem do trzeciej i postanowiłem bez zapowiedzi odwiedzić Douga Sarkissiana. Najpierw ganiałem po mieście prawie godzinę, wbijałem się dwukrotnie w gęsty tłum w supermarketach i służbowymi wyjściami wypadałem na ślepe ciągi dostawcze; Za drugim razem czekałem dziesięć minut, a ponieważ nikt za mną nie wybiegł, wsiadłem do pierwszej taksówki i pojechałem do Sarkissiana.

Wcale się nie zdziwił, widząc mnie w drzwiach swego domu. Spodziewałem się tego.

- Mam prośbę - powiedziałem w progę.

Uśmiechnął się samymi oczami. Umie robić ze swoją twarzą różne takie rzeczy. Usunął się i wpuścił mnie do mieszkania.

- Rzadko zdarza ci się odwiedzać mnie bez przyczyny. Takich wizyt było... - zmrużył oczy i uniośł do góry głowę. - Zaraz... ile to razy...

Z przyjemnością obserwowałem. O nieba lepszy od Nicka, grał z wielkim oddaniem, wspaniale improwizował. Marnował się w CBI. Klasnąłem kilka razy w dłonie i wyminąłem gospodarza, przechodząc do livingu. Pokój wyglądał zupełnie inaczej niż ostatnim razem. Zawsze wyglądał inaczej niż ostatnim razem. Doug miał zwyczaj prosić o przemeblowanie każdą kolejną swoją dziewczynę. Nie tracił wiele - w mieszkaniu składającym się z sześciu pokoi można jeden poświęcić na eksperymenty. Za to dziewczyny nieświadome tego odkrywały całkowicie swoją duszę i potem dość szybko stąd odchodziły. A pokój stawał się raz biblioteką, raz japońską sypialnią, raz wytwornym salonem zapchany podrabianymi bibelotami i pewnie jeszcze czymś innym. Ja widziałem tylko te trzy warianty. Teraz była to miękka, puszysta nora - hektary futer, tony bagnistych, osuwających pod naciskiem ręki pufów, foteli. Obmacałem jeden i usiadłem. Spojrzałem na Douga.

- Kociątko - stwierdziłem.

Przysiadł na rogu stołu - jedynym chyba twardym przedmiocie w pokoju.

- Posłuchaj - wyciągnął w moim kierunku palec. - Znałem faceta, który panicznie bał się przypadkowej śmierci. Dlatego przez cały czas rozglądał się dookoła siebie, wpatrywał się w niebo w obawie przed spadającymi z góry przedmiotami, jeździ ostrożnie, unikał samolotów i tak dalej, i tak dalej. I wiesz jak umarł?

- Nadepnął bosą stopą na tarantulę - stwierdziłem.

- Dożył osiemdziesięciu sześciu lat w najlepszym zdrowiu. Umarł ze starości.

- Oryginalne - zdumiony pokręciłem głową. - A czemu miał służyć twój wywód?

- Myślisz schematycznie: skoro facet boi się wypadku, to w

schematycznej poincie musi zginąć przypadkowo. To samo z tym - zatoczył kciukiem koło w powietrzu. - Skoro dookoła same miękkości, to ich twórca musi być pedałem albo słodkim kółeczkiem. A nie! Po prostu, kochamy się wszędzie, tu też, i żeby nie męczyć się wyszukiwaniem wygodnego miejsca urządziliśmy tak, by wszędzie było wygodnie.

- Trafiony, zatopiony - poddałem się. - Mam prośbę - zacząłem po raz drugi. - Chcę, żebyś przeszukał wasze archiwum i znalazł sprawę, która dotyczyłaby trojaczków - i zdając sobie sprawę, że nie powiedziałem zbyt dużo, dodałem: - Muszę znaleźć męskie trojaczki znakomicie spisujące się w roli wynajętych morderców, około trzydziestki, wysocy jak buty do konnej jazdy. Niemożliwe, żeby wcześniej nie pracowali w tej branży.

- Jeśli tacy specjaliści, to jak ci się udało... Mieli na ciebie zlecenie? - gdzieś spod warstwy futra wyjął papierosy i wyciągnął w moją stronę.

Podziękowałem wzgardliwą miną i zapaliłem swojego. Potem skinąłem głową.

- Tak. Udało mi się, a właściwie byłem przygotowany. Podsunąłem im pusty drizzler, zgasilem światło i tak dalej. A! I pomógł mi pies.

Zrobił coś wargami jak ryba i jak ryba nie wydał dźwięku. Rozejrzał się po pokoju, potem wyskoczył do kuchni i przyniósł dwie popielniczki.

- Trojaczki... - mruknął. - Nie przypominam sobie - czubkiem kciuka podrapał brodę. - Trzeba będzie popracować - stwierdził.

- Współczuję.

- Zaparz kawy - ręką wysłał mnie do kuchni. - I przynieś kieliszki.

Słyszałem jak odrzucał stopy skór, odsłaniając komp i łączył się ze swoją firmową siecią. Bulgot we wnętrzu ekspresu zagłuszył dźwięki z pokoju, kuchnia na szczęście zachowała swój dawny wygląd, więc bez kłopotu znalazłem filiżanki i podgrzewacz do nich. Gdy wróciłem do pokoju, Doug oderwał spojrzenie od ekranu i wykrzywił dolną wargę.

- Nic takiego nie mam. Wszystkiego mieliśmy dwie pary bliźniaków, ale jedni siedzą, a z drugich została połowa. Zresztą wiek się nie zgadza.

Prawie rzuciłem tacę na stół. Niepowodzenie na samym starcie zdenerwowało mnie nadspodziewanie mocno. Sarkissian chrząknął. Z zaciśniętymi zębami rozlałem kawę. W komorze absolutnej ciszy, jaką stał się living Douglasa, słysząc było moje gniewne sapanie i syk powietrza wydmuchiwane z dymem z płuc Sarkissiana. Pstryknął palcami.

- Mam! Trzeba inaczej - podskoczył do pulpitu, klawisze odezwały się perlistymi dźwiękami. - Poszukam spraw, istnienie bliźniaków... - przerwał na chwilę i pochylił się w kierunku monitora. Odwrócił się do mnie. - Poczekamy.

- Co wymyśliłeś? - złość negatywnie wpływała na tempo pracy mojego mózgu.

- Mogła być sprawa, gdzie faceta zwolniono, bo miał alibi. Na przykład w tym czasie był u fryzjera albo na pokładzie samolotu. Czujesz?

- No - uśmiechnąłem się. - Wreszcie zmusiłem do myślenia ciebie i ten twój komputer. Trochę się narobi.

- A my tymczasem... - Sarkissian mrugnął do mnie konspiracyjnie, zacierając dłonie z miną przechery.

- Umówmy się, że nie mam dzisiaj ochoty. To brzmi szlachetniej niż nie mogę.

Napiłem się kawy. Przed chwilą mi nie smakowała, teraz nagle odzyskała walory. Komp popiskiwał cichutko. Dopilem kawę dwoma łykami i zająłem się wyszukiwaniem wygodniejszej pozycji do siedzenia. Gdy już umościłem sobie siedzisko, zaterkotał komp i obaj rzuciliśmy się do niego. Doug zatrzymał się nagle i zastopował mnie ręką.

- Wybacz - wzruszył ramionami.

Wróciłem potulnie na fotel i wpadłem po szyję w kłęby futra.

- Chyba mamy! - rzucił przez ramię Dough.

Zapaliłem papierosa i był to jedyny ruch, jaki wykonałem w ciągu prawie dwudziestu minut, przez które Sarkissian chłonał informacje z ekranu.

Wczepiłem się spojrzeniem w wiszącą na Ścianie olbrzymie

trójwymiarowe zdjęcie ust. W tym powiększeniu wargi wyglądały jakby wydarte z dwu pasów kory starego dębu. Nawet purpura szminki rozmyła się w jakiś szarobrazowy odcień.

- Nie mogę ci tego pokazać - powiedział, kasując czytanie. Odwrócił się do mnie. - Są tam nazwiska informatorów, kody...

- Ad rem! - warknąłem.

- Wygląda to tak. Trzy lata temu niejaki Felix Kelsch zastrzelił na ulicy w New Cairo mężczyznę. Żona zabitego zapamiętała go bardzo dobrze i dzięki temu został osiem miesięcy później ujęty i sądzony. Przedstawił wtedy niepodważalne alibi, mianowicie polował przez tydzień w Kanadzie z czterema kolegami. Wszyscy szanowani, średnio zamożni obywatele, nakręcili całe kilometry taśmy. W sumie czternaście osób potwierdziło jego alibi. Ława musiała uznać, że żona ofiary pomyliła się lub, co gorsza, kieruje się jakimiś nie znanymi nikomu, prócz niej, pobudkami, oskarżając Kelscha. Został zwolniony, chociaż ta kobieta nie przestała upierać się przy swoich zeznaniach, natomiast pozostali świadkowie odwołali swoje zeznania. Podobno stali nieco dalej i nie byli tak pewni wyglądu mordercy. Tak to było - uniósł brwi i spojrzał na mnie. - Zadowolony?

- Zdjęcie! Co się znęcasz?

Plasnął dłonią w czoło i pobiegł do kompa. Kilka sekund później na ekranie pojawiła się twarz Felixa, albo Morta, albo Salvo. Odetchnąłem głęboko i wbrew chęciom zachichotałem.

- Dobrze jest mieć taką rodzinę - powiedziałem, - Szczególnie jeśli wszyscy za jednego, a jeden za wszystkich. Dawaj teraz wszystko, co o nim macie.

Felix Kelsch. Urodzony w 2034 roku w Vickburgu. Bez rodzeństwa. Bez zawodu. Kelner, sprzedawca z rocznym stażem. Nie karany, nie notowany. Opinia ogólna - średnio pozytywna.

Na rzetelność tych danych nie postawiłbym zużytego biletu na karuzelę. Ale Felix istniał. Gdy ostatni szereg liter zniknął z ekranu, cmoknąłem przez zęby.

- Dobrze - nalałem sobie kawy. - Mówiłem ci, że mam do ciebie

prośbę...

- Zaraz! To co to było to z trojaczkami? Nie prośba?

- A! - niedbale uderzyłem dłonią w stół. - Drobiazg. Malutka przysłużka. Drobiazg - zrobiłem małą pauzę. - To naprawdę drobiazg w porównaniu z tym, o co chcę prosić teraz, Doug.

Odgryzł kawałek skórki z dolnej wargi i zmełł go w zębach. Splunął w bok, na futra.

- No? - ponaglił.

- Potrzebuję pewnego adresu z waszego archiwum.

Uniósł brwi, opuszczając jednocześnie kąciki ust. Wyjąłem z kieszeni odpluskiwacz i włączyłem.

- Z działu DS - dodałem miękko.

Brwi zjechały mu na swoje miejsce, a żuchwa opadła. Odczekałem chwilę, aż jego płuca podjęły na nowo pracę, a powieki poruszyły się kilkakrotnie, smarując wyschniętą od wytrzeszczania powierzchnię gałek ocznych. Podniósł rękę do twarzy i wsadził sobie palec w oko. Popłynęły łzy i przekleństwa.

- Owen - podniósł się i odrzucił kłęb skór z kąta. Odsłonił radio i włączył. - Nie powinieneś nawet przyznawać się, że wiesz o istnieniu takiego działu. Czekał - powiedział głośniejszym głosem, choć nigdzie nie wychodziłem. - Dzisiaj rozmawiałeś z Parsonem. Ja też. Uczulił mnie na znajomość z tobą. Ostrzegł. Oczywiście, zwisa mi to. Ale mam swoje prywatne zdanie i teraz go wysłuchasz - niedbale odsunął filiżankę z resztą kawy i prawie każde słowo popierał stuknięciem palca w blat stołu. - Faceci tacy jak ty byli zadrą w każdej epoce. Nie jesteś czymś nowym. Detektywi, którzy jątżą przeciwnika, którzy drobiazgowo, fachowe śledztwo zastępują podsuwaniem siebie pod lufę, by w odpowiednim momencie uchylić się i złapać za rękę wroga znani byli już dwa wieki temu. Nigdy nie mieli racji bytu, lecz zawsze któryś z nich odnosił sukcesy. Jeden na stu. Pozostali umierali szybciej niż Chrystus, a mówi się, że żył za krótko. Tobie też się dotychczas udawało, ale każda seria ma swój koniec. Stosujesz oklepane chwytaki, które mają wytrącić z równowagi przeciwnika: zaczynasz uprawiać poziomki albo nabywasz

desantowy poduszkiowiec...

- Kupiłem chimerę - wtrąciłem niedbale, choć nadspodziewanie mocno ubodła mnie trafna ocena metody działania.

- Co? Właśnie. Intrygujesz swoich wrogów, podstawiasz się, drażnisz... Liczysz na ich głupotę lub nieopanowanie.

- Jestem durniem, wiem - przerwałem. - I zapewne dlatego pewna rządowa instytucja zwróciła się...

- Wiem! Jak dotąd nie zawiodłeś się na swojej metodzie... Wiem - powtórzył i machnął ręką. - Nie zrozum mnie źle - my też stosujemy podobne metody, na przykład podstawia się przynętę i czyha na myśliwego. Tylko że u nas stosuje się kilkustopniową asekurację, dwa wagony sprzętu, pracujemy nad pułapką kilka tygodni albo miesięcy. A ty po prostu wchodzisz do maszynki do mięsa i oczekujesz, że dobry Bóg w odpowiednim momencie złamie nóż - przerwał, żeby oblizać wargi, przełknąć ślinę. - Zrozum mnie, nie chodzi o te dane - wskazał kciukiem za siebie, na ekran kompa. - Nie dam ci ich nie dlatego, że są supertajne, ale dlatego, że są to takie informacje, które mogą złamać potęgę najpotężniejszego człowieka w naszym kraju. Każdego! A ty chcesz zdrzeć z którymś z nich. Człowieku! Jeśli będą uważali, że to się im opłaci, zrzucą bombę na twoją dzielnicę albo...

- Nie przekonuj mnie - przerwałem mu. - Sądzę, że wiem jaką wagę mają te informacje i właśnie dlatego cię o nie proszę. Inaczej... Nie chodzi mi o aż tak cenne dane. Chcę po prostu adresu kogoś bardzo ważnego, kto zrobiłby dla mnie jedną rzecz, poszukał pewnego człowieka i przekazał jego aktualny adres. Żadnych gróźb, żadnego szantażu czy wymuszania. Po prostu, daj mi kogoś z potężnych przestępców.

- Idiota! - wycedził. - Samo to, że wiesz o ich istnieniu jest wyrokiem bez prawa apelacji.

- Przesada - skrzywiłem się, a gdy spurpurowiał i zrobił głęboki wdech chcąc zapewne zmieść mnie krzykiem, dodałem szybko: - z tym idiotą, Doug. Jeśli mi nie pomożesz, to i tak będę działał dalej. Po prostu nie potrafię przerwać sprawy, dopóki mogę cokolwiek robić. Jeśli dobrze

pamiętam, kilka lat temu ta cecha podobała się twojej firmie na tyle...

- Jednak idiota - rozłożył bezradnie ręce i uderzył dłońmi o biodra. - Nie dociera do ciebie nic.

- Nie dociera - zgodziłem się.

- Czy dlatego rozeszliście się z Pymą? Odpowiedz mi, to nie jest zwykła ciekawość - zażądał.

- Tak - powiedziałem po chwili zastanowienia.

- No to chyba na ciebie, rzeczywiście nie ma sposobu. Jeśli nawet Pyma...

Przerwał i zaczął wciągać w siebie powietrze, jakby chciał się unieść niczym balon. Gdy wydał policzki i rozpoczął wydmuchiwanie, powiedziałem: - Proszę - i powtórzyłem: - Proszę! Minęła minuta, zanim przestał wbijać we mnie to swoje błękitne spojrzenie. Cały czas miażdżył coś między zębami. Zwlókł się z pufa i przemieścił w kierunku klawiatury. Zasłonił sobą cały pulpit i długo gaworzył z systemem, który zapewne przepytywał go na wszelkie możliwe sposoby o placet. Potem chwilę, długą chwilę, czytał coś z ekranu. W końcu wyłączył komp i wyszedł z pokoju, ale wrócił szybko. W progu zatrzymał się i nalał sobie pół szklanki. Wypił duszkiem. Dopiero potem podał szklankę mnie i nalał. Sobie również. Obu nam trzęsły się lekko ręce. Zauważyliśmy to równocześnie, ale żadnego to nie rozśmieszyło. Wypiłem połowę zawartości swojej szklanki i wtedy Doug rzucił w moim kierunku jakiś świstek, a gdy podnosiłem go z podłogi, nagle rzucił się na kolana i porwał mi go sprzed nosa. Przeczytał coś i złapał się za twarz. Jęknął głucho.

- Co się stało?

Popatrzył na mnie z obłędem w oczach, zmiął kartkę i zacisnął pięści. Zachichotał krótko.

- Zanim będziesz robił cokolwiek, sprawdź jak się nazywał ten facet zastrzelony przez trojaczka. Masz niesamowite szczęście - powiedział niewyraźnie jakby mu przystębnowano język do podniebienia.

Potem rzucił mi kulkę, poderwał się gwałtownie z podłogi i trzasnął moim odpluskiewiczem o podłogę. Musiał grzmotnąć kilka razy piętą,

zanim udało mu się na miękkim podłożu zgnieść anlypodsluchowy nadajnik. Potem wypił swoje whisky i wyłączył radio. Zrobiło się koszmarnie cicho. Szelest rozwijanego papieru było słychać chyba w promieniu mili. Przeczytałem pięć słów składających się na treść napisu: nazwisko, miejscowość i nazwa organizacji. Przeszły mnie ciarki. Podpaliłem karteczkę i starannie rozgniotłem na pył popiół. Dokończyłem whisky. Pokręciłem głową, gdy Sarkissian wychylił się do mnie z butelką w dłoni. Rozmowa wyczerpała mnie bardziej niż mogłem się spodziewać. Dobrze, że przynajmniej zakończyła się pozytywnym wynikiem. Jednak czułem, że jeszcze trochę i upiję się czterema łykami whisky, a to by mnie załamało. Zapaliłem i zachłannie zaciągnąłem się kilka razy prawie bez przerwy na oddech. Mogłem teraz udawać, że krótki, płytki oddech to nie skutek rewelacji ze świstka Sarkissiana. Dokładnie przyjrzałem się cętkom na wiszącej na ścianie skórze, prawie policzyłem je wszystkie; nieregularne jasne plamki na ciemnym tle idealnie nadawały się do bezmyślnego wpatrywania. Może nie bezmyślnego, bo w końcu jakiś impuls przyoblekł się w sensowną myśl. Zgasilem papierosa, zgasilem pytania cisnące się na usta.

- Chciałbym zadzwonić - powiedziałem. - Zależy mi, żeby nikt tego nie słuchał, to znaczy nikt prócz ciebie. Można?

Wskazał ręką ścianę za mną, a gdy odchyliłem futro i znalazłem niszę z telefonem, mruknął:

- Najpierw dwanaście dwanaście siedemdziesiąt sześć, by wyjść w speclinę. Do końca miesiąca możesz korzystać z tego numeru.

Podziękowałem mruknięciem i wystukałem kilkunastocyfrową kombinację? Długi pusty sygnał był jedyną zapłatą za wysiłek. Oderwałem słuchawkę od ucha i w tej samej chwili coś cicho szcęknęło. Usłyszałem głos Pymy. Udało mi się bez chrząkania i oblizywania warg powiedzieć:

- Cześć. Mówi Owen - zrobiłem małą pauzę. - Co nowego?

Słuchawka milczała. Potem usłyszałem westchnienie i głos Pymy:

- Zmieniłam płyn do kąpieli. Filac jest o wiele wydajniejszy i ma trwalszy zapach. Poza tym jutro ma przyjść student do strzyżenia

trawnika. Aha! najważniejsze: wyrzuciłam garnek do mleka, ciągle się przypalało i nie nadawało do niczego. To wystarczy? Czy może masz tym razem więcej czasu?

- Oczywiście, nie dzwonię od siebie, niech licznik cyka.

- Uhu - mruknęła. - No to powiedz szybko o co chodzi i wiedz, że nie spodziewam się niczego przyjemnego.

- Masz rację - powiedziałem raźnie. - Dzwonię, żeby zapytać czy nie wybierasz się przypadkiem na urlop? - zakląłem w duchu na swoją głupotę i dodałem niezbyt zręcznie: - Ja już swój wykorzystałem... - zwinąłem dłoni w pięść i uderzyłem się w udo.

- Dodałeś to, żebym nie miała wątpliwości i złudzeń, że niby urlop z tobą? - a gdy zaczerpnąłem powietrza, uzupełniła: - Nie wybieram się na urlop. Może za kilka miesięcy.

- Nie mogłabyś wcześniej? Europa? Chciałbym ci zrobić prezent i właśnie wpadłem na taki po...

- Wykluczone! - powiedziała o wiele głośniej niż dotychczas.

- Bardzo mi na tym zależy - nalegałem spocony. - Wysłałam ci pieniądze. Bardzo cię proszę.

Pół minuty nasłuchiwania szmeru telekomunikacyjnego uprzyjemniłem sobie wystukiwaniem monotonnego rytmu czubkami palców o podłogę. Przetrzymałem ją.

- Mówisz serio?

- Maksymalnie serio.

- Coś się dzieje?

- Jeszcze nic, ale się spodziewam - skłamałem. - Musisz mnie jeszcze raz posłuchać. Ostatni raz - powiedziałem prawie szczerze.

- A potem będzie następna sprawa i znowu będziesz się bał, że ktoś mnie napadnie i zadzwonisz pytając co nowego.

Nie odpowiedziałem. Łzę tylko w ostateczności, kiedy muszę. Sądziłem, że jeszcze nie muszę. Odchrząknąłem tylko w słuchawkę.

- Definitywnie ostatni raz - usłyszałem.

I rzuciła słuchawkę. Zagwizdałem cichutko i odłożyłem swoją. Nie patrząc na Douglasa, wysłałem z jego kompa pieniądze na adres Pymy i

wyciągnąłem do niego rękę.

- Możesz mi coś powiedzieć? - zapytał, przytrzymując moją dłoń w swojej.

- Nie - pociągnąłem rękę, ale przytrzymał ją.

- Potrzebujesz pomocy?

- E-egh - zaprzeczyłem. - Ale jakby co, to nie omieszkać, chyba to dzisiaj udowodniłem.

- Jeśli mógłbym.

- Dziękuję. Pomogłeś mi ogromnie, naprawdę. Bez ciebie leżałbym, ale...

- Czy ty w ogóle możesz kogoś posłuchać? Czy jest ktoś, kogo uważasz za mądrzejszego... co ja mówię? - teatralnie wytrzeszczył oczy i palnął się dłonią w czoło. - Najwyżej równego sobie. Jakies autorytety?

- O! Mnóstwo! Wielbię i szanuję Edwarda Vemona, Johna Walkera, Gaspara Campari, Lucasa Bolsa, Francesco Qnzano. Vernon to ten, co wynalazł grog. Pozostałych znasz.

Puścił mnie. Na wszelki wypadek zjechałem do garażu i wyszedłem na powierzchnię prawie pół mili od domu Sarkissiana. Zawsze lubiłem takie drobne chytróstki. Doug miał rację - stałe nękanie przeciwnika było moją ulubioną bronią, nigdy nie omieszkałem utrudnić wrogowi życia. I często wychodziłem na swoje. Czy tak właśnie było i dzisiaj, miał rozstrzygnąć czas.



Rozdział dwunasty

Wybrałem komputerowy salon BBM. Wbrew pozorom wielu ludzi nie korzysta z domowych kompów czy to ze skąpstwa, czy z głupoty, a niektórzy przejęli się opowiadaniem Johna Varleya „Naciśnij enter” i wolą co jakiś czas odwiedzać komputelony niż mieć w domu komp. BBM było najtańszą siecią, najliczniej odwiedzaną. Musiałem poczekać kilka minut, ale wiedziałem, że wobec dużego obrotu kasuje się u nich informacje o sesji co dziesięć minut. To mnie urzędało. Dane z archiwum policyjnego są drogie, bardzo drogie. Rozmyślnie. W ten sposób odcina się od tych informacji niedopieczzone staruszki i zblazowaną młodzież przedszkolną. Chociaż - ich też na to stać, tyle że wolą sznurki do zucia i maxi-colę.

Błyskawicznie przełknąłem dane o morderstwie doskonałym braci Kelsch. Potrzebną informację uzyskałem już w pierwszym zdaniu. Nazwisko ofiary. Zrozumiałem, dlaczego Sarkissian omal nie zemdłał. Skasowałem ekran i wybiegłem z salonu. Pierwszą taksówką dotarłem do domu. Tym razem nie kluczyłem, bo tego zapewne spodziewali się wrogowie. Ostrożnie wdrapałem się na najwyższe piętro domu, sprawdziłem klapę na dach i przystanąłem przed własnymi drzwiami.

- Teba! - zawołałem.

Nie dotykając drzwi wsłuchałem się w szmer za nimi; Teba milczała, ale czułem jej obecność i spokój. Odsunąłem się za ścianę i wysuwając rękę, otworzyłem drzwi - wolę żyć bez ręki niż nie żyć w ogóle. Nic się jednak nie stało. Wsunąłem się do mieszkania i chwilę nasłuchiwałem. Teba spokojnie leżała pod wyłączonym grzejnikiem. Przysięgłbym, że

się uśmiechnęła na mój widok, a na pewno jej ogon wykonał kilka wahadłowych ruchów po podłodze.

- Dobry piesek - powiedziałem z przekonaniem.

Dwie sekundy później zrewidowałem swoje zdanie na jej temat. W pół kroku zatrzymał mnie czyjś dudniący głos dobiegający gdzieś z tyłu.

- Nie ruszaj się! Spróbuj stać się pomnikiem Jeffersona, tylko tak możesz pożyć jeszcze chwilę.

Zamarłem ze spojrzaniem utkwionym w Ciebie. Po raz drugi mnie zawiodła, gorączkowo zastanawiałem się, co mogę zrobić, ale czasem nawet najdoskonalszy komputer nie byłby w stanie udzielić mi satysfakcjonującej odpowiedzi.

- Wolno unieś wyprostowane ręce na wysokość ramion! - usłyszałem z tyłu. W nieco innej sytuacji roześmiałbym się, gdyż był to mój ulubiony sposób trzymania pod muszką. Zrozumiałem, że przeciwnicy zdążyli tym razem przygotować się naprawdę dobrze na rendez-vous. - Odwróć się przez prawe ramię... Wolniutko, wolniusieńko...

Wykonałem polecenie. W niszy za załomem ściany stał mężczyzna z twarzą zasłoniętą prymitywną czarną maską. Miała tylko dwa otwory na oczy, głos wydobywał się przez materiał. Mężczyzna trzymał rewolwer w lekko ugiętej dłoni.

- Dobrze - powiedział innym głosem, przestał go zniekształcać. - Teraz...

Poczułem, że drżą mi kolana i zahuczało w uszach. Wolno opuściłem prawą rękę i po omacku sięgnąłem po pozostawioną na stole butelkę z resztką Club 1999, a potem z całej siły rzuciłem nią w napastnika. Nie próbował strzelać, tylko przykucnął, zwinął się, próbując łokciem osłonić głowę. Podskoczyłem doń i z całej siły kopnąłem go w wypięty w moim kierunku zad.



Rozdział trzynasty

Kląłem co najmniej piętnaście minut. Sięgnąłem do flory i fauny i wszelkich możliwych skojarzeń, żeby wyładować swoją wściekłość. Związki rodzinne wykorzystałem wcześniej, jeszcze przed tak zwanymi wstydliwymi częściami ciała. Ten kwadrans werbalnego szamba pozwolił mi jako tako opanować się. Nalałem dwie porcje, w których utonąłby Moby Dick i odezwałem się spokojniej: - Jak to było?

Claude Scarrow wzruszył ramionami, ale widząc moją minę, szybko odstawił szklankę i uniósł dłón.

- Już mówię. Zauważyłem dwa samochody jeżdzące za mną. Trochę się wymieniali, ale bez serca. Urywałem się im, kiedy chciałem. Na wylocie z miasta wzięłem autostopowicza. Potem żałowałem, bo facet przeprosił mnie grzecznie i zasnął na tylnym siedzeniu i dalej nie miałem z kim pogadać. Gdzieś po dwudziestu milach zauważyłem, że jeden ze znajomych wozów wyprzedza mnie, ale z tyłu nadal nie było nikogo. Jechaliśmy tak z półtorej mili, a potem zobaczyłem opadającą tylną szybę i błysk odpalanego pocisku - zabełtał whisky w szklance.

Wyskoczyłem w biegu. Pół sekundy przedtem skręciłem kierownicę, tak że nie mogli widzieć jak wypadam na jezdnię, a potem... - machnął dłónią - ...pieprznięło, że dziękuję. Rzuciło mną na pobocze, na kilkanaście sekund straciłem przytomność, a jak oprzytomniałem, uznałem za słuszne zniknąć z tego miejsca. Nawet nie bardzo wiem dlaczego. Czy się bałem, czy byłem w szoku, czy jeszcze coś... Polami dotarłem do Pirky. Przypomniałem sobie, że mieszka tam pewna dziewczyna i ona sobie mnie też przypomniwała. Dwie doby rzygałem

zółcią jak kot, dobę spałem. Ona z kolei nie wiedziała, gdzie dać znać, a na policję zabroniłem. A teraz od trzech dni usiłuję złapać z wami kontakt, a was nie ma i nie ma. Pomyślałem, że utajniłicie się, bo macie powód, więc skorzystałem z klucza i wlałem tu - uśmiechnął się szeroko. - Przepraszam cię za ten idiotyczny dowcip, nie mogłem się powstrzymać - uniósł szklanke i poruszył nią.

Zrobiłem to samo, ale wypilem więcej niż on. Claude skończył swoją opowieść. Ja jeszcze nie zacząłem.

- Mogłem strzelić, durniu - powiedziałem.

- Przecież nigdy nie strzelasz, jeśli nie musisz?

- A skąd wiesz, że nie myślałem, że muszę? Zresztą... Nieważne.

- No to dobrze. Przyrzekam, że już nigdy tak się nie wygłupię. Lepiej powiedz co wyście robili? Podłączam się, nie?

- Yayo nie żyje - wykrztusiłem. - Nie udało mu się jak tobie.

Nie patrzyłem na Claude'a, nie zamknąłem oczu, ale i tak niczego nie widziałem. Opowiedziałem mu wszystko do momentu śmierci Yayo. Potem wyrzuciłem go z pracy, potem prawie się pobiliśmy, a Teba w rozterce warczała i skowyczała, miotając się między kolanami jego i moimi. W końcu wybrała Claude'a. A ja przyjąłem go z powrotem do pracy i dokończyłem opowieści. Niezupełnie. Pewne niewątpliwie istotne szczegóły zachowałem dla siebie. W zamian poinstruowałem go co do planu na najbliższą dobę i nie żegnając się, opuściłem mieszkanie. Dachem dotarłem do następnej klatki schodowej i trzema taksówkami na lotnisko.

Teelsaye przywitało mnie mżawką i jakimś dziwnym, kwaśnym odorem szczelnie wypełniającym wszystkie pomieszczenia dworca lotniczego. Najgorzej było w toaletach, mimo to musiałem tam wytrzymać tyle, ile trzeba było czasu, żeby sforsować okno i wydostać się na zewnątrz. Gęste od wilgoci powietrze prawie chlupotało w płucach, gdy przemierzałem miasto na piechotę. Dopiero po godzinie zatrzymałem taksówkę i podjechałem spory kawałek w kierunku na Plasen. Do motelu Fort One dotarłem zupełnie przemoczony. Po uważnym przestudiowaniu planu wynająłem trzy obok siebie stojące

domki pod murem otaczającym motel niczym warownię. Zrobiłem listę zakupów i wysłałem pomocnika recepcjonisty do sklepu. Pozbyłem się mokrych łachów i po gorącym prysznicu krew różniej ruszyła po wytyczonej trasie. Cztery godziny później przybył Claude z Tebą. Podzieliliśmy domki między siebie - mieliśmy zamontować prostą sieć, taką żeby można było z jednego domku sterować oświetleniem we wszystkich trzech. Mogliśmy teraz, siedząc w jednym z nich, udawać zasiedlenie wszystkich. Wynajęty przez Claude'a siedmiomiejscowy, długi jak pas startowy mohigeran ustawiliśmy między domami. W końcu zasiedliśmy do kolacji z puszek. Tuż przed północą dołączył do nas Nick. Wypiliśmy tylko tyle, by ceremonia poznawania się nie przebiegała jak na party mormonów. Zaraz potem sprzątnąłem butelkę, co wyglądało, jakbym spodziewał się powrotu żony. Zaproponowałem:

- Mały przegląd sytuacji? - Nick kiwnął głową, a Claude zaaprobował to mruknięciem. - Od czego się zaczęło? - zagałem. - Od Bonnie Le Fay i moich prób odnalezienia jej, przy czym nasilenie reakcji przeciwnika wskazuje, że bardzo mu zależy na jak najszybszym i możliwie radykalnym wyciszeniu sprawy, choć żadnej sprawy nie było. Dopiero teraz... Jakby sam rozpętał burzę. Co to znaczy? Albo wpadł w panikę zaskoczony naszym nieprzewidzianym wtargnięciem na jakiś obszar, albo... - pomachałem rozpostartymi palcami w powietrzu - ...nie wiem. W każdym razie zareagował mocno - spojrzeniem rzuconym na Claude'a wspomogłem słowa. - W ekspresie do Duluth przypadkowo odkryłem na dachu bombę kroczącą i udało mi się ją zestrzelić, potem miałem wizytę trójki Kelschów i mam nadzieję, że jeden z nich albo został zadołowany, albo przynajmniej jakiś czas spędzi pod kropłówką. To wszystko wiecie. Dalej... - wypłem kilka łyżeków mocnej herbaty i wytarłem usta. - Ponieważ nie sądzę, by osoba Bonnie była ważna sama w sobie, musimy przyjąć, że chodzi tu o TEC, o Krater Zgubionego Czasu, a w każdym razie o coś z tym związanego. Jakie mam tropy? Pierwszy - Bonnie - uniosłem wyprostowany kciuk. - Oficjalnie nie ma jej w kraju, to znaczy nie mieszka w żadnym hotelu, motelu, pensjonacie. Sprawdziłem. Zniknęła... Nie mamy żadnego punktu

zaczepienia, bardzo mało wiemy o niej i chyba nie da się szybko przeświecić jej życiorysu. Zresztą może okazać się, że ona też nie za dużo wie. Bardziej perspektywiczne wydają mi się inne ślady, czyli Kelschowie, potem niejaki Saul Bogg, jeden z dwóch naukowców, którzy nie skorzystali z biletu do nieśmiertelności. Też nie można go nigdzie znaleźć. Musimy również porozmawiać z tym drugim facetem. Nie ukrywa się nigdzie. Żyje w spokoju. Jeden z was pojedzie go obejrzeć. Może zrobimy tak: ja z Nickiem pojedziemy do Touhy, tam się rozłączymy, a ty skoczysz do tego naukowca. Ale to musi być klinicznie czysta robota, nie możemy ryzykować, że ktoś sprzątnie faceta. To jasne, nie?

- A ty? - odezwa się Claude.

- Ja złożę wizytę w stolicy grubasów.

- W celu? - zasiłił szeregi ciekawskich Nick.

W milczeniu pokręciłem głową. Poobracałem w palcach paczkę papierosów i w końcu zapaliłem jednego. Udałem, że dym wpadł mi do oka i klnąc pod nosem - poszedłem do łazienki ochlapać twarz wodą. Gdy wróciłem, czekali tkwiąc w ostentacyjnym bezruchu.

- Już raz umarłeś - powiedziałem wściekły. - Mało ci?

Claude nie poruszył się, drugi ciekawski również siedział nieruchomo. Przeszedłem się po pokoju, zupełnie niepotrzebnie włączyłem na chwilę światło w łazience w domu obok. Opróżniłem popielniczkę, choć były w niej tylko dwa niedopałki.

- W Touhy mieszka podobno facet, który może pomóc znaleźć Bogga. Nie mogę wam nic powiedzieć, nawet nie dlatego, że gdyby chciał, może na nas nasłać dwie kompanie oprychów, ale przede wszystkim dlatego, że wkopałbym swojego informatora. To co powiedziałem, musi wam wystarczyć. I nie przekonujcie mnie więcej. Wiem, że wciągam was w niebezpieczną zabawę i należy wam się coś za to i tak dalej. Nie jestem przesadnie skromnym człowiekiem, ale nawet ja wiem, ile mogę zrobić i dlatego musiałem prosić was o pomoc, więc do jasnej cholery nie zmuszajcie mnie, żebym zaczął żałować. Zadowoleni?

- Zawsze kiedy jesteś zakłopotany, przeprowadzasz taką publiczną

autoanalizę, wyciągasz na światło dzienne swoje słabostki, dajesz sobie kopa i zamykasz tym gęby innym - Nick dopiero pod koniec wypowiedzi uśmiechnął się lekko, ale i tak poczułem, że się czerwienię.

Musiałem szybko wstać i przeciągnąć się stojąc tyłem do nich. Na szczęście rumienię się rzadko i szybko odzyskuję normalny wygląd. Sprawdziłem czy w termosie jest herbata i nalałem sobie trochę do filiżanki. Claude nawijał na palec kosmyk włosów zza prawego ucha, Nick Douglas palił leniwie, wolno podnosząc papierosa do ust i niespiesznie zaciągając się. Teba podniosła się i podeszła do Claude'a.

- Wróciła do ciebie - powiedziałem, patrząc jak ziewa z głową przy jego kolanie.

- W ogóle dziwne, że cię słuchała. Firma gwarantuje absolutne podporządkowanie tylko jednemu właścicielowi.

- Psy wyczuwają dobrych ludzi - powiedział Nick, intonacją zadając kłam treści.

- Niewykluczone - powiedział Claude zupełnie serio. Podrapał Tebę za uchem i zwrócił się do niej: - Zaraz wyjdziemy, poczekaj. Słuchaj... - to było już do mnie - ...a o co w ogóle chodzi? Szukamy kilku osób, ale co ich łączy? Masz jakiegokolwiek pojęcie, o co nam i tamtym chodzi?

- Forsa - odpowiedziałem.

- Genialne! - uderzył dłonią w kolano.

- Nie kpij - jęknąłem. - Tylko to jest pewne. Nic poza tym nie wiem. Nie udaje mi się połączyć w całość tego, co wiem. Bonnie Le Fay miała zrobić bombowy wywiad z Boggiem i oboje zniknęli. Ponieważ Bogg odmówił TEC, a Bonnie pracowała dla nich, łączę to w swoim umyśle w jakąś całość, ale zupełnie możliwe, że nie mają ze sobą żadnego związku. W ogóle TEC jakoś mi tu nie pasuje, przecież nie porywają uczonych. Oni sami tam się pakują z wilgotnymi ze szczęścia oczami. Dopiero gdy znajdziemy Kelschów i dowiemy się dla kogo pracują, będziemy mogli rozpocząć układanie łamigłówek.

- Właśnie! Co z tymi trojczkami? - Claude gestem ułożył Tebę przy nodze i odwrócił się do Nicka.

- W skrócie wygląda to tak - Douglas pomasaował powieki czubkami

palców. - Oficjalnie urodził się tylko Felix. Rodzice to para jakichś zwariowanych epigonów ruchu deep. Umarli od przedawkowania Śniegu Himalajów. Rozmawiałem z sąsiadami lekarza, który odbierał poród. Zginął potrącony przez nieznanego kierowcę pięć lat temu. Kawaler. Pośredniczył przy adopcjach. Moim zdaniem odbyło się to tak - odebrał poród trzech chłopców, jeden został w Vickburgu, dwaj powędrowali gdzieś do ludzi. Musieli w jakiś sposób się dowiedzieć o sobie i spiknęli się. Można by pójść tym tropem, ale to ryzykowne. Te gadziny na pewno jakoś poplątały ślady i mogą ucierpieć niewinni ludzie. Trzeba jakoś...

- Nie trzeba - przerwałem. - To załatwi ktoś inny. Sądzę, że skutecznie i bezpiecznie.

- No to w takim razie wszystko - Nick gestem dłoni zamknął sprawozdanie. - Zgodnie z tym co powiedziałaś, nie grzebałem zbyt szczegółowo, żeby nie robić szumu.

- Uhu. Dobrze - sięgnąłem do paczki, ale nie zapaliłem. W gardle tkwił gorzki kłujący kołek. Napiliśmy się herbaty. - Są jakieś pomysły? Wnioski? Propozycje? Nie? To idziemy na spacer z psem - wstałem i wciągnąłem kurtkę.

Claude klepnął się po tylnej kieszeni i obaj wyszliśmy kuchennymi drzwiami na zewnątrz. Deszcz przestał padać, ale przy podmuchach wiatru dziesiątki kropel spadały z drzew. Zatrzymałem się w cieniu domu i stałem nieruchomo kilka minut. Claude zlał się z jednym z pobliskich drzew, tylko Teba jak biały cień majaczyła między niskimi krzewami. Potem pierwszy przemknąłem do swojego domku i w drzwiach poczekałem na nich. Bez zapalania światła ułożyliśmy się do snu. Zanim usnąłem, usłyszałem jak Teba głośno ziewnęła i westchnęła z krótkim jękiem, a potem nasunął się na mnie głęboki i miękki jak olbrzymia poduszka sen.



Rozdział czternasty

Już po kwadransie pobytu w Touhy poczułem się szczupły i lekki. Stolica grubasów przytłaczała połciami sadła opiętego spodniami, spódnicami, szortami, głęboko wrzynającymi się w ciało ramiączkami i paskami. Wszystko tu było podporządkowane Jej Królewskiej Mości Otyłości. Zamieszkujący ją obywatele i przyjezdni byli co najmniej dwa razy grubszy od przeciętnego człowieka, a jedynym celem ich życia wydawało się jedzenie i wypoczynek. Wypadało tu chyba po jednej pizzerii na człowieka. Wszystkie miały szerokie dwumetrowe drzwi, fotele zdolne do udźwignięcia pół tony obżerającego się żywego mięsa, porcje wystarczyłyby do nakarmienia wszystkich wacht na lotniskowcu i chyba nikt prócz mnie nie miał tu kłopotów z pochłonięciem półakrowej pizzy; czy hamburgera wielkości pufa.

Przeszedłem raz główną ulicę, przyglądając się witrynom, z których uśmiechały się do mnie gigantyczne, rozdęte w każdym możliwym kierunku manekiny o sympatycznych, pucółowatych mordkach. Patrzyłem na spodnie, z których mógłbym uszyć sobie dwa garnitury. Z podziwem obejrzałem salon samochodowy z wozami o wzmocnionych ramach i kierownicach wymodelowanych tak, by nie ocierały o brzuchy kierowców. Rzecz jasna wnętrza były poprzerabiane tak, że zamiast pięciu czy sześciu osób wchodziły dwie.

Zawróciłem przy końcu ulicy, tuż przed wypożyczalnią samojezdnych foteli i zatrzymałem się przy policjancie. Miał dobrotliwy uśmiech na twarzy i gigantycznego dziurawca, czyli Bischopa 0.51, co nie było dziwne, jeśli wziąć pod uwagę przez jaką warstwę sadła musiałby przejść

pocisk. Policjant wypiął brzuch w moim kierunku i zsalutował uprzejmie. Potężny brzuch skutecznie chronił jego twarz przed ciosem z mojej ręki - za skarby nie sięgnąłbym jego nosa bez wysięgnika. Uśmiechnąłem się również.

- Szukam pewnego człowieka, panie sierzancie. Pan zapewne zna wszystkich lub przynajmniej większość mieszkańców tego pulchniutkiego miasteczka, Ian Honeycombe, he?

- Przykro mi - policzki jak dwie duże piersi poruszyły się i podjechały do góry, a wargi odsłoniły za małe w tej olbrzymiej twarzy zęby. - Na pewno tu taki nie mieszka. Może jest gościem?

- Nie-e... - uśmiechnąłem się promiennie. - Na pewno tu mieszka, to pewny adres - a gdy policjant poruszył się, nieregularnie falując całym ciałem, zrzuciłem z twarzy uśmiech. - Zatrzymam się w hotelu - wskazałem kciukiem za siebie. - Nie jestem durniem, nie szukam guza i mam dla niego informację, której zapewne długo szukał. Dziękuję za pomoc.

Odwrociłem się i wolno przeszedłem na drugą stronę ulicy, kierując się do hotelu. Przy drzwiach obejrzałem się, policjant radośnie salutował olbrzymce wyglądającej jak reklamowy golem z opon Michelin. Wszedłem do hallu przez drzwi jak z hangaru dla łodzi podwodnych i z szacunkiem omijając kilka potężnych ciał z sapaniem zmierzających w kierunku wyjścia, dotarłem do recepcji. Z jednej strony dobrze było tak bez trudu omijać te bryły ciał jak motorówka w konwoju pancerników, z drugiej - z przyjemnością zobaczyłbym kogoś chudsze od siebie. Recepcjonista nie był chudszy.

- Szukam pokoju - zlustrowałem przegródkę na klucze. - Jak pan widzi, nie zajmę dużo miejsca. I najwyżej do jutra.

- Strasznie mi przykro - zagulgotał. - Nie ma nawet wolnej wycieraczki. Mamy teraz szczyt szczytów - w kącikach ust zbierała mu się ślina, gdy mówił robiły się z niej małe pęcherzyki, a potem pękały. Prawie słyszałem ten trzask. Omal nie splunąłem. Nabrałem powietrza i w tej samej chwili recepcjonista szurnął oczami gdzieś w bok i nagle rozpląnął się w maślanym uśmiechu. - Ma pan szczęście - potrząsnął

głową. - Przypomniałem sobie, że jest pokój zarezerwowany od jutrzejszej nocy, więc jeśli pan chce tylko na jedną dobę, to...

- Właśnie - odwróciłem się, ale zdążyłem zobaczyć tylko plecy znajomego policjanta. - Owen Yeates - brodą wskazałem klawiaturę. - Który pokój?

- Siedemnaście. Proszę tu przyłożyć kciuk - wskazał dłonią kwadratową płytkę dekonsora.

Zostawiłem im na pamiątkę odcisk kciuka i poszedłem na górę. Schody były puste i powietrze nie było tam tak tłuste. W pokoju włączyłem maksymalny przedmuch i rzuciłem się na gigantyczne łóżko. Było niespodziewanie - twarde. Zadzwoił telefon, a gdy po trzecim sygnale podniosłem słuchawkę, usłyszałem:

- Proszę przyjść do wypożyczalni foteli i wynająć fotel numer sześć. Teraz.

Ruszyłem od razu. Pięć minut później płaciłem za wynajem, a gdy po krótkim instruktażu wyjechałem na ulicę i zatrzymałem się w oczekiwaniu jakiegoś znaku, wyminął mnie identyczny fotel i ktoś zawołał:

- Yeates!

Ruszyłem za przewodnikiem. Przejechaliśmy połowę głównej ulicy, zanim skręciliśmy w szeroką uliczkę, która skończyła się po stu metrach. Potem przecięliśmy niewielki park i zjechaliśmy do podziemnego garażu, jeszcze krótka jazda między samochodami i przewodnik syknął:

- Czekaj.

Wyhamowałem. Cicerone pojechał dalej. Opony jego fotela pisnęły na zakręcie. Sięgnąłem do paczki i zapaliłem papierosa. Nagle ktoś z tyłu powiedział:

- Nie ruszaj się - coś dotknęło mnie w ramię. - Włóż ten worek na głowę i nie staraj się podglądać.

Wykonałem polecenie. Ktoś wziął mnie za ramię i wypchnął z fotela. Po kilku krokach wsiedliśmy do samochodu, przy czym nie miałem wątpliwości, że nie siedzę sam na tylnym siedzeniu. Jazda nie trwała długo, nawet nie zdążył mnie zabolec żołądek uciskany lufą jakiejś

broni. Potem wysiedliśmy i podtrzymywany pod łokcie zrobiłem jakieś dwieście kroków.

- Siadaj.

Pochyliłem się, znalazłem brzeg kanapy. Usiadłem i położyłem dłonie na kolanach. Krople potu spływały po mojej twarzy i po krótkim locie między podbródkiem i piersią lądowały na koszuli.

- Możesz zdjąć worek - usłyszałem z tyłu męski głos. To był ktoś inny.
- Ale jeśli odwrócisz głowę choć na włos, nie wyjdiesz stąd żywy.

Wolno uniosłem ręce i zsunąłem worek. Znajdowałem się w małym pokoju chyba bez okien. Nad głowami paliła się mocna lampa. Za moimi plecami siedział przynajmniej jeden mężczyzna, przez ułamek sekundy coś poruszyło się z boku. Siedziałem nieruchomo.

- No? Słucham, panie Yeates - powiedział uprzejmie.

- Mam dla pana dwie informacje, sądzę, że ważne. W zamian...

- Ciii! - przerwał. - Nie jesteś na bazarze. Co to za targi? - zdziwił się i oburzył jednocześnie.

- Chyba zdaje pan sobie sprawę, że nie pakowałbym się tu, gdybym nie miał jakiegoś interesu do ubicia? - zapytałem. - A co to za interes, skoro pan nawet nie wie o co mi chodzi?

- Ubijesz naprawdę znakomity interes, jeśli wyjdiesz stąd żywy. Najlepszy interes w twoim życiu.

- Po co to straszenie? - zadałem kolejne pytanie. - Nie możemy porozmawiać normalnie? Jak prywatny detektyw z szefem potężnej organizacji przestępczej? Mówiłem policjantowi, że nie jestem durniem, nie szukałbym kontaktu z panem, gdybym nie wierzył, że mogę wyjść stąd cało i z pewnym zyskiem.

- Jaki wygadany i logiczny - prawie widziałem, jak Honeycombe kręci i podziwem głową. - No to słucham.

- Pierwszą informację już panu przekazałem. Pański adres nie jest tajemnicą dla CBI. To jest chyba coś warte, nie? Daję to panu za frajer. Ale za drugą informację chcę od pana przysługi. Chodzi mi o znalezienie pewnego człowieka. O ile wiem, to normalny, uczciwy, starszy pan, który nagle zapragnął absolutnej samotności i

anonimowości. Pan jest chyba w stanie szybko go odnaleźć. Odnaleźć i przypilnować, by nic mu się nie stało, zanim ja z nim nie porozmawiam. Być może nie żyje, wtedy byłbym wdzięczny za informację, kto go zabił. Tyle.

- A w zamian?

- W zamian powiem panu kto zabił pańskiego brata.

Usłyszałem jakiś trzask z tyłu; chyba runęło kopnięte krzesło, w polu mojego widzenia pojawił się Ian Honeycombe, szef żandarmerii przestępczej, człowiek, którego bały się i o którego względy zabiegały wszystkie rodziny mafii, człowiek, bez wiedzy którego niemożliwe były kontakty z organizacjami w innych częściach świata. Miał na twarzy cienką maskę ze sztucznej skóry, ale nie zdołała ona przykryć wściekłości buchającej z każdego milimetra prawdziwej twarzy. Wyciągnął w moim kierunku wskazujący palec i prawie dotknął nim mojej piersi. Mimo że był to zwykły palec, poczułem jak promieniuje z niego grobowy chłód.

- Mów - wycedził, nie cofając palca.

- Pan nie wyraził jeszcze zgody na transakcję - powiedziałem, patrząc mu w oczy.

- Powiesz mi to teraz! - wrzasnął.

- Mógłbym za tę informację dostać milion, nawet niekoniecznie od pana, a pan się targuje?

Kilka sekund wypalał mi oczy spojrzeniem, odsunął się gwałtownie.

- Wiem - wyprzedziłem go. - Może mnie pan zabić, rozjechać walcem, spalić żywcem, zrzucić z samolotu. Może pan również dobić targu i osiągnąć swoje w sposób nieporównanie bardziej elegancki. I o wiele miłszy dla mnie.

Sięgnął do kieszeni i wyjął papierośnicę. Gdy zapalił, poczułem zapach dymu legendarnych rebecca. Jeden sztach spaliłby mi płuca, on zaciągnął się głęboko i nawet nie załzawiły mu oczy.

- Po co mi eleganckie rozwiązanie? - zapytał już ciszej.

- Z tego co wiem, kieruje się pan swoistym kodeksem, pan pierwszy chyba pojął, że w naszych czasach prymitywny boss, mordujący na prawo i lewo, nie ma racji bytu. Zbrodnia to dla pana biznes, a w

biznesie należy kierować się pewnymi zasadami.

- Ciekawe - pstryknął niedopałkiem gdzieś w bok. Usłyszałem jakiś szelest, pewnie któryś z fagasów rzucił się umieścić peta w popielnicze.

- Skąd to wiesz?

- Klasyczny gangster zabiłby Felixa Kelscha bez dłuższego śledztwa i żyłby w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Pan uznał wyrok sądu, może nawet przeprowadził pan własne śledztwo...

- Dobrze. Zgadzam się na twoje warunki - przerwał. - Twoja analiza mojej osobowości jest mi potrzebna jak mielone masło. No?

- Zabił Kelsch - powiedziałem. - Mogę zapalić?

Chwilę stał, wytrzeszczając na mnie oczy, potem zerknął gdzieś ponad moją głowę i jakby odebrał jakiś bezgłośny meldunek.

- Niemożliwe - powiedział wolno. - To sprawdziliśmy.

- Ich jest trzech - sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem papierosy. Zapaliłem szybko i dodałem: - Trojaczki. Trzej identyczni najemni mordercy, z tym że dwaj nie istnieją oficjalnie. Nazywają się Mort i Salvo, ale wszyscy używają imienia Felix.

- Skąd wiesz?

- Przeprowadziłem śledztwo.

- Czeka! - przerwał mi. - Kto się tym zajmował? - zapytał, znowu patrząc za mnie.

Wysłuchał bezgłośnej odpowiedzi i zobaczyłem w jego oczach wyrok na nieudolnego pracownika. Przełknąłem ślinę.

- Pana bratowa miała rację - wydusiłem z siebie. Popatrzył na mnie. - Ja miałem szczęście widzieć ich wszystkich razem. Być może jest ich już tylko dwóch albo jeden jest ranny.

Przyglądał mi się z uwagą, sięgnął do papierośnicy i zapalił znowu.

- Brat był oferumą i nie lubiliśmy się, ale to mój brat. Ktoś chciał mnie upokorzyć i przez kilku durniów udało mu się to. Ale to nic. To się załatwi...

- Jeśli można - odchrząknąłem. - Mam jeszcze prywatną prośbę...

- No? - burknął ze spojrzeniem wbitym w ścianę.

- Chciałbym, żeby bracia powiedzieli, kto im dał zlecenie na mnie.

Bardzo mnie to interesuje.

- Dobrze - oderwał spojrzenie od ściany i machnął niedbale ręką.
- Przedzwonię i podam...
- Powiedziałem: dobrze - zniecierpliwiał się. - Kogo mamy znaleźć?
- Saul Bogg, matematyk z uniwersytetu w Menard...
- Wystarczy. Coś jeszcze?

Pokręciłem głową.

- Posłuchaj - jeszcze raz wyciągnął w moim kierunku palec. - Wyjdiesz stąd żywy. Trochę mnie korci, żeby się dowiedzieć, jak dostałeś mój adres, ale niech ci będzie - machnął wielkodusznie dłonią. - I tak to już nieaktualne. Ubiliśmy interes i zapomnij o tym. Jeśli jeszcze raz cię zobaczę... - kciukiem wskazał podłogę. - Jeśli twoje informacje nie są prawdziwe... - nie wysiłał się już na gesty.

Kiwnąłem głową i wstałem z workiem w dłoni. Honeycombe bez pożegnania ominął mnie i wyszedł z pokoju. Bez ponagrania nałożyłem worek na głowę a pół godziny później zostałem posadzony w oczekującym mnie fotelu.

Wróciłem do hotelu i wykąpałem się. Około drugiej zapłaciłem za hotel i wsiadłem do autobusu, który wywiózł mnie z Touhy. Na każdym zakręcie turlałem się w olbrzymim fotelu, ale męczyłem się tak tylko niecałą godzinę. Przesiadłem się do innego autocaru i zanim zapadł zmierzch, byłem z powrotem w Teelsaye i udzielałem idiotycznych odpowiedzi na dociekliwe pytania Claude'a. W końcu, żeby uniknąć bójki, usiedliśmy do partyjki pasikonika. Przegrałem dwa razy. Z mojego domku wydzwoniłem recepcję i przedyktowałem listę zakupów. Pół godziny później chłopak przyniósł mi wszystko, o co prosiłem i dodatkowo, z własnej inicjatywy, zakupione gazety. Jak się okazało nie było to głupie posunięcie. Zadowolony uciałem sobie drzemkę pod strażą Claude'a. Gdzieś około jedenastej wrócił Nick.

- Żadnych konkretów - powiedział od progu, jakby się bał, że rzucimy w niego granatem, jeśli choć o sekundę przeciągnie sprawozdanie.

- Głodny? - zapytał Claude.

Nick pokręcił przecząco głową, przyklęknął przy Tobie i pogłaskał ją

po głowie i grzbiecie. Podniósł się i przeciągnął.

- Mogę wziąć prysznic, zanim opowiem wszystko? - zapytał. - Zmęczyłem się jak wszyscy diabli. Łatwiej sterować kortem tenisowym niż tą krową - wskazał głową gdzieś w bok, gdzie stygł mohigeran.

- Yhy - mruknąłem aprobująco i zająłem się swoją porcją boumarlache.

Skończyliśmy jednocześnie - on kąpiel, ja i Claude spacer z Tebą. Cała czwórka przeniosła się do mojego domu. Włączyłem cicho radio, czekałem aż Nick przyniesie dzbanek z kawą i chrząknąłem zachęcająco.

- Nazywa się Hadgood Wesley Barnes. Pięćdziesiąt trzy lata, wdowiec, czwórka dzieci. Wykłada biochemię w Unitechical Academy. Otarł się osiem lat temu o Nobla i zaproponowano mu pobyt w Kraterze Zgubionego Czasu. Najpierw się zgodził, zażył sławy, zaczął związać swoje interesy, a potem nagle zrezygnował. Motywował to pewnym widzeniem i wynikającym z niego przekonaniem, że takie postępowanie jest niezgodne z zasadami wiary Kościoła reformatów, do którego należy. To oficjalna wykładnia. Chodziłem za nim pół dnia - Nick dopiero teraz przypomniał sobie o przyklejonym krótkim wąsiku. Musiał być na niezłym kleju, skoro wytrzymał kąpiel. Nick prawie naderwał sobie górną wargę, zanim odczepił sztuczny zarost. Zamilkł na czas tej operacji i jeszcze chwilę ruszał we wszystkie strony ustami. W końcu zapalił. - Nie zauważyłem, żeby ktoś go w jakikolwiek sposób pilnował czy obserwował. Zachowywał się normalnie. Wykład. Dwie godziny konsultacji, lunch z jakąś studentką, sądzę, że przechodzi z nią skrócony kurs biologii morza, wiecie, walenie i inne ssaki. Złapałem go na golfowisku. Zaszedłem od tyłu i nie przedstawiając się zapytałem: „Co nowego, panie Barnes?” Postarałem się pokazać mu kawałek kabury, co to niby wymyślił mi się spod marynarki. Potwornie się wystraszył, koniec kija zatrzęsł mu się w ręce tak, że mógłby nim zrobić pierwszorzędny koktajl w stulitrowej beczce. Latało w nim wszystko: powieki, wargi, język, cała głowa, śledziona, przepo...

- Mniej anatomii - syknął Claude.

- Wszystko! - powtórzył niespieszony Nick. - Sam się wystraszyłem. Stałem i obserwowałem go. Pozbierał się nadszpedzowanie szybko. Złapał mocniej kij i zapytał: „Kim pan jest? Czego chcecie?”. „Skąd pan wie, że jest nas więcej?” zapytałem podstępnie, ale już był opanowany. „Gówno rzadko występuje pojedynczo” powiedział wyraźnie. Sprawiał wrażenie faceta, który zaczyna mieć dosyć. Tak przynajmniej go oceniłem i postanowiłem dostosować się do jego oczekiwań. „Już się pan nie boi” stwierdziłem filmowo, z żalem pokiwałem głową. „Właśnie” powiedział, choć chyba nie zabrzmiało to tak twardo jak chciał. „A czego pan się bał wcześniej?” Tym razem omal nie rzucił się na mnie z kijem w rękę. Nagłe napięcie mięśni majtnęło nim w moim kierunku, ale zaraz wyhamował. Stałem lekko uśmiechnięty, z jedną ręką w kieszeni, zupełnie jak w filmie. „Kim pan jest?” zapytał po raz drugi Barnes. „Pan wie i ja wiem, po co te pytania?” stwierdziłem ze wzruszeniem ramion i zadałem pytanie, które popsuło wszystko: „Dlaczego zalega pan z zapłatą?” Oczekiwałem, że powie coś o kłopotach albo oburzy się, że niby przekazał w terminie. Ale on zmarszczył brwi i chwilę przyglądał mi się bardzo uważnie, fotografował mnie swoimi dwoma obiektywami. Skubnąłem wąsik i powiedziałem z żalem: „Szkoda, panie Barnes. Wielka szkoda, że się nie mogliśmy dogadać. To się zemści. Bez wątplenia”. Odwróciłem się i poszedłem w kierunku kępy krzewów. Po kilku krokach obejrzałem się. Stał w tym samym miejscu. Miał dziwny wyraz twarzy, jakby walczył ze sobą. Sądzę, że on się czegoś boi, ktoś go czymś postraszył, ale nie chodzi tam o forszę, stąd jego rozterka. To tyle.

- Szkoda, że nie pojechaliście tam z Claudem - powiedziałem z westchnieniem. - Jeden pogadałby na temat rezygnacji z wiecznego życia, a ty byś zagrał tę swoją rolę. A tak to...

- Ale... Czekaj! - Nick poderwał się z oburzeniem. - Czy nie uważasz, że może przypadkiem, ale wyciągnąłem co nieco z niego?

- Owszem wyciągnąłeś bardzo dużo - uspokoiłem go. - Dobrze. Jego odmowa nie musi być tak ważna, może rzeczywiście postanowił w odpowiednim czasie przenieść się regulaminowo do krainy wiecznych

łowów. Ale ten jego strach wynika zapewne z czegoś innego. Jak by nie było, chyba musimy zostawić go, przynajmniej na jakiś czas, w spokoju. Nie chciałbym, żeby z powodu naszej działalności... - zawiesiłem zdanie.

- To co robimy? - zapytał niewyraźnie Claude. Przypalany właśnie papieros przeszkadzał mu mówić.

Sięgnąłem po gazetę i rzuciłem ją na blat stołu. Złapali jednocześnie i przez chwilę żaden nie chciał ustąpić drugiemu, potem Claude szarpnął mocniej. Rzucił okiem na pierwszą stronę i uniósł brew.

- Chyba nie chodzi ci o powrót z orbity Merkurego? Co ma do nich detektyw? W ciągu ostatnich kilku lat mogli co najwyżej oszukiwać siebie w pokera.

- Niżej - rzuciłem wzgardliwie. - Party u Goldleafa - rozparłem się wygodnie w fotelu. - Dwa tysiące gości, cztery tysiące befsztyków. Nie mogę zmarnować takiej szansy.

- I dwustu tajniaków, nie licząc glin dookoła obejścia - uzupełnił Claude.

- Tam musi być ze dwie tony wysokooktanowego paliwa - Nick wycelował palcem w sufit, jakby mu chodziło o raj. - Nic nie powstrzyma Owena od wzięcia udziału w takim chlaniu.

- Dowcipiec! - szczeknąłem. - Poczekacie tu na mnie. Za dwa dni wrócę. Może coś wyniucham.

- Dwudniowy kacyk?

Pokazałem gestem, co mogę mu zrobić.

- A nie można by inaczej? - rzucił agresywnie Nick.

- Jak?

- Sądzę, że lepiej poszukać tej Bonnie, pogadać z jej klawiperkusistą, skoczyć do Kanady, przyduścić Barnes'a - wyliczył i zerknął na Claude'a. - Coś jeszcze?

Tamten zaprzeczył ruchem głowy. Obaj patrzyli na mnie i wiedziałem, że nie ustąpią. Zresztą mieli rację. Czekać nie robili niczego pożytecznego, prócz wystawiania się na ruch przeciwników.

- Dobrze - kiwnąłem głową. - Ty...- wskazałem palcem Nicka - ...zajmiesz się Bonnie we Flagstaff, tylko nie ruszaj nikogo z TEC. A ty

skoczysz do Ontario. Spróbuj wśród dziennikarzy i sprawdź czy nie było tam w tym czasie Bogga albo Barnes, albo w ogóle kogoś zamieszanego w tę zabawę z czasem. Może sam Hoertl? Może być?

Obaj spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się. Teba poderwała się i podeszła do nas, jakby i ona poczuła, że weźmie udział w prawdziwej, męskiej robocie. Trzech panów w pracy, nie licząc psa. Akurat obsada jednego pokoju w domu wariatów.



Rozdział piętnasty

Nowy Jork to najgłupsze miasto świata. Wynika to oczywiście z głupoty mieszkańców. Podzielili miasto na dzielnice, pozamykali samych siebie w małych rezerwatach czy gettach: dzielnica jazzmanów, dzielnica pedałów, dzielnica dokerów, bankierów, czarnych, białych, żółtych, czerwonych. I teraz człowiek w zależności od tego, w jakim miejscu się znajduje, staje się maksem albo nauczycielem. Wystarczy wsiąść do taksówki i podać adres, by kierowca z uszanowaniem uniósł czapkę albo zablokował ekran między przedziałami w obawie przed karesami. Mój taksiarz poprawił czapkę, co miało wyrażać pozytywny stosunek do adresu. Było nieco przed dziesiątą i miasto dzięki temu wyglądało zupełnie znośnie, w każdym razie neonery i światła samochodów, ostrzeliwujące ze wszystkich stron taksówkę, nie pozwalały przyjrzeć się dokładnie fasadom budynków. Posuwaliśmy się w tempie zramolałego piechura, ale tylko przez pierwszą godzinę. Potem utknęliśmy w korku. Nie śpieszyłem się, szczególnie że nie miałem żadnego planu co do przeniknięcia na party Goldleafa, nie chciałem też narażać swojego wizytowego garnituru na działanie nowojorskiej atmosfery. Wyregulowałem repereser, choć kierowca coś burknął, widząc moje manipulacje i wygodnie rozparłem się na siedzeniu. Po kwadransie kierowca włączył odbiornik.

- ...dzą, że za sześć minut zaczynamy wysyłanie życzeń do Briana Parslowa! - usłyszałem podniecony głos spikera. - Pamiętajcie: jest to pierwsza taka przesyłka z Ziemi w przestrzeń kosmiczną. Postarajcie się dokładnie zsynchronizować swoje sygnały świetlne z naszymi

akustycznymi. Niech dzielny syn naszego narodu wie, że pamiętamy o nim!

Ściszyłem odbiornik i przełączyłem się na kierowcę.

- O co mu chodzi? - zapytałem. - O jakie sygnały? Co to za życzenia?

Odwrócił się i spojrział na mnie ciężko. Prócz ołowiu miał w spojrzeniu tyle pogardy, że utonąłby w niej każdy mniej gruboskórny człowiek.

- Wraca nasza wyprawa na Merkurego - wycedził. Otworzyłem usta i palnąłem się dłonią w czoło. Spojrzenie kierowcy zmiękło, widocznie uderzyłem się wystarczająco mocno. - Dowódca, Brian Parslow, nia dzisiaj urodziny. To nasz chłopak, z Nowego Jorku! Więc za chwilę prześlemy mu życzenia - wyłączył się i szybko przestroił na miasto.

Nie zrobiłem tego, bo i tak dookoła, z każdego samochodu, z każdego okna, sklepu, baru buchał ten sam entuzjastycznie nastrojony głos. Przypominał jeszcze raz o synchronizacji, zalecał stosowanie specjalnych wyłączników umożliwiających mruganie całą domową instalacją. Głos się łamał, piał, skowyczał i nie schodził z anteny. A potem głos kastrata zaczął odliczanie. Usłyszałem, że cała ulica ryczy wraz z nim. A potem buchnął cienki, wibrujący dźwięk i mój kierowca, wszyscy kierowcy, wszyscy nowojorczyki zaczęli jak roboty naciskać przełączniki swoich świateł.

...tiii-ti-tiii-ti... ti-ti-ti-ti... ti-tiii... tiii-ti... tiii-ti-tiii-tiii...

Odruchowo czytałem przesłanie do kochanego chłopca, Briana Parslowa. Ulica strzelała światłem we wszystkie strony, któryś z kierowców dodatkowo nacisnął klakson, spodobało się wszystkim, po kilku sekundach niesamowity, trzeba przyznać niesłychanie zdyscyplinowany, ryk tysięcy klaksonów buchnął w niebo. Na miejscu Pana Boga uznałbym, że nadszedł najwyższy czas, by zetrzeć z powierzchni i tak nieudanego globu czyrak Nowego Jorku. Stwórca miał widocznie jednak inne zdanie. Mój kierowca precyzyjnie trzaskał przełącznikiem świateł, dusił klakson i nawet deptał hamulec. Usłyszałem, że ryczy na całe gardło coś jak pieśń bojową, tylko nie znał tekstu, więc po prostu wył coś jak wszyscy. Największy dom wariatów

świata. Trwało to kilka minut. Potem jazgot sygnałów ucichł i nastąpiła taka cisza, że nawet ja nie wytrzymałem i wyłączyłem znowu miejską falę. Kilka sekund nic się nie działo, a potem usłyszałem głos Briana, dowódcy merkurjańskiej wyprawy:

- Ludzie! Nie widzieliście nigdy czegoś takiego! - załkał. - W życiu nie byłem tak wzruszony. Nie myślcie, że płaczę bo miałem trudności z przypomnieniem sobie alfabetu Morse'a. Kocham was, wy cholerni pozeracze prądu! - ryknął z orbity.

Dopiero wtedy zrozumiałem, do czego są zdolni podnieceni nowojorczyki z domów runęły na ulice setki, a potem tysiące przedmiotów zaczęło się chyba od jakiegoś kieliszka, logiczne więc, że poleciały zaraz potem butelki, no i zaczęło się piekło. Przeżyłem raz coś takiego w Rzymie, kiedy kilka sekund po dwunastej w Nowy Rok pieprznęci Włosi pozbywali się ze swoich mieszkań wszystkiego, co im wydało się niepotrzebne. Teraz działo się to samo: poleciały z okien tanie odbiorniki, jakieś drobne meble, zabawki. Widziałem nawet szybujący w dół włączony odbiornik telewizyjny. Efektownie wylądował na dachu forda. Kierowca przezornie nie wychylał głowy z wozu. Kilka razy coś grzmotnęło w nasz dach, ale tylko ja się tym wszystkim przejmowałem. Kierowca bezładnie mrugał światłami, rycząc coś z pianą na ustach. Na wszelki wypadek odblokowałem obie pary drzwi i usiadłem na środku kanapy. Czekałem tak chyba z dziesięć minut. Potem tym durniom skończyły się meble. Powoli uspokoili się kierowcy, włączyły się wystawy i światła w oknach. Niby wszystko w normie, tylko błyszcząca od odłamków jezdnia i tłumy wrzeszczących jeszcze w ekstazie nowojorczyków przypominają szłał sprzed kilku minut. Był to chyba pierwszy w historii ludzkości orgazm osiągnięty za pomocą alfabetu Morse'a. Ale jak znam to miasto - nie ostatni. Kiedy płaciłem kierowcy wciąż jeszcze podrygującemu na swoim siedzeniu, nie wytrzymałem i powiedziałem:

- Przecież Rosjanie już tam byli.

Nazwał mnie penisem, tylko nie tak wyszukanie. Czub. Wysiadłem i poprawiłem płaszcz i kapelusz. Czekaj mnie dwumilowy spacer, nie

spieszyłem się więc i tak musiałem czyhać na jakiś sprzyjający przypadek, by dostać się na teren Second Paradis, gdzie odbywało się party. Szedłem wolno, czujny. Musiało się coś wydarzyć i wydarzyło. Jakiś dwumiejscowy xapis chwiejnie wyturlał się zza zakrętu alei i wyhamował, objając się kilkakrotnie o krawężnik. Podszedłem bliżej. Kierowca haftował przez otwarte okno. Obszedłem wóz i wsiadłem z drugiej strony. Póki wisiał na zewnątrz, sięgnąłem do skrytki i szybko przeczytałem co nieco na temat właściciela wozu. Odczekałem aż zaczął spluwać i wzdychać i trąciłem go w ramię.

- Lepie ci? - zabełkotałem. - Lepi, nie?

Odwrocił głowę i usiłował zobaczyć mnie, jednak oczy plątały mu się.

- Noo... - czknął. Struga powietrza z jego ust nie przypominała befsztyków, lecz bogato zaopatrzony bar. - A ty... - pokręcił głową, próbując sformułować pytanie.

- Niece.! Ty poprowadzisz - pomachałem dłonią. - Ja jestem napity tak, że mi się włosy oblużowały. Wracamy - wskazałem kciukiem kierunek, z którego przyjechał.

- Wrr...acamy! - zdziwił się. - Przesz ja wyjechałem...

- Wyjechaliśmy na chwilę - przerwałem. - I teraz wracamy, dziewczyny czekają, nie?

- Dziew...- majtnęła mu się głowa, ale szarpnął nią i unióśł jak ranny koń. - No to w...acamy.

Gdy ruszył, wczepiłem się rękami w co tylko mogłem, ale był chyba za słaby, żeby mocno nacisnąć pedał przyspiesznika. Dyskretnie korygowałem skomplikowaną trajektorię wozu, szczególnie gdy podjechaliśmy do szlabanu i jeden z prywatnych ochroniarzy unióśł dłoń. Złapałem nawet za gałkę hamulca awaryjnego, ale nie doceniłem Pata. Wyhamował elegancko, wychylił głowę i już dużo mniej szarmancko powitał platfusa.

- Ależ panie Weisberg - tamten wysłuchał spokojnie wiązanki. Dużo lepiej wychowany niż mój kompan no i nie bez znaczenia był fakt, że to tacy jak Weisberg dawali pracę platfusom, a nie odwrotnie. - Przecież pan przed chwilą wyjechał z przyjęcia?

- To coo? - Pat poderwał głowę i uderzył nią w ramę okna. Zaklął niewyraźnie. Zrozumiałem tylko intonację. - Jadę bo mi ssie chce... Yhi-
ip!

- A pan? - ochroniarz odchylił głowę, by widzieć i mnie.

Usiłowałem poprawić krawat, ale ręce omsknęły mi się i dłuższą chwilę wyplątywałem palce prawej dłoni z kieszonki. Utrzymałem chwilę głowę w pionie. Trąciłem Pata w ramię, bo zaczął zasypiać oparty policzkiem o ramę okna.

- Wrac-ssamy! - ryknął i rzucił wóz do przodu.

Majtnąłem całym ciałem do tyłu i w bok. Drugi platfus błyskawicznie uruchomił szlaban i przelecieliśmy pod nim co najmniej sześćdziesiątką. Jechaliśmy jeszcze chwilę w gęstym szpalerze drzew i wysokich krzewów maskujących z rzadka rozsiane posiadłości. Było tu dużo miejsca, dbano o przestrzeń. Architekci i właściciele starali się nie powtarzać błędu z Long Island. Delikatnie przesunąłem gruszkę hamulca, tak żeby nie zabić się jeszcze przed pierwszym drinkiem. Pat nie zauważył, że wóz zwolnił, niespecjalnie zwracał uwagę na konfigurację terenu. W końcu pozwoliłem mu tylko trzymać nogę na akceleratorze, przejmując resztę. Gdy zobaczyłem jasno oświetloną, ogromną, kutą bramę z czterema mundurowymi i dwoma cywilami, kuksańcem przywróciłem Pata do życia. Wygrzebaliśmy się z wozu i wspierając wzajemnie, potoczyliśmy do bramy. Odepchnąłem jednego z mundurowych i tak posterowałem Patem, że trącił drugiego. To wystarczyło - mój kompan sypnął obietnicami, a mundurki z niezbyt tajoną nienawiścią na twarzach odsunęły się. Weszliśmy w alejkę. Weisberg niespodziewanie odzyskał formę i jasność myślenia.

- Idziemy do... - splunął niezbyt celnie, chyba że chodziło mu o własną brodę. - ...car-retki.

Rozejrzałem się i zauważyłem małą przystań dla kilku elektrycznych caretek. Wpakowałem Weisberga i usiadłem za kierownicą. Za pierwszym zakrętem przestałem kiwać się, dla gości mogłem być jednym z ochroniarzy, dla platfusów - gościem. Trzeźwym.

Powierzchnia posiadłości była równa chyba powierzchni Kopenhagi.

Jechaliśmy ponad pięć minut, zanim usłyszałem dźwięki muzyki i jeszcze z pięć następnych, zanim dotarliśmy do pałacu szefa TEC. Trzeba by kilku architektów ze skłonnościami do reportażu, żeby opisać rezydencję jednego z finansowych gigantów współczesności. Obejrawszy ją, Cheops wziąłby na tortury projektantów i wykonawców swojej piramidy. Wyhamowałem i przyjrzałem się kilkuset osobom pętającym się bez celu po kilkudziesięciu tarasach, schodach i trawnikach przed obejściem. Większość była trzeźwa, w każdym razie trzeźwiejsza niż Pat Weisberg. Wjechałem pomiędzy krzewy i ułożyłem wygodnie Pata na obu siedzeniach. Usiłował podnieść się, ale przytrzymałem go tak długo, aż zaaprobował tę pozycję. Przy okazji zauważyłem wystający z jego kieszeni rożek zaproszenia na eleganckim papierze ze srebrną winietą, bez wątpienia kryjącą jakiś kod, którego podrobienie przekracza możliwości przeciętnego detektywa siedzącego w krzakach. Na wszelki wypadek wziąłem kartonik, choć byłem świadom, że Pat Weisberg był tu postacią bardziej znaną niż ja. Poprawiłem krawat i chusteczkę, wytarłem czubki butów o spodnie i wyszedłem z krzaków. Po killkunastu krokach i kilku zwrotach byłem jeśli nie w środku to w każdym razie już nie na zewnątrz tłumu gości. Jeszcze kilka manewrów przyniosło mi łup w postaci tacki z rosyjskimi kanapkami i dwóch szklaneczek z manhattanem. Usiadłem na marmurowej balustradzie tarasu i upiłem z jednej szklanki. Odsunąłem ją nieco dalej i wypiłem połowę drugiej, po czym zabrałem się do kanapek. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że siedzę tu i czekam na kogoś, kto popijał ze mną i odszedł na chwilę. Miałem teraz czas na przemyślenie następnych ruchów, szczególnie że nie bardzo wiedziałem, czego oczekuję od pobytu u Goldleafa. Nie miałem o czym z nim rozmawiać, nie miałem czym mu zagrozić, nie miałem do niego pytań. Na razie mogłem go tylko obejść i opić. Nie śpieszyłem się jednak i z tym. Przyjrzałem się ludziom. Po chwili zorientowałem się, że sterczenie tu jest pomysłem chybionym - pętali się tu i owszem bogacze, nikt prócz mnie nie dostał się przypadkiem, ale nie była to elita, co czuło się wyraźnie. Wprawdzie na ich obliczach nie malowała się troska, ale nie byli szczerze swobodni.

Zdaje się, że czuli się tu tylko umiarkowanie dobrze. Musiałem stąd zniknąć, jeśli nie chciałem, by zawodowi ochroniarze nie skojarzyli mnie z tym plebsem, bo miałbym kłopoty z dotarciem tam, gdzie bawiły się prawdziwe szyszki. Ruszyłem na mały spacer. Ukłoniłem się uprzejmie paru osobom, rzuciłem kilka słów, mijając dwie grupki popijających facetów. Nikt nie zdziwił się, nie ofuknął mnie, rozmowy miały luźny charakter.- Wcisnąłem się w szeregi grupki otaczającej perorującego starszego faceta z łysiną.

- ...tak więc mamy w tej chwili jaką sytuację? - powiódł spojrzeniem po słuchaczach, ale nikt nie spieszył się z odpowiedzią. - Zostało nas, białych Amerykanów parę milionów! - ostatnie dwa słowa wyskandował, dramatycznie ścisząc głos. Większość obecnych wydawała się poruszona słowami dziadzia. - Fatalny pomysł naszych przodków, mówię o czarnych niewolnikach... - wyjaśnił - ...oraz nierozsądna polityka w stosunku do Indian, Meksów i temu podobnych doprowadziła do skandalicznego wymieszania białej rasy - gdy kończył zdanie, w jego głosie wyraźnie czuło się obrzydzenie.

- Ale niewolnicy byli wręcz niezbędni na starcie - ośmielił się wtrącić jakiś okularnik.

Dyskretnie obserwowałem zgrupowane tu towarzystwo. Część szczerze i z aplauzem chłoneła głupoty łysiego. Inna część, mniejsza, też jakby radośnie słuchała go, ale było to raczej radosne oczekiwanie na koniec mowy.

- Zgoda - neorasista oparł się otwartymi dłońmi o taflę powietrza przed sobą. - Ale można było nieco inaczej rozwiązać problem przyrostu. Bezpłodny niewolnik pracuje tak samo dobrze jak płodny, nieprawdaż? - Chyba tylko ja nie zdążyłem potakująco głową. - Indianie mieli rezerwy, owszem, ale zabrakło zdecydowania, bo dlaczego wolno było im z nich wychodzić? Płodzić dzieci z białymi? A teraz co? Rezerwy dla białych? - wykrzyknął z goryczą. Cichy jęk przetoczył się przez tłumek. - Dochodzimy do absurdu, tak... O! Opowiem dowcip - zakręcił się wokół własnej osi jak zawodowy pedał z baletu. - Jones po śmierci trafia do raju. Wita go święty Piotr i pyta:

„Chcesz do rajy dla białych Amerykanów czy po prostu Amerykanów?” „Oczywiście, że do białych!” odpowiada Jones zdecydowanie. „No to idź tam, na prawo” wskazuje Piotr ręką, a gdy Jones kieruje się w tamtą stronę rzuca za nim: „Ale na obiady przychodź tutaj. Nie opłaca się nam gotować dla jednej osoby!” - Nikt się nie zaśmiał. - No? Czy to nie jest sygnałem, że musimy zjednoczyć szeregi...

Wycofałem się dyskretnie. Znałem ten dowcip przed przeróbką i był wtedy dużo lepszy. Użyłem jednemu z kelnerów męczących się z tacą pełną szklanek i kieliszków. Podobało mi się, że nie muszę pilnować swojej szklanki i czekać aż gospodarzowi zechce się nalać gościom. Przypomniałem sobie - tak a propos charakteru gospodarza - historię słynnego pianisty, który odmówił Goldleafowi występu na prywatnym party. Tuż przed koncertem w New Madison Square Garden chłopcy Mósereda zamienili fortepian. Jascha Closowitz zasiadł do instrumentu w prawie zupełnej ciemności i niedbałym skinieniem głowy przywitał publiczność. Skiksował już w pierwszym akordzie, grał i fałszował coraz bardziej, aż wypadł za kulisy poganiany gwizdami i śmiechem. Prawie dwa lata leczył się u najlepszych psychoanalityków, mimo że wyjaśniono mu, w jaki sposób doszło do tej katastrofy. Goldleaf zapłacił gigantyczne pieniądze za specjalny fortepian z węższymi klawiszami, w rezultacie czego palce Jaschy trafiały nie tam, gdzie powinny. Pomyślałem, że łatwo jest być dowcipnym, gdy się jest posiadaczem kilkunastopozycyjnego konta.

Podparłem plecami dwumetrową wazę zakończoną bukietem kwiatów i wolno rozejrzałem się dookoła. Zauważyłem dwóch mężczyzn rozmawiających z głowami prawie przytulonymi do siebie. Wreszcie zobaczyłem kogoś naprawdę ważnego, bo wszyscy, prawie wszyscy, z szacunkiem usuwali im się z drogi, a oni nie zwracali uwagi na nikogo. Ich zachowanie było tak naturalne, że nie miałem wątpliwości co do ich pozycji. Trąciłem łokciem najbliższej stojącego.

- Nawet tu nie odpoczywają, nie? - wskazałem ruchem brody parę szacownych gości.

- Schanon miałby stracić okazję do interesów? - zdziwił się.

- No, chyba by umarł - parsknąłem.

Podszedłem bliżej wejścia do domu, gdzie na pozór nie było nikogo, ale już wcześniej zauważyłem, że gdy usiłował wejść tam jakiś szarak wart najwyżej kilka milionów, spod posadzki wypłynął platfus i uprzejmie zaprosił do konsumpcji świeżego drinka. Schanon i jego towarzysz - nadal nie wiedziałem, który jest który - weszli bez przeszkód. Odczekałem chwilę, aż zniknęli na schodach i szybko podążyłem za nimi. Gdy zza filara bezszelestnie wysunął się fagas, otworzyłem usta i palcem wskazałem schody, skrzywiłem się i zakręciłem w miejscu. Wyszarpnąłem z kieszeni chusteczkę i przycisnąłem do oka. Gdy fagas zdezorientowany moim płasem podszedł bliżej, zapytałem:

- Schanon tu wchodził? Ch-cholera... - zakląłem do siebie.

- Tak - odruchowo odpowiedział platfus i zaczerpnął powietrza.

- Dobra. Dziękuję - rzuciłem i klnąc pod nosem i wycierając prawdziwe łzy, minąłem go, kierując się do schodów.

Po kilku stopniach zatrzymałem się, odjąłem chusteczkę, sprawdzając czy paproch wypadł z oka i pokręciłem głową, że niby nie. Okaleczony wszedłem w zakręt na półpiętrze i dopiero tam odjąłem chusteczkę od oka, choć jeszcze nie wypuszczałem jej z ręki. Poruszałem się bezszmerowo. Nie było to żadną sztuką - musiałbym mieć stopy ze stali i ważyć tonę, żeby na robionym na zamówienie, puchatym jak śnieżna zaspą dywanie wywołać jakiś efekt akustyczny. Szedłem korytarzem, nasłuchując i starając się zrobić wrażenie zorientowanego w sytuacji. Panowała zupełna cisza. Spodziewałem się większego ruchu. Tylko w tłumie mogłem udawać kogoś ważnego. Jeśli Goldleaf zaprosił tu tylko kilka osób, to mogłem spacerować po tym czarodziejskim dywanie tylko do pierwszego spotkania z kimkolwiek. Jedne drzwi były uchylone - mignął zielony stół. Nie zastanawiając się, zanurkowałem do bilardziarni. Pusto, ale tu wyglądałem - tak mi się wydawało - znacznie lepiej niż na korytarzu. Zawsze mogłem powiedzieć, że czekam na partnera. Zdjąłem marynarkę i rzuciłem na fotel. Szybko zwiedziłem bar, do obsługi którego nie od rzeczy byłby fotel na kółkach. Po natarciu kija strzeliłem w piramidę. Początkowo chciałem tylko

pozorować grę, czekając na kogoś albo na coś - na sprzyjający zbieg okoliczności. Musiałem być cierpliwy. Uderzyłem kilka razy kijem w bile. Potem spróbowałem karambol. Sukces uczciłem łykiem i wróciłem do stołu. Grałem tak kilka minut, chodząc wokół stołu, ale moje uszy cały czas były wycelowane w drzwi i korytarz. Spróbowałem kolejnych dwóch uderzeń. Jedno nazywało się wielki kanion, drugie - wybuch na Słońcu. Oba okazały się udane. Nagrodziłem sam siebie oklaskami i wtedy ktoś dołączył do małej owacji. Odwróciłem się. Dea Goldleaf, de domo Cavi Lat trzydzieści jeden. Dwie córki, których urodzenie zupełnie nie odbiło się na figurze mamy. Prawie tak wysoka jak ja. Niewątpliwa Mulatka. Pewnie nie wychodziła z domu w obawie przed tym neorasem z trawnika... Miała nieduży, ale rzekłbym hardy biust, niebieskie oczy. Włosy mierzące podobno metr sześćdziesiąt miała upięte w ciasny węzeł. Skończona piękność. Ukłoniłem się.

- Nie jest pan chyba zawodowcem? - zapytała wchodząc.

- Chciałem być. Kiedyś - powiedziałem i odłożyłem kij. Sięgnąłem po marynarkę.

- Nie... bardzo proszę - podeszła bliżej, ale nie za blisko. - Dość mam mężczyzn opiętych garniturami jak parówki skórka. Poza tym pan ma dość szczególną figurę. Nie jest idealna, przydałyby się spore zmiany, ale tak - jest lepiej.

- Jest jak dziki ogród - powiedziałem z teatralną emfazą.

Wybuchnęła śmiechem i już wiedziałem, że mnie kupiła. Gdyby chciała zostać prezydentem, wystarczyłoby, aby tylko chwilę tak się śmiała z mównicy, a uzyskałaby wszystkie męskie głosy, no, może z wyjątkiem pedałów i głuchych. Gasząc śmiech, podeszła do barku i zmieszała sobie tekilę z dżinem i miarką pengaroo. Stałem nieruchomo, serce waliło mi tak, że nie zdołałbym wyliczyć tętna, a spazmu w gardle nie uwolniłby cały alkohol świata. Łyknęła swojej mikstury i zaakceptowała ją skinieniem głowy. Odwróciła się do mnie. Zainteresowało mnie nagle zapięcie jej długiej, karminowej sukni. Na pewno nie sposób było nałożyć ją bez rozpinania, a nie mogłem dostrzec żadnego zapięcia ani rozpięcia. Nagle stało się to dla mnie bardzo

ważne. Usiłowałem łyknąć ze swojej szklaneczki i nawet trafiłem do ust, więcej - nie zakrztusiłem się. Zrobiła dwa kroki w kierunku stołu.

- Proszę pokazać mi jeszcze raz to ostatnie uderzenie - powiedziała.

- Mogę narysować na kartce - uśmiechnąłem się, choć samo otwarcie ust kosztowało mnie tyle wysiłku, co wdrapanie się po linie na Statuę Wolności. - Drugi taki strzał długo mi się nie uda.

- Jak się czegoś chce... - zawiesiła głos i uniosła szklankę do ust Musnęła brzeg ustami.

Po raz pierwszy w życiu zapragnąłem być szklanką albo przynajmniej jej brzegiem. Odstawiłem naczynie, wziąłem do ręki kij, ustawiłem bile i przewentylowałem płuca. Niczego równie pięknego nie osiągnę już w życiu - strzał był wręcz mistrzowski i to mnie nieco otrzeźwiło. I nie wiadomo dlaczego niespodziewanie to otrzeźwienie mnie ucieszyło. Rzuciłem kij i ukloniłem się. Umoczyła usta w szklance i niedbale odstawiła ją na sukno stołu.

- Podobam ci się? - zapytała bez cienia zmieszania.

Popsuła wszystko. Co innego szaleństwo na stole bilardowym, a co innego używanie go jako pieńka do rąbania. Cały urok opadł z niej i sfrunął do moich stóp. Dla pewności zrobiłem mały kroczek i przydepnąłem go. Dea zrozumiała mój ruch opacznie. Wolno skrzyżowała ramiona i końce palców oparła na barkach.

- Chcesz zobaczyć mój pępek? - zadała drugie pytanie, jakbym udzielił odpowiedzi na pierwsze.

Przypomniałem sobie, co pisały o niej gazety - usunęła operacyjnie pępek, chcąc stać się drugą po Ewie kobietą bez tej skazy. Tysiące kobiet zwariowało z zazdrości - taki prosty zabieg, a jaki skutek! Co prawda dotychczas nie udało się nikomu zrobić jej zdjęcia z odkrytym brzuchem. To z kolei dało asumpt do rozważań, czy rzeczywiście zlikwidowała pępek. Prasa miała zabawę na pół roku. Kilka procesów, odszkodowania i grzywny. Zrobiłem krok do tyłu i nie patrząc, wymacałem swoją marynarkę. Dea wolno zdjęła ręce z ramion i nagle jej suknia magicznym sposobem uwolniła ciało i spłynęła na podłogę. Przypomniałem sobie, że ktoś w Kraterze Zgubionego Czasu wymyślił

elektromagnetyczne zapięcie. Kto zatem jak nie szefowa miała je zastosować w swojej sukience? Przestałem myśleć o zapięciach i TEC, i Kraterze Zgubionego Czasu. Stała przede mną nie kobieta, nie piękna istota - stało pożądanie. Amok. Zrobiła pół kroku w moim kierunku, a ja pośpieszyłem jej na spotkanie. Przytuliła się do mnie. Poczuję się jak w komorze wielkich przeciążeń. Ugięły się pode mną kolana i nagle zrozumiałem, że opadam na podłogę, że oczy mijają dwa cudowne wierzchołki jej piersi, a rękami muskam skórę brzucha, z którego mocą chirurga rzeczywiście zginął mały dołek. I wtedy Dea cofnęła się i cudownie zsynchronizowanym ruchem uderzyła mnie w twarz, po czym odsunęła się, nie próbując poprawki. Znakomity fachowiec - zarówno wartość techniczna programu, jak i wykonanie na najwyższym poziomie. Dziesięć szóstek. Poderwałem się z kolan.

- Spływaj stąd, kotku - syknęła.

- Już, myszko - wyszeptałem.

Twarz wykrzywiłem w uśmiechu. Wiedziałem, że nie tak powinienem zareagować i że może to mnie narazić na zemstę Dei, ale nie potrafiłem się opanować. Gdy wyobraziłem sobie obrazek sprzed minuty - mnie klęczącego przed Deą Goldleaf z wytrzeszczonymi oczami i pięcioma litrami krwi w głowie, parsknąłem śmiechem.

- Przepraszam panią - powiedziałem, nakładając marynarkę. - Śmieję się z siebie. Naprawdę. Znakomita zabawa.

- Wiem - rzuciła poważnie.

Ze zdziwieniem rozumiałem, że ta scenka nie sprawiła jej tyle radości co mnie. Schyliła się i dwoma ruchami naciągnęła suknię, musnęła palcem mały diamentik nad prawą piersią i była już gotowa do wyjścia. Ja właściwie też. Ale wyszła tylko ona. Sięgnąłem do szklanki i wypłem resztę. Dea mogła zawołać kogoś z obsługi, ale nie musiała. Sądząc z jej miny i tego, co wyczytałem w oczach, zapomniała już o mnie. Przypomniałem sobie, że oprócz obejrzenia miejsca po jej pępku miałem tu jeszcze trochę roboty. - Podszedłem do barku. Usłyszałem jakieś głosy na korytarzu. Rzuciłem się na fotel w rogu pokoju. Nogi wyciągnęłem daleko przed siebie, przymknąłem oczy i zamarłem ze szklanką w dłoni.

Wyteżyłem słuch.

- ...mam pojęcia. To nie jest proste - mówił mężczyzna. Miał zmęczony, suchy głos pozbawiony uczucia. Przekazywał informację jak robot.

- To zrób, żeby było proste - syknął drugi. - Nie będę cię przekonywał. Nitla czeka. Zrób to szybko.

- Dobrze - zgodził się pierwszy.

Minęli drzwi i oddalili się już bez słów. Ten drugi musiał być Moseredem Goldleafem. Biła z niego władza. Nie mówił wyraźnie, raczej syczał. Przypomniałem sobie, że znam ten głos, pewnie z nieskończonej liczby wideowywiadów. Głos był niesympatyczny. Może stąd u Dei ten cień w oczach, może dlatego próbowała się rozerwać. I może dlatego nic z tego nie wychodziło. Dopilem drinka i wyszedłem na korytarz. Przystanąłem tuż za progiem, rozglądając się ze znudzoną miną. Tym razem od razu dostrzegłem obiektyw kamery zamaskowany w girlandzie kwiecica i liści na ścianie tuż pod sufitem. Wszystko wskazywało na to, że Goldleaf opuścił budynek lub przeniósł się do innych pomieszczeń i że nie uda mi się pętać po pokojach i myszkować do woli. Uznałem, że rozsądniej będzie wycofać się z tego terenu, zanim mnie zidentyfikują i wyrzucą stąd. Kilkoma standardowymi ruchami poprawiłem ubranie i niedbale, ze zblazowaną miną pokonałem korytarz i zszedłem ze schodów. Nikt mnie nie zatrzymywał, gdy wychodziłem z pałacu. To ja zaraz za drzwiami zatrzymałem kelnera i zabrałem mu dwa kieliszki z bourbonem, choć wyglądało, że niesie je dla kogoś ważniejszego. Zastanawiałem się przez moment, czy napoje i kanapki zza żelaznej kurtyny nie są przypadkiem moim największym łupem i gdy myślałem o tym, coś delikatnie trąciło mnie w ramię. Odwróciłem się przygotowany na indagacje ochroniarzy i omal nie wyłamane sobie żuchwy.

- Też byłam zdziwiona, widząc pana tutaj - powiedziała Ariadna Wood.

Była dużo sympatyczniejsza w roli uczestnika party niż chlebobdawcy. Suknia - podobnie jak Dei - na elektromagnesach, co od razu

zauważyłem, w pewnych miejscach mocno opinała jej ciało, a w innych zwisała luźno. Trzeba przyznać, że Ariadna znała swoje ciało i z wiedzy tej korzystała. Trzymała w ręce wysoki, graniasty cylinder z „ogonem pawia” - prawie bezalkoholowym, kilkubarwnym żelem. Ukłoniłem się bez obowiązującego uśmiechu, ale nie byłem zadowolony, że ktokolwiek mnie rozpoznał. Inna sprawa, że nie podejrzewałem Wooda o szczególnie bliską znajomość z Goldleafem.

- Wyrzuciłem kiedyś przysługę... - kiwnąłem głową w stronę pałacu.

Kiwnęła głową.

- My też nie jesteśmy przyjaciółmi gospodarzy - wyznała nagle. - Rem poznał kiedyś Mosereda i nawet w czymś mu pomógł - nachyliła się do mnie i ściszyła głos. - Choć nie wiem, w czym Rem mógł mu pomóc - wzruszyła ramionami i wybuchnęła głośnym śmiechem. - Może... - zachichotała - ...może pomógł mu nieść walizki... Cha, cha! O Boże!

Ugięły się pod nią kolana i wykonała piękny półobrót ze zmianą wysokości. Zdażyłem złapać ją za łokieć i utrzymać na nogach. Oparła się o mnie, ale nie tak ciężko jakbym się spodziewał i nagle szepnęła:

- Jutro o dwunastej w barze domu towarowego „Higher than high”.
Błagam!

Po raz drugi musiałem siłą woli powstrzymać zuchwę od samowylamania. Odsunąłem się nieco od Ariadny i przyjrzałem się jej. Uśmiechała się szeroko. Była wstawiona, ale oczy dalekie były od uśmiechu. Podobnie jak Dea. Party kobiet o pustych oczach. Zobaczyła kogoś za moimi plecami, gdyż nagle odskoczyła ode mnie i schowała się za jakąś parą. Na wszelki wypadek ja też szybko poszukałem osłony. Dopiero zza olbrzymiej donicy zlustrowałem teren. Ariadna stała obok męża, który strofował ją. Domyśliłem się za co, bo nazbyt wyraźnie patrzył na jej kieliszek.

Dopiłem swoją whisky i poszukałem oczami kelnera. Musiało ich tu być prawie tylu gości, bo nie miałem kłopotu z zatankowaniem następnych dwu porcji. Usiadłem na ławce w cichym kącie i powoli sączyłem kolejną. Nie zdobyłem jeszcze żadnej istotnej informacji prócz tego, że Ariadna ma kłopoty, co nie bardzo mnie aktualnie obchodziło.

Jednak jakaś komórka w moim mózgu rozpychała się, usiłując zwrócić uwagę na zawartą, w niej myśl. Męczyłem się kilka minut, ale nie udało mi się jej pomóc w uzyskaniu pełnej kontroli nad mózgiem. Zapaliłem i przestałem walczyć z własnym umysłem. Usiadłem wygodnie i przez dwa prześwity w krzewach obserwowałem towarzystwo. Przy sprzyjającym zbiegu okoliczności, w krzakach obok mnie para spiskowców powinna teraz przeprowadzić zasadniczą rozmowę, która pchnęłaby sprawę na nowe tory. Istniało jednak podejrzenie, że albo przyszedłem za wcześnie, albo za późno, albo że sprzyjający zbieg okoliczności nie dostał zaproszenia na party do Goldleafów. Szuje. Siedziałem tak prawie godzinę. Tymczasem towarzystwo znacznie się przprzedziło i wzrosła szansa dekonspiracji. Odszukałem w zatoczce wśród roślinności carretkę z Patem i skierowałem się w stronę bramy. Po drodze zabrałem jeszcze sześć osób i kryjąc się wśród nich, opuściłem teren posiadłości Goldleafa. Odwiozłem Pata do domu i zostawiłem tam jego wózek. Wszedłem do pierwszego napotkanego hotelu. Z przyjemnością rzuciłem się w pościel. Starłem się jednak nie zasnąć - bohaterów książek i filmów w takiej sytuacji nachodzą genialne myśli. Jednak nie nadawałem się do filmu.



Rozdział szesnasty

Bar był pusty. O tej porze barmani zmieniają wilgotne serwety na suche; a maszyny do zmywania kręcą się na jałowym biegu. Zresztą klientela jednego z droższych sklepów w Nowym Jorku unika tego baru - pobyt w nim sugeruje, że jest się zmęczonym zakupami, a zakupy robią biedni. Bogaci wpadają po coś. Coś jest zazwyczaj lekkie i eleganckie, czyli na przykład portfel z małpiej skóry czy księżycowe kamyki do akwarium. Poza tym można w HTH kupić kilka modeli samochodów i jachtów, sweter z wełny droższej pięciokrotnie od srebra, również smoking, który nawet po kąpieli w błocie nadal wygląda jak nowy. Usiadłem na stołku przy barze i krótko opisałem barmanowi swój stan - niewyspany, lekko skacowany, pełen wątpliwości co do sensu życia i zniecierpliwiony. Chwilę stał, zastanawiając się z oczami wbitymi w sufit, potem oblizał wargi i uspokoił mnie gestem dłoni. Usiłowałem zapamiętać, co wlewa do ogromnej szklanki, ale po szóstym składniku zgubiłem się. Przyniósł mieszankę, trzymając naczynie ostrożnie jak wcześniaka i podał mi ze słowami:

- Proszę nie bełtać i wypić w czterech porcjach.

W takich sytuacjach nigdy nie gardzę dobrymi radami. Łyknąłem jedną czwartą. Zaszczypało ostro w język, a potem na kilka sekund zapiekła cała jama ustna i przełyk, i żołądek. Gdy z niepokojem pomyślałem o reszcie układu trawiennego, pieczenie ustało i nawet lekko odetchnąłem. Powietrze stało się aromatyczne, a oddychanie przyjemnością. Chrząknąłem z uznaniem, co barman przyjął ciepłym, wyrozumiałym uśmiechem.

- Czy... - odrobinę wychyliłem się w jego kierunku, akcentując konfidencyalny charakter rozmowy - ...można tu bez świadków porozmawiać z kobietą?

- W każdym z boksów - powiedział. - Włączę kurtynę świetlną.

- Czarodzieju... - westchnąłem i w tym momencie weszła Ariadna., - To samo lub podobne dla tej pani - zaordynowałem i podszedłem do niej ze swoją szklanką w ręce. - Proszę - wskazałem najbliższy boks. - Już zamówiłem.

Skinęła głową, nie demonstrując radości. Poszła pierwsza. Odczekałem sekundę i ruszyłem za nią. Miała krótką spódnicę, rzecz na pozór ryzykowną dla kobiety w jej wieku. Nogi pokrywały cieliste pończochy z indywidualnie dobranymi plamami, które maskowały usterki, a uwypuklały zalety kończyn. Przez myśl przeszło mi, że technika maskowania defektów figury i urody doszła do takiej perfekcji, że tak zwane taksowanie sprowadza się do wykrywania środków tuszujących. Przypuszczam, że dawniej spoglądanie na kobiety dostarczało mojej płci więcej przyjemności.

Ariadna usiadła i założyła nogę na nogę. Zająłem krzesło po przeciwnej stronie stołu i wyciągnąłem w jej kierunku papierosy. Podziękowała ruchem głowy i rozejrzała się po sali. Najwyraźniej uspokoiła ją pustka, a gdy barman przyniósł jej drinka, a chwilę potem pasmo światła odcięło nas od reszty baru, odprężyła się i umoczyła usta w szklance. Widocznie znała już ten koktajl, bo nie zareagowała w żaden sposób. Łyknąłem drugą ćwiartkę. Przeszło bez specjalnych efektów organoleptycznych, a mój stan uległ wyraźnej poprawie. Ariadna przeszła do rzeczy.

- Mam pytanie i proszę, by pan nie odpowiadał zbyt szybko, szczególnie jeśli odpowiedź będzie negatywna. Wiem, że to głupie... - Powinna była uśmiechnąć się przy tych słowach, ale nie uczyniła tego. Przełknęła ślinę i zadała to ważne pytanie: - Czy ma pan kopie tamtych zdjęć? - Odczekała chwilę i dodała: - To dla mnie ogromnie ważne.

Zgodnie z jej prośbą zająłem się drinkiem. Zaciągnąłem się dymem i puściłem serię zgrabnych kółek. Wytrzymała pół minuty.

- Spodziewałam się tego - powiedziała ponuro. - Dlatego się z panem nie kontaktowałam. Gdy wczoraj spotkaliśmy się na tym party, pomyślałam, że może... - Poczwała, że popęlnia nietakt i zamilkła.

- Pomogę pani - rozparłem się wygodnie w krzesle. - Myślała pani, że może mam kopie do ewentualnego wykorzystania kiedyś w przyszłości. Mały szantażyk... Za dużo się pani naoglądała tandetnych kryminałów. Prywatny detektyw jest stale pod lupą policji. Po drugie, nie jest to zawód, w którym można się szybko i bezpiecznie dorobić. Gros moich kolegów to uczciwi durnie z infantylnymi przekonaniem. Nie jestem ich przywódcą, ale lokuję siebie gdzieś w pierwszym szeregu kolumny. Interes, jaki pani mi proponuje nie wchodzi w grę. Naprawdę nie mam kopii, do niczego nie były mi potrzebne, a poza tym... - uśmiechnąłem się. - Pani również zachowała pewną naiwność, co mi się podoba, ale to przeszkadza w prowadzeniu interesów. Bo... - łyknąłem trzecią porcję drinka - ...zaczynam sądzić, że mąż wszedł w posiadanie kompletu zdjęć i pani straciła nad nim kontrolę, prawda?

Skinęła głową. Pierwszy raz wolno, potem jeszcze kilka razy szybciej.

- Gdybym nawet miał te zdjęcia i chciał je jakoś wykorzystać - kontynuowałem - to poszedłbym z nimi do pani męża. Ma trochę więcej pieniędzy. Stoi pani na przegranej pozycji. A naprawdę to nie mam kopii. Kiwnęła jeszcze kilka razy głową, patrząc w blat stołu. Cisza trwała i trwała, stając się nieznośna jak piąta minuta bez maski pod wodą. Nie miałem czasu dla Ariadny. Miałem na głowie zmagania ze znerwicowanymi mordercami, miałem sto czternaście powodów, żeby pożegnać się teraz i zapomnieć o Ariadnie Wood. Miałem też parszywą masochistyczną naturę, której jedna połowa okropnie lubi robić na złość drugiej.

- Co panią gnębi? - zapytałem.

- Nic - pokręciła głową. Unikając mojego spojrzenia, sięgnęła po szklankę i najpierw pociągnęła niczym koliber, a potem nagle przechyliła naczynie i wypła prawie połowę. Zobaczyłem błysk w jej oczach. - Nic - powtórzyła trochę innym tonem. - Tylko nie mam już tych zdjęć. Jednak przeżyłam bez nich tyle lat...

Uniosła oczy ku sufitowi i zamrugała. Zakląłem rozpaczliwie w duchu i zapytałem:

- Chce pani jeszcze raz śledzić męża?

- Słucham? - wydusiła przez ściśnięte spazmem gardło.

- Czy będzie pani jeszcze raz usiłowała dowieść mu niewierności?

- Nie. Nie zdążyłabym - dodała dość enigmatycznie i nagle szybko spojrzała na mnie, jakby wystraszyła się swoich słów. - Jak się panu podobało party? - minęła pierwszą bramkę w słownym slalomie.

- Nic specjalnego - zgasilem papierosa i nie zapaliłem nowego, choć miałem ochotę. Dokończyłem swój drink i w myśli posłałem barmanowi kosz kwiatów. - Gdybym nie spotkał Dei Goldleaf... - powiedziałem, żeby tylko cokolwiek powiedzieć.

- Biedna kobieta - usłyszałem nagle.

- Dlaczego pani tak mówi?

- Miała dwie córki. Teraz miałyby dwanaście i czternaście lat. Zginęły w wypadku lotniczym - wyjaśniła. - Leciwały na wakacje do rodziców. Wydaje mi się, że oboje nigdy sobie tego nie wybaczyli.

- Aha - powiedziałem.

Zapaliłem papierosa. Niespodziewanie Ariadna wskazała dłonią paczkę golden gate'ów.

- Może mnie pan poczęstować? - zapyłała.

Rzuciłem się do częstowania i przypalania jak uszczęśliwiony spojrzeniem pierwszej bogdanki uczniak. Zaciągnęła się leciutko, bez wprawy, ostrożnie, ale nie sprawiała wrażenia debiutantki - raczej jakby była przyzwyczajona do innych papierosów. Trawka! - olśniło mnie.

- Potrzebuje pani ochrony? - spytałem sam nie wiem dlaczego.

Coś nieuchwytnego mówiło mi, że się boi. Może nie boi... Miałem sześć lat, gdy szukając sardynek, znalazłem w piwnicy u wuja mały pistolet. Bałem się go użyć, nie chciałem się przyznać i cieszyłem się, że go mam. Teraz coś podobnego emanowało z Ariadny.

- Czego? - zdziwiła się szczerze ku mojemu rozczarowaniu.

Odrzuciła do góry głowę, prezentując nie najgorszy stan skóry na szyi. Roześmiała się.

- Ochrony? Chyba przed bankierami - parsknęła i pokręciła głową.

Dużo sympatyczniej rozmawiało się z nią tutaj niż w moim biurze - ale wtedy nie wyszedłem na takiego durnia jak dzisiaj. Nie pozostało mi nic innego jak również uśmiechnąć się szeroko.

- Wygłupiłem się - stwierdziłem - ale akurat mam wolny czas, a pilnowanie pani idealnie wypełniłoby tę lukę.

Przestała się śmiać, lecz lekki uśmiech nie schodził z jej twarzy.

- Od razu wydał mi się pan sympatyczny, choć po drugiej wizycie byłam na siebie wściekła, a później jeszcze bardziej, kiedy zrozumiałam, że zakpił pan sobie ze mnie - westchnęła w sposób, w jaki wzdycha się tuż przed wypowiedzeniem jakiegoś kłamstwa. Uprzedziłem ją.

- Może czwarte spotkanie rozwieje do końca pani uprzedzenia? - sięgnąłem po papierosy.

- Może? - zabrzmiało to odrobinę zalotnie.

Wstała pierwsza i energicznie wyciągnęła do mnie dłoń. Po chwili zniknęła za ścianą światła. Oczekałem chwilę i również przedarłem się przez świetlistą taflę. Z zadowoleniem stwierdziłem, że pozbyłem się zmęczenia, kacyka i uspokoiłem się. Musiałem koniecznie powiedzieć o tym barmanowi.

- Rachunek uregulowany - powiedział, gdy otwierałem usta z dłonią w kieszeni. - I jeszcze to - postawił szklankę z zamrożoną whisky.

Stałem kilka sekund z otwartymi ustami. Większość ludzi uważa mrożenie whisky za bluźnierstwo, ale zbyt ciepła mi nie smakuje, a lód, co by o nim nie mówić, rozwadnia. Czasem stosuję takiego kopa, który wprawdzie wyłamuje zęby, lecz ustawia moje płuca we właściwym kierunku. Barman patrzył na mnie z kamienną twarzą. Sięgnąłem po szklankę i zanim łyknąłem zapytałem:

- Za ile przejdzie pan do mojego baru z jednym klientem?

- Zanudziłbym się - odpowiedział poważnie.

- A ja zapił.

Trzema łykami wypilem dar Ariadny i gestem pożegnałem się z magiem.

Na parterze kupiłem piekielnie drogą zapalniczkę. Uwielbiam prezenty

i jest mi obojętny ofiarodawca. Od razu zapaliłem i stojąc obok galerii automatów przed wejściem, przemyślałem plany na kilka najbliższych godzin. Nie wydarzyło się nic, co powodowałoby ich korektę. Spędziłem dwie godziny w wynajętym samolocie i kolejne pół w wypożyczonym samochodzie. Domki były puste. Nikt nie dzwonił, nikt nie podłożył ładunku wybuchowego. Wyglądało, że tylko ja działałem. Wypożyczyłem sprzęt wędkarski i resztę dnia spędziłem nad rzeką, gdzie podobno gęsto było od pstrągów i lecji. Nie miałem jednak szczęścia. Następnego dnia łowiłem również, lecz z takim samym wynikiem. Gdy oddawałem sprzęt, zapytałem o nazwisko tresera tych ryb. Chciałem mu pogratulować osiągnięć. Byłem wściekły, ale nie aż tak bardzo jak Nick i Claude. Obaj wrócili z niczym - klawiperkusista zniknął, choć oficjalnie nie opuścił kraju. W Ontario po Bonnie i Boggu też nie zostały żadne ślady.

Wypiliśmy kilka dzbanków kawy. Bezskutecznie. Widocznie dobre pomysły też miały swojego tresera i nie brały. Usiadłem na podłodze i bawiłem się z Tebą. Wraz z odzyskaniem swojego pana odzyskała normalną psią naturę. Kręciłem jej ogonem na wszystkie strony, a ona warczała i delikatnie łapała mnie za rękę.

- Szkoda że to noc i podły hotelik - mruknął Nick. - Gdybyśmy - mieli dzień i soczystą zielenią łąki pod dupami, wyszłoby kapitalne zdjęcie do magazynu rodzinnego - i dodał coś, czego na pewno by do tego magazynu nie przyjęli.

- Może pójdziemy spać, zanim poprzegryzamy sobie gardła - zaproponował Claude i wstał, przeciągając się, aż coś w nim zachrzęściło. - Myśle...

Odezwał się gong. Pulpicik naszego sterownika sygnalizował gościa w moim domku. Glaude cicho syknął i z Tebą u nogi przywarł do drzwi. Nick zaterkotał krótko bębenkiem swojego rewolweru i dopadł mnie przy tylnych drzwiach. Zgasilem światło i wychyliłem się na zewnątrz. Ciemna, cicha noc. Gong w moim domu brzęknął jeszcze kilka razy. Wyszedłem i przejrzałem tyły domków. Nie usłyszałem Nicka, co znaczyło, że wszystko w porządku. Schyliłem się i pod osłoną

mohigerana przemknąłem pod swoje tylne drzwi. Raczej wyczułem niż zobaczyłem cień Claude'a przesuwający się w kierunku frontu domu. Oczekałem chwilę i wszedłem do wnętrza. Pokój był jasno oświetlony. Szybko sprawdziłem łazienkę i krzyknąłem głośno:

- Już, już! Chwileczka! - naciągnąłem szlafrok i wsunąłem do kieszeni biffax.

- Owen! - usłyszałem głos Nicka.

Szarpnąłem klamkę. Za progiem stała Murzynka. Miała może pięćdziesiąt lat, była ubrana w pstrą, lekką suknię, a na ramionach miała narzucony cienki sweterek. Tuż obok niej, ale zwrócony twarzą ku placykowi przed domkiem stał Nick. Claude czaił się gdzieś w ciemnościach.

- Pan Yeates - powiedziała spokojnie Murzynka, co mnie przekonało, że nie dziwi jej nasze zachowanie, a więc nie przyszła tu przypadkiem.

Usunąłem się z przejścia i wskazałem pokój. Weszła i zatrzymała się zaraz za progiem, tak że Nick chcąc wejść również, musiał się przeciskać bokiem.

- Mam przekazać pozdrowienia z fotela numer sześć - powiedziała cicho. - Mówić?

Skinąłem głową. Przymknęła oczy i wyrecytowała z pamięci: Monachium. Kawiarnia „Bayer” na Mariahilfplatz. Proszę pytać o Jurgena.

- Jakie hasło? - zapytałem.

- Nie trzeba - otworzyła na chwilę oczy i dokończyła, znowu pomagając sobie opuszczeniem powiek: - W razie kłopotów telefon dwieście dwanaście sto trzydzieści. Pytać o Jurgena. To wszystko - odwróciła się do drzwi.

Otworzyłem usta, aby jej podziękować, ale zrezygnowałem. Moja wdzięczność i tak nie dotarłaby do adresata. Zamknąłem za nią drzwi i pociągnąłem nosem.

- Dałeś komuś swój adres? - niedbale zapytał Nick.

- O to chodzi, że nikomu. Teraz wiesz, o kim nie chciałem z wami mówić?

- Oczywiście, że nie.

- To i dobrze, bo osoba zainteresowana dowiedziałaaby się o tym najdalej za pół godziny, jak sędzę. Całe szczęście, że to nie z nim mamy na pieńku.

Claude wszedł tylnymi drzwiami i zaryglował je. Miał w kieszeni mały odrzutowiec, który niesamowicie mu ją wypychał.

- A z kim? - zapytał dowcipnie.

- Być może dowiem się tego w Monachium.

Sięgnąłem językiem w kierunku nosa i klasnąłem w dłoń. Posuwistym, tanecznym krokiem przebyłem odległość dzielącą mnie od szafki, w której schowałem kilka dni temu butelkę.

- Mam zamiar na Saula Bogga - oświadczyłem triumfalnie. - Wyduszę z niego coś pożytecznego, choćbym miał zastosować lewatywę - uniosłem szklankę i radośnie wypięłem połowę zawartości.

- Posłuż się swoim dowcipem - cmoknął kącikiem ust Nick. - Nie znam nikogo, kto byłby na to odporny.

- Ty się wybierzesz na wycieczkę - zawtórował mu Claude - a my będziemy tu siedzieli jak dwa zgniłki. Idziesz na ławiznę.

- Wszyscy idą na ławiznę - oświadczyłem pouczająco.

- Nieprawda! Najnowsze badania dowodzą, że kury znoszą jaja grubszym końcem.

- Bo głupie - odparłem. - I dlatego kończą na roźnie. Moje zdrowie - pokazałem im swoją szklankę. Dopięłem i oblizałem wargi. - Musicie się stąd wynieść. Mimo wszystko. Ma któryś lepszy pomysł?



Rozdział siedemnasty

Drugi raz w życiu znalazłem się w Europie. Po wcześniejszym pobycie w Szwecji byłem przygotowany na najgorsze. Ale tu było bardziej po naszymu - hamburgery, sex-shopy i brudno. A Holzkirchner Bahnhof, o dziwo, okazał się tylko dworcem. Odstałem kilka minut w kolejce do taksówek. Musiałem przyznać, że są wygodniejsze od naszych dtymobili. Mariahilfplatz zdołał potężny kościół i olbrzymi gmach komendy policji. Kawiarnia „Bayer” ulokowała się tak, że goście mieli widok, na oba budynki. Rozsiadłem się wygodnie i zamówiłem dwa piwa. Nie miałem najmniejszych kłopotów językowych. Angielski kelnera był nienaganny, choć klasyczny, kontynentalny. Piwo było jeszcze lepsze. Skończyłem drugie i skinąłem na młodziana.

- Jeszcze jedno piwo. I proszę mi powiedzieć, czy był tu dzisiaj Jurgen?
- Jest - odpowiedział krótko i odszedł w kierunku kontuaru.

Obserwowałem go, ale nie zauważyłem, kiedy i w jaki sposób zawiadomił Jurgena. Nagle pojawił się dystyngowany, siwowłosy džentelmen w jasnym sportowym garniturze - może nieco zbyt konwencjonalnie skrojonym, ale to on w nim chodził nie ja. Skłonił lekko głowę i zapytał:

- Mister Owen Yeates? Jestem Jurgen.

Wstałem i podałem mu rękę. Energicznie, po plebejsku potrząsnął moją dłoń i usiadł po drugiej stronie stolika. Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem paszport, ale zbyt mnie ruchem dłoni i skrzywieniem twarzy.

- Dostałem znakomite pana zdjęcie i prowadzimy pana od wyjścia z

samolotu w Norymberdze.

- Słynna niemiecka solidna precyzja - pochwaliłem.

- To też. Przede wszystkim jednak chcemy zadowolić naszego przyjaciela. - Odczekał, aż odstawiłem kufel i poczęstował mnie papierosem. Zapaliliśmy. - Ad rem. Interesujący pana człowiek mieszka aktualnie w Monachium, podkreślam: aktualnie. Na wszelki wypadek przeprowadziliśmy szybkie rozpoznanie. On ucieka. - Niedbale założył nogę na nogę i zerknął na mnie.

- To oczywiste - powiedziałem. - Inaczej bym go nie szukał aż tu.

- Oczywiście - zgodził się ze mną. - Wydaje się, że ma powody. W Lubece ktoś usiłował przejechać go samochodem. Zgłosił to nawet policji, ale zaraz potem uciekł. Kupił gdzieś lewy paszport. Nazywa się teraz Paul Buze i mieszka w pensjonacie na Feuerbachstrasse siedem.

- Serdecznie dziękuję - zgasiłem papierosa i podniosłem się, chcąc odejść.

- Jeszcze sekundę - zatrzymał mnie Jurgen. - Czy pan przewiduje jakieś kłopoty?

Zastanowiłem się. Informacja o próbie zamachu na Saula nie była radosną nowiną.

- Czy w tej chwili ktoś go pilnuje?

- Oczywiście. Przecież taka była prośba.

- A czy można utrzymać ten posterunek dopóki go nie odwołam? To najwyżej dzień, dwa. Obawiam się, że moja pierwsza wizyta może nie przynieść spodziewanych wyników, a nie chciałbym, żeby ktoś mi go sprzątnął, zanim dowiem się tego, po co tu przyjechałem.

- Dobrze. Coś jeszcze?

- Może jakiś pistolet? - zawahałem się. - Coś znanego w Stanach?

Skinął na kelnera i polecił zanieść moją torbę do szatni. Popatrzył na mnie pytająco.

- Jestem pełen uznania - powiedziałem. - Dziękuję.

Wstałem i uściśnąłem dłoń Jurgena. Gdy zniknął za jedną ze ścian dzielących kawiarnię na segmenty, zgasiłem papierosa i uregulowałem rachunek. Torba nie wydawała się cięższa, ale gdy już na placu

wsadziłem do niej rękę, wyczułem chłodną kolbę. Pogłoski o niemieckiej niezawodności nie były przesadzone. Zawołałem taksówkę i dotarłem do Lincolnstrasse. Stamtąd poszedłem na piechotę, szukając numeru siedem. Przed ósemką był zaparkowany szary produkt spółki opel-nissan z dwoma młodymi ludźmi wewnątrz. Zapukałem w szybę obok pasażera, przekazałem pozdrowienia od Jurgena i zapytałem o Buzego.

- Drugie piętro. Pokój dwadzieścia trzy - twardo wyskandował kierowca.

- Mógłby pan pójść ze mną? - zapytałem. - Obawiam się, że nie otworzy drzwi nikomu, kto mówi po amerykańsku.

Chwilę zastanawiał się, po czym trącił kolegę i powiedział coś w swoim ojczystym języku. Tamten wyjął ze skrytki płaskie pudełeczko i podał mi. Zerknąłem do środka.

- Poradzi pan sobie? - zapytał kierowca. - Na jego piętrze zajęte są tylko trzy pokoje, lecz w tej chwili nie ma w nich nikogo.

Wsadziłem kasetkę-wytrych do kieszeni i wszedłem do budynku ze skromną tabliczką w trzech językach. Nie spotkałem nikogo na schodach ani na korytarzu. Przyłożyłem pudełeczko do drzwi i słuchałem dłuższą chwilę. Cicho brzmiała jakaś muzyka, coś pisnęło raz i drugi, drobnutko zaterkotała drukarka. Rozpiąłem torbę i przewiesiłem przez ramię. Uruchomiłem wytrych i przyłożyłem do klawiaturki na futrynie drzwi. Chwilę oba systemiki zmagaly się, wygrał, rzecz jasna, lepszy. Mój. Zamek błysnął zielonym światłem. Wsunąłem się do mieszkania. Mały korytarz kończył się trzema drzwiami. Z jednych dochodziła muzyka, z drugich popiskiwanie kompa. Podszedłem ostrożnie i omiotłem je wzrokiem. Pusta sypialnia z włączonym odbiornikiem radiowym. Pusta kuchnia. Bogg siedział przed pulpitem kompa. Musiał być bardzo wysoki, lecz na pewno był lżejszy od własnego cienia. Nerwowo przebiegał palcami po klawiaturze, pomrukując coś do siebie. Gdy czekał na odpowiedź kompa, zacierał ręce, bębnił w blat albo w oparcie fotela, targał włosy, drapał się po karku. Chyba dlatego był taki chudy - zużywał masę kalorii na te ruchy.

Na palcach podszedłem bliżej i zerknąłem mu przez ramię. Nie zauważyłem nigdzie broni, więc cofnąłem się o dwa kroki i chrząknąłem. Krzyknął głośno i poderwał się, wywracając fotel. Musiał mieć ponad pięćdziesiąt lat, ale miał młode rysy twarzy, cienki nos, wąskie usta i prawie niewidoczne brwi - młoda twarz starego narkomana. Patrzył na mnie, trzęsąc głową. Palce rąk wykonywały falowe ruchy, jakby ćwiczył jakiś trudny fortepianowy pasaż. Odczekałem chwilę.

- Panie Bogg, nie jestem tym, za kogo pan mnie wziął. Nie przyszedłem pana zabić. Niech się pan uspokoi i usiądzie. - Zrzuciłem torbę na podłogę i wolno odchyliłem poły kurtki. - Nie mam broni, widzi pan? Chcę tylko porozmawiać.

- Pomylił się pan - powiedział nadszpiewanie dźwięcznym barytonem. - Nazywam się Buze - zaczął znów ten swój taniec ciała.

Gestykulacja tak wrosła w jego naturę, że nieruchomo nie wytrzymałby chyba nawet pod lufą pistoletu maszynowego. Przypomniałem sobie jak pewien recenzent teatralny powiedział o jakimś aktorze, że zdeptał rolę. U Bogga było to organiczne.

- Panie Bogg, powiem krótko: uciekł pan ze Stanów, bo grozi panu śmierć. Tu też panu grozi. Pamięta pan Lubekę? Tyle że jeśli dotychczas nie był pan poszukiwany specjalnie zawzięcie, to z tego co mi wiadomo, teraz intensywność działania pana wrogów wzrosła wielokrotnie. Jestem prywatnym detektywem i prowadzę śledztwo, które w jakiś sposób zahacza o TEC. Jeśli się nie mylę, może mi pan pomóc rozwiązać zagadkę, a jeśli mi się uda, to wówczas pana wrogowie będą mieli inne zmartwienia niż szukanie pana. Rozumie mnie pan?

- Pan się myli potrząsnął głową tak szybko, że policzki aż mlasnęły. - Nazywam się Paul Buze.

Z wyrzutem pokręciłem głową.

- Nie zmienił pan nawet twarzy, to znaczy, że nie ma pan pieniędzy albo doświadczenia w ukrywaniu się. I jedno, i drugie nie rokuje panu wielkich nadziei. - Sięgnąłem do kieszeni, wyjąłem płytkę z plexi z wtopioną licencją i rzuciłem mu. - Ma pan komp, proszę sprawdzić te

dane, a czekając na komunikat, proszę myśleć.

Trzymał moją licencję w jednej ręce, drugą błyskawicznie sprawdził swoje ciało - klepnął się w klatkę piersiową, przeczyścił ucho, przetarł czoło, podrapał kolano. Zrozumiałem, że jeśli ma gdzieś przy sobie broń, to wyjmie ją, zanim się zorientuję. Szurnięciem nogi przesunąłem torbę bliżej drugiego fotela i usiadłem w nim gotów do wyjęcia pistoletu. Bogg powygiął się chwilę i nagle odrzucił mi licencję.

- Albo mówi pan prawdę, albo przygotował pan tę bajkę - mruknął. - Zresztą, co mnie to obchodzi. Pan mnie myli z kimś mi nie znanym. Co to jest TEC?

Popatrzyłem na niego z politowaniem. Zrozumiał, że jest niezdarny i znów wykonał serię min i ruchów rękami. Mógłby obsługiwać szesnaście marionetek jednocześnie. Wyjąłem papierosy i zapaliłem jednego. Szybko podskoczył do stolika i sięgnął do swoich. Mimo istnych konwulsji sprawnie przypalił i zaciągnął się głęboko.

- Nie mam prawa ani ochoty pana dusić - skłamałem tylko w jednym punkcie. - Bardzo mi zależy na pana wyjaśnieniach, nie ukrywam. Ludzie, którzy pana ścigają, zabili już jedną osobę na pewno i kilka prawdopodobnie. Próbowali usunąć i mnie. Być może jestem blisko rozwiązania zagadki. Jedno jest pewne: zabawa, jeśli to kiedykolwiek była zabawa, skończyła się. - Wytrzymałem krótką pauzę, by złowieszcze słowa w pełni dotarły do jego świadomości. - Pamięta pan Bonnie Le Fay? Zniknęła. Kręciła się przy Kraterze Zgubionego Czasu, nie zaniechała sprawy, z którą do pana przyszła. I nie ma jej nigdzie. Daj Boże, by się tylko schowała, ale nie mam specjalnych złudzeń. Do cholery! - ryknąłem, waląc dłonią w poręcz. - Życie panu niemiłe? Kryje pan morderców?!

Na chwilę zamarł w bezruchu, co było sukcesem. Spoglądał na mnie kilkanaście sekund i wrócił do płąsu, ale coś się zmieniło w choreografii.

- Wierzę panu - powiedział niespodziewanie. - Istnieje co prawda minimalna szansa, że oni przysłali pana, żeby wywąchać, co wiem i dopiero wtedy podjąć decyzję o moim być albo nie być. Dobrze, zaryzykuję. Co pan chce wiedzieć?

- Wszystko - odetchnąłem z ulgą. - Dlaczego nie dał się pan zamknąć w kuli TEC, czego od pana chciała Bonnie, dlaczego pan uciekł do Europy? I tak dalej, i tak dalej...

- To trochę potrwa - wstał i zgasił papierosa. - Piwa czy...

- Piwo, proszę - przerwałem.

Nie poszedłem za nim do kuchni, ale na wszelki wypadek bezszelestnie przeszedłem pod okno, gdzie nie mógł mnie zauważyć od razu po wejściu do pokoju. Wszedł z kilkunastoma puszkami i zatrzymał się, nie widząc mnie w fotelu.

- Ja też muszę na siebie uważać - powiedziałem spod okna.

- Współczuję. - Ustawił puszki na stole i przysunął doń fotele. - Coś wiem na ten temat. - Stał przodem do mnie i nagle wyrzucił obie kieszenie spodni i zadarł do góry cienką trykotową koszulkę, prezentując klawiaturę żeber i krater brzucha. Zadarł jeszcze nogawki spodni i pokazał plecy. - Jestem czysty.

Wróciłem do torby i rzuciłem ją pod ścianę, zrzuciłem kurtkę i okręciłem się na pięcie. Usiedliśmy w fotelach i prawie jednocześnie otworzyliśmy puszki.

- Byłem trzecim kandydatem do nieśmiertelności - powiedział Saul. - Ale odnosiłem się sceptycznie do całej tej zabawy, choć w pierwszej chwili zaimponowało mi to wyróżnienie, mimo że wiedziałem, że nie jest to obiektywna ocena świata uczonych. Zbliżałem się do czterdziestki, a wtedy myśli o śmierci i o tym pieprzonym świecie, który nawet na sekundę nie zamrze, gdy Bogg zagra w dołki, stają się wyjątkowo dokuczliwe. Zgodziłem się. Jednocześnie jednak zacząłem wyszukiwać wszystko, co się dało o TEC, Hoertlu i jego cewkach. Wtedy jeszcze stosunkowo dużo udało mi się wyciągnąć od władców TEC i od samego, Hoertla. Miesiąc przed uroczystym „pogrzebem” podjąłem ostateczną decyzję. Zwołałem dziennikarzy i wysiadłem z pociągu do „zawsze”. Potem TEC zmadrał i zaczął się zabezpieczać przed takimi wybrykami. Zaczęli organizować półroczne przygotowania w specjalnym obozie, wymagali pisemnego zobowiązania i nie wiem, czy nie czegoś jeszcze. W każdym razie ja przez jakiś czas miałem spokój.

Odwiedził mnie jedynie pomniejszy szef z TEC i zaproponował niewielką kwotę w zamian za, jak to sformułował, niereklamowanie mojego niefortunnego posunięcia. Zgodziłem się i to zarówno z powodu pieniędzy, jak i pewnych przeczuc. Dwa razy oberwałem od zupełnie nie znanych mi młodych ludzi. Pogoniłem więc z domu dziennikarzy, a ci chcąc się zemścić, obsmarowali mnie w gazetach. Wtedy ktoś pogratulował mi telefonicznie przemysłności. Zrozumiałem mniej więcej, o co chodzi.

Saul kiedy się uspokoił, stał się zupełnie znośnym kompanem do piwa - nie siorbał, wzdychał dziękczynnie po każdym łyku i mówił składnie. Czujnie zareagował na zakończenie pierwszej puszki i wskazał drugą.

- Śledziłem z uwagą, co się dzieje wokół TEC, ale były to tylko oficjalne informacje. Coś mnie podkuśiło pojechać na konferencję do Los Angeles. Spotkałem tam mojego szkolnego kolegę, który w trakcie przyjęcia pokazał mi kopię sprawozdania Michaela Schpeidera z pobytu w Kraterze. Znałem dobrze zarówno samego Michaela, jak i styl jego prac. Jakiś czas polemizowaliśmy ostro i wtedy właśnie stałem się specjalistą od jego toku myślenia, jego wnioskowania. Zdołałem skopiować ten raport, bo coś mnie w nim zastanowiło. Przede wszystkim różnił się od wersji opublikowanej. Wydaje się, że te zmiany nic były istotne czy inaczej: mnie się wydaje, że Michael zaszyfrował w swoim sprawozdaniu jakąś informację, a oni albo ją odkryli, albo zmienili raport tak na wszelki wypadek. Dowiedziałem się potem, że rzeczywiście ktoś przeredagowuje teksty wychodzące z Krateru Zgubionego Czasu. Tymczasem ktoś zwrócił uwagę na mnie. Cudem uniknąłem zderzenia z ogromną ciężarówką. Wkrótce potem trzy jadowne węże w moim ogrodzie. Nie czekałem dłużej.

- Słusznie. Nie wszyscy bawią się w klasyczną triadę.

- Też tak sądzę. - Zdusił dopalający się w popielniczce papieros i na kilka sekund wrócił do swojej pantomimy. - Uciekłem do Europy. Zwiedziłem już chyba wszystkie kraje, ale w żadnym nie czuję się bezpiecznie. Poza tym nie mam pieniędzy na drogie dokumenty i inne triki. Żyję tylko dlatego, że mimo wszystko nie byłem specjalnie

niebezpieczny, lecz skoro pan mówi, że sytuacja się zmieniła... - Poruszył kilka razy brwiami i wygiął usta w podkówkę.

- No dobrze, ale co pan właściwie podejrzewa?

- Nie powiedziałem? - zdziwił się. - Cymbał ze mnie! - Szybko uderzył się dłonią w czoło. - Podejrzewam, że nie ma Krateru Zgubionego Czasu, to znaczy jest, ale czas biegnie tam jak wszędzie.

- Co? - wytrzeszczyłem oczy.

- No mówię, nie ma nieśmiertelności.

- To co jest? Kto każe uczonym włączyć tam i siedzieć potulnie w ogromnym pęcherzu bez kobiet, bez podróży, bez przyjaciół...

- A jak mają wyjść, jeśli już tam weszli? - Pochylił się w moją stronę.

- Przecież nie muszą pracować. Po kilku latach ktoś zainteresuje się dlaczego pan X milczy, nie?

- Może im grożą śmiercią albo straszą wymordowaniem rodziny. W ostateczności mogą prace jednego uczonego podkładać drugiemu. Poza tym w Kraterze może dojść do jakiegoś wypadku, wie pan, zerwanie windy, mały pożar, wybuch, porażenie prądem, samobójstwo...

Opadłem na oparcie i wpatrywałem się w Saula szeroko otwartymi oczami.

- Dlaczego mnie ścigają? - zapytał. - Bo jestem jednym z niewielu, którzy nie wierzą w TEC i chyba jedynym, który się wychylił. Nie widzę innego powodu. Dalej... Kontaktowałem się z Barnesem, to jest...

- Wiem. Też odmówił przejścia na drugą stronę czasu.

- Właśnie. Ale zupełnie nie chce o tym mówić. Dlaczego? Co mu szkodzi powiedzieć? A może ktoś postawił sprawę tak: będziesz gadał, to się nie nagadasz. On ma czwórkę dzieci, żyją jego rodzice i teściowie.

- Spokojnie. - Szybko zapaliłem kolejnego papierosa i kilkoma łykami opróżniłem puszkę. Od dłuższej chwili pęcherz domagał się, żeby poświęcić mu minutę, ale stłumiłem potrzebę. - Przecież można sprawdzić obliczenia Hoertla? Nie powiesz, że przeskoczył epokę i nikt go jak Einsteina nie rozumie? Skoro jego cewka działa, to...

- Na to czekałem! - Prawie podskoczył w fotelu. - Tego właśnie nikt nie wie! Nie ma obliczeń, nie ma modelu. Jest idea, pomysły i Krater.

Koniec. A takich pomysłów w SF jest od cholery. Z czasem robiono już wszystko: zatrzymywano, cofano, przyspieszano, podróżowano w czasie w tę i z powrotem, czas sprzedawano, kradziono, malowano w cętki i w ciapki. I co z tego? Ha! To samo mamy z Kraterem.

Musiałem w końcu skorzystać z toalety. Po powrocie do pokoju wrzasnąłem do Bogga:

- I co?! Nie ma gwarancji, a publika wali drzwiami i oknami?!

- Cała masa ludzi dała się zamrozić, nie wiedząc, czy da się odwrócić proces! Zgoda, i tak mieli umrzeć, ale ci, co zgadzają się na ryzykowne pionierskie zabiegi? Śmierć to jest, kochany, taka sprawa, że... - Machnął ręką.

Niepostrzeżenie przeszliśmy na ty. Nie można pić wspaniałego piwa, machać rękami, mówić o śmierci i zachowywać dystans wobec siebie. Wstałem i przespacerowałem się po pokoju. Dym znacznie pogorszył widoczność, ale nie otworzyłem okna. Odwróciłem się do Saula i pstryknałem palcami.

- A co z tym raportem? Tym... - Zatrzepotałem palcami w poszukiwaniu precyzyjniejszego określenia.

- Właśnie nad tym siedzę. Siedzę już dwa lata. Jestem pewien, czuję, że Michael coś w nim zaszyfrował. Są w nim subtelne różnice w stylu, takie odcienie, odcieniki, taka mgiełka... - Wykonał palcami ruch jakby liczył pieniądze. - Coś jest, tylko nie mogę znaleźć klucza. Magluję komputery, ale boję się użyć dużych maszyn, a te... - Pogardliwie wskazał archaiczny kineskop monitora kompa. - Ale jestem blisko, już to prawie mam. Rzecz w tym, że Michael nie na mnie liczył i użył klucza zrozumiałego dla innej osoby. Gdyby pomyślał o mnie, to już dawno bym to odszyfrował. Ale dojdę do prawdy...

- A jeśli nie? - przerwałem.

- Niemożliwe - odpowiedział po chwili. - Chyba że mnie szlag trafi.

- To zrobmy tak: jesteś pod opieką moich, powiedzmy, monachijskich przyjaciół. Poczekam kilka dni. Jeśli ci się uda, to będzie to bomba, jakiej świat nie widział, lecz jeśli nie, będziesz musiał zniknąć stąd. Pogadamy jutro. - Zgarnąłem ze stołu papierosy i zapalniczkę. - Daj mi

telefon, to zadzwonię jak znajdę jakiś hotel.

- Po co? - Zatrzepotał rękami z szybkością kolibra. - Przecież możesz spać tu. Ja i tak będę siedział w tym pokoju. Przespałem prawie cały dzień i miałem zamiar pracować w nocy.

Zastanawiałem się kilka sekund. Propozycja miała same zalety. Miałem przy sobie szczotkę do zębów. I pistolet.

- Zgoda. Z przyjemnością. Będziesz wychodził z mieszkania?

- Nie. Dlaczego pytasz?

Wziąłem do ręki wysoki, wąski, gliniany wazon i zaniósłem pod drzwi wejściowe i ustawiłem tak, by zwałił się z hałasem przy próbie otwarcia.

- Ten zamek nie jest najpewniejszy - wyjaśniłem. Wyjąłem z torby pistolet i sprawdziłem magazynek. - Masz broń?

- Granat łzawiący.

- To dobre na pogrzeb ukochanej teściowej. Gdzie go masz?

- W tej szufladzie - wskazał ręką.

- Niech tam zostanie: Teraz zgaś światło, przewietrzmy pokój.

Podszedłem do okna i po krótkiej lustracji otoczenia otworzyłem je na oścież. Saul wyszedł do kuchni z popielniczką pełną petów. Gdy dołączyłem do niego, otwierał kilka puszek z jakimś mięsem. Zjadłem na stojąco kolację i wypłem jeszcze dwa piwa - z pełnym pęcherzem śpię czujniej. Gdy wróciłem do pokoju, Saul katował już klawiaturę. Ziewnąłem szeroko i z pistoletem w dłoni przeszedłem do sypialni. W nocy wstawałem trzy razy i za każdym razem widziałem Saula pochylonego nad klawiaturą. Kilka razy z głębokiego snu wyrwał mnie terkot drukarki. O wyniki zapytałem go rano. Warknął coś niezbyt uprzejmie. Wyczułem, że nie jest to złość, raczej podniecenie, gorączka, kiedy wydaje się, że jeden ruch może doprowadzić do pomyślnego końca lub do katastrofy. Otworzyłem kilka puszek i ustawiłem na kuchence. Włączyłem ekspres. Rzuciłem okiem za okno. Warta na dole czuwała, paląc papierosy z obu okienek sączył się dym i w nieruchomym, rześkim powietrzu unosił się leniwymi strugami. Pokroiłem sałatę, skropiłem sokiem z cytryny i poszedłem do łazienki. Golenie i przysznic zajęły mi osiem minut. Wracając do kuchni,

wstąpiłem do pokoju i sprzątnąłem pościel. Pistolet umieściłem za paskiem spodni. Zatrzymałem się w progu.

- Kawa? Czy wolisz herbatę?

- Ciii! - syknął nie odwracając się.

- Masz coś? - spróbowałem jeszcze raz.

Machnął energicznie ręką do tyłu. Westchnąłem i wróciłem do kuchni. Sprawdziłem parówki i wyłączyłem kuchenkę. Sos był jeszcze odrobinę za zimny, doprawiłem sałatę i zająłem się ekspresem - chciałem jeszcze raz przepuścić zaparzoną kawę przez świeży miąż. Szybko przeżułem jedną parówkę i zapaliłem papierosa. Przystanąłem przy oknie. Wznoszące się po drugiej stronie ulicy przysadziste, ciężkie wille sprzed stukilkudziesięciu lat były w znakomitym stanie bez najmniejszej szczyrby w ceglach czy ubytku tynku. Stolarka okienna była tradycyjna, może nawet drewniana. Przed domami rozciągały się trawniki uczesane niczym na Wimbledonie i kwietniki uszeregowane jak karne oddziały piechoty. Zerknąłem na parę w samochodzie. Przestali palić. Jeden ułożył głowę na oparciu i chyba zdrzemnął się. Przytuliłem twarz do szyby i skontrolowałem oba wyloty ulicy i w tej samej chwili opanowało mnie dziwne uczucie. Uświadomiłem sobie, że coś jest nie tak. Skoncentrowałem się na patrzeniu i dlatego, gdy usłyszałem jakiś stuk w pokoju, nie zwróciłem nań specjalnej uwagi, Minęło jeszcze kilka sekund i nagle niespodziewana fala strachu zmroziła mnie zupełnie. Zrozumiałem, że ten w samochodzie nie spał - cienka strużka krwi spływała po jego skroni na szyję. Jednocześnie uświadomiłem sobie, że słyszany przed chwilą hałas nie dochodził z pokoju, lecz z przedpokoju. Wyszarpnąłem zza paska pistolet i skoczyłem do drzwi. Z pokoju dobiegło kilka cichych pyknięć. Po trzecim nastąpił głośniejszy trzask i krótki syk. Szarpnąłem klamkę w poczuciu nieodwracalnego nieszczęścia. W drzwiach do pokoju spostrzegłem plecy jakiegoś mężczyzny w szarej marynarce. Usłyszał szelest otwieranych drzwi i odwrócił się. Mignęła mi znajoma twarz i lufa pistoletu. Runąłem na podłogę, jednocześnie strzelając najszybciej jak mogłem. Trzy pociski spowodowały na jego marynarce rozkwit purpurowych kwiatów, a obrót

ciała przerodził się w bezwładny upadek. Z jego lufy wyprysnął tylko jeden pocisk, uderzając w ścianę pół metra od sufitu. Leżałem na podłodze, ściskając kolbę pistoletu. Czekałem na najmniejszy ruch mężczyzny. Zamarł w bezruchu. Powoli, nie spuszczać z niego wzroku, wstałem i podszedłem bliżej. Jego półautomatyczna barrakuda z tłumikiem i bocznym celownikiem leżała pół metra od dłoni. Przełożyłem pistolet do lewej ręki i odwróciłem mężczyznę twarzą do góry. Nie myliłem się. Był to Gregory Sanders - jeden z najlepszych i najdroższych najemników świata. Wbrew obiegu opinii o zabitych - na jego twarzy nie zamarł żaden grymas wściekłości czy żalu. Wykonywał swoją robotę na zimno, nie angażował się i tak też przyjął swoją śmierć. Musiał się z nią pogodzić już dużo wcześniej. Wstałem i rozejrzałem się po pokoju. Ciało Saula zwisało z fotela. Nie widziałem jego twarzy, ale dostrzegłem trzy broczące krwią otwory w głowie i karku. Monitor stojący na stole przed nim miał sporą dziurę. Śwąd spalenizny wymieszał się z zapachem świeżej krwi. Rzuciłem pistolet na stół i zastanowiłem się, co jeszcze mam do zrobienia w tym domu. Jeżeli huk moich strzałów, niezbyt głośnych przy tym kalibrze, nie spowodował jeszcze wezwania policji, to i tak za chwilę mogą nadejść chłopcy Jurgena, aby zmienić kolegów w samochodzie.

Podszedłem do drukarki i z radością zauważyłem, że Bogg zostawił jednak ślad swojej całonocnej pracy. Nie było tego dużo, ale być może znajdę jakąś wskazówkę. Oderwałem pasek papieru i schowałem do kieszeni. Przeszedłem się po mieszkaniu i sprzątnąłem wszystko, co mogło świadczyć o moim pobycie tutaj - drugi talerz i filiżankę. Do spalarki wyrzuciłem zawartość popielniczki z moimi petami. Dym z monitora zaczął szczypać w oczy. Spakowałem torbę i jeszcze raz obrzuciłem spojrzeniem mieszkanie. Przypomniałem sobie o wazonie w przedpokoju. Przekroczyłem wyciągniętą rękę Sandersa i wróciłem do pokoju. Ustawiłem na poprzednim miejscu wazon i przetarłem ręcznikiem. W końcu już w kłębach dymu wyjąłem Saula z fotela i ułożyłem na podłodze. Nie miało to większego sensu - obaj zostali trafieni z tyłu, ale od biedy można było dokomponować sobie do tej

sytuacji jakąś historyjkę. Wytarłem pistolet i wcisnąłem go do ręki Saula. Uchyliłem ostrożnie drzwi i nie widząc nikogo na korytarzu, wyszedłem z mieszkania. Gdy płyta drzwi wracała na swoje miejsce, mignęły mi małe płomyki uczone tylnej ścianki monitora. Wytarłem chusteczką klamkę i na palcach zszedłem na dół. Było nadal cicho. Nie czyniąc hałasu, wymknąłem się na ulicę i poszedłem w stronę wskazywaną przez reflektory wozu z dwoma martwymi ciałami na przednich siedzeniach. W parę minut dotarłem do Stettnerstrasse i poszedłem nią w lewo w kierunku dużej Tegernseer Landstrasse. Na wszelki wypadek szedłem nią pół godziny, potem zatrzymałem taksówkę i kazałem się zawieźć na znany mi już dworzec. Bez kłopotu kupiłem bilet do Norymbergi i pracowicie wykorzystałem czterdzieści minut do odjazdu. Zadzwoiłem do Jurgena.

- Nie mam dla pana dobrych nowin - powiedziałem, gdy zgłosił się do aparatu.

- Kto mówi?

- Pana kuzyni zachorowali i to ciężko - ciągnąłem. - Złapali wirusa od jednego przyjeźdnego. Zaraził również naszego znajomego, a i sam nie przetrzymał choroby. Przykro mi.

- Rozumiem. Ee... - zająknął się.

- Wyjeżdżam. Dziękuję za pomoc.

Odłożyłem słuchawkę. Wsiadłem do pociągu i wyjąłem wydruk z kompa Saula. Pobieźnie przejrzałem gąszcz literek i cyfr - „writeln”, „read”, „enter”, „if x”, „until”, „case” i nawiasy, apostrofy, kreski, przecinki... Zacisnąłem zęby. Szukałem w tym czegoś, co mógłbym zrozumieć - musiałem to znaleźć. Nie mogłem wieść wydruku ze sobą, a bałem się powierzać go poczcie. Pomagając sobie palcem, czytałem tekst linijka po linijce i po raz pierwszy żałowałem, że dotychczas posługiwałem się kompem jak młynkiem do kawy, nie wnikając głębiej w jego system. Cztery linijki przed końcem wydruku w jednym z nawiasów znalazłem coś, co poderwało mnie na siedzeniu. Nitla! Nie wiedziałem, co to oznacza, ale pamiętałem, że słyszałem to słowo z ust Goldleafa. Gorączkowo przebiegłem tekst do końca, ale choć instrukcja

„else” sugerowała ciąg dalszy, nie było go na papierze. Pocisk, który zabił Saula zrujnował również ekran zawierający być może następne słowa zaszyfrowane przez Schoeidera. Wezwałem konduktora i zażądałem koperty, a gdy przyniósł, zapakowałem wydruk i zaadresowałem do Claude’a na poste restante. Istniała szansa, że dobry programista, mający do dyspozycji duży komputer, rozgryzie problem do końca. Zapaliłem, zamierzając zagłuszyć złość - przecież Saul mógł zostawić inne, bardziej precyzyjne wskazówki, a ja ich nie poszukałem. Pożar zatrze te ślady do końca. Została „nitla”. Słowo to nie kojarzyło mi się z niczym, nie miało sensu bez innych danych. Postanowiłem, że choćbym miał przesunąć Góry Skaliste, wydobędę ten sens. A później... Później... Później porozmawiam z władcą czasu Moseredem Goldleafem.



Rozdział osiemnasty

Jeśli kiedykolwiek miałbym się zastanowić nad własną osobą, niewątpliwie doszedłbym do wniosku, że żywot mój polega na stałym uleganiu czemuś i incydentalnej walce z ową uległością. Ulegam pociągowi do alkoholu, do kobiet i do intuicji. Kolejność zmienia się, co tylko ubarwia moje życie.

Bar na pokładzie liniowca Lufthansy całkowicie zadowolił moje potrzeby. Stewardesa była elegancka i o nienagannych kształtach, ale kojarzyła mi się z równie elegancką i wyrafinowaną w kształcie lodówką Weigalla. Ilekroć uśmiechnęła się do mnie, miałem ochotę wyjąć ze szklaneczki jedną zbyteczną w tym momencie kostkę lodu. Intuicja dopadła mnie w rękawie łączącym pokład TU-226 - najbezpieczniejszego samolotu świata - z hallem terminalu. Usiadłem w fotelu na uboczu i wypaliłem trzy papierosy, intensywnie wsłuchując się w swoje wnętrze. W rezultacie zdecydowałem się na wizytę we własnym domu zamiast - jak to sobie planowałem jeszcze kilkadziesiąt minut wcześniej - gnać do dwójki pomocników. Skorzystałem ponownie z usług agentów Pinkertona - poleciłem sprawdzić stojącą beczynn timer w garażu chimerę oraz biuro. Tymczasem wszedłem do kawiarni zaliczyć tradycyjnie fatalnie parzoną tu kawę.

Godzinę później wysiadłem z taksówki. Podeszedłem pod garaż i wysłuchałem meldunku jednego z czyścicieli. Miał więcej zębów niż włosów, ale i tak dziwiłem się, że zdążył je zgubić w sposób naturalny, a nie w trakcie wybuchu którejś z poszukiwanych bomb. Mój wóz był czysty. Dwa razy sprawdziłem, czy ekran sygnalizujący najwyższą gotowość nie łże, a potem pojechałem do biura, gdzie czekał na mnie

identyczny meldunek. Rozsiadłem się za biurkiem i wypaliłem fajkę, co najczęściej czynię, żeby zagłuszyć dominujący w pokojach suchy, nieprzyjemny zapach. Uruchomiłem memoretkę i po kilku sekundach zeszywniałem, słysząc głos Ariadny Wood: „Proszę skontaktować się ze mną w ciągu najbliższych trzech godzin. Będę w galerii Rupy Mohanty na Lemington. Jeśli pan nie może, to później moja prośba będzie nieaktualna. Do zobaczenia”.

Szybko sprawdziłem datę. Dzwoniła dwa dni temu, a więc jej prośba była nieaktualna. Innych zapisów nie znalazłem. Skorzystałem z napoczętej butelki Shenleya i sięgnąłem po słuchawkę. Musiałem chwilę przypominać sobie jak uruchamia się modulator głosu. W końcu za pomocą kompa uruchomiłem go i uzyskałem połączenie z mieszkaniem Woodów. Nabrałem powietrza w płuca i świadomy, że mój rozmówca słyszy nie mój głos, lecz przyjemny kobiecy alt powiedziałem szybko:

- Tu Patty Enoh. Mam nadzieję, że zastałam Ariadnę?

Z drugiej strony przewodu ktoś głośno wciągnął powietrze. Potem nastąpiła seria dziwnych dźwięków i w końcu usłyszałem: - Pani nic nie wie?

- A co mam wiedzieć? Godzinę temu wróciłam z Meksyku. Coś się stało?

- Prze... - chlipnęła rozmówczyni. - Przedwczoraj... o Boże, był wybuch gazu w ulicznym rozdzielaczu... Pół nocy ratowali ją w szpitalu...

Dopiero za trzecim razem udało mi się usadowić słuchawkę we właściwym gnieździe. Odetchnąłem głęboko, starając się skruszyć lodowaty gorset, który nagle poczułem na sobie. Widziałem palce rąk chaotycznie bębniące o blat stołu, czułem skręcający się jak po dawce perytyny żołądek, nie miałem czucia w nogach i nie udawało mi się poruszyć oczami. Nie wiem, jak długo to trwało. W końcu odzyskałem panowanie nad ciałem na tyle, by móc wstać i kopnąć kosz na papieriery. Wygłosiłem kilkadziesiąt inwektyw pod własnym adresem. Wywołałem gazetę i z ekranu kompa wyczytałem informację o wybuchu gazu, o zgonie Ariadny Wood i ciężkich obrażeniach innych czterech osób.

Niewątpliwy wypadek. Nie było cienia wątpliwości lub inaczej - prócz mnie nikt nie miał cienia wątpliwości. To ze mną rozmawiała dwa dni przed wypadkiem i mnie chciała prosić o... O co? Ochronę odrzuciła, zresztą i tak musiałbym ją skierować do Pinkertona. Zdjęć nie miałem...

Jeszcze raz kopnąłem kosz. Uderzył w szafę. Pokiwałem głową. Uruchomiony z klawiatury zamek w ukrytych za szafą drzwiach odsunął ją, odsłaniając wejście do magazynu. Dwadzieścia minut bobrowałem po nim, napełniając trzy spore pudła najprzeróżniejszym sprzętem, jakim posługują się filmowi detektywi i ich przeciwnicy. Wahałem się, ale w końcu do kieszeni wsadziłem biffaxa, a elephanta położyłem na wierzchu jednego z pudeł. Jego kaliber rzadko pozwalał trafionemu przeżyć, a ja potrzebowałem informacji. Przywołałem wózek bagażowy i gdy się zameldował, wypełniłem go pudłami, a emiterek przypiąłem do pleców. Kiedy wyszedłem z biura, wózek potoczył się za mną do windy, a potem przez szeroki chodnik do chimery. Zanim ruszyłem, umocowałem elephanta w specjalnym uchwycie pod swoim fotelem. Już po dwóch kilometrach przeżyłem pierwsze rozczarowanie - komp nie znalazł słowa „nitla” w swoim banku. Ulokowałem się grzecznie w strumieniu samochodów i przekazałem sterowanie komputerowi drogowemu. Po przesiadce na drugi fotel, przystąpiłem do pracy z komputerem miejskim, a potem z siecią federalną. Dowiedziałem się, że „nitla” w języku dawno wymarłego szczepu Chootay znaczy „kres, cel, koniec wędrówki”, Skorzystałem ze wspaniałomyślnie przekazanego przez Sarkissiana numeru i dotarłem do tajnych danych. Nic jednak nie uzyskałem. Wróciłem do Indian. W trakcie godzinnej jazdy przewertowałem banki kilku bibliotek stanowych, co boleśnie uszczupliło stan mojego konta, jednocześnie wzbogacając wiedzę o nielicznym i niezbyt ważnym plemieniu. Stałem się specjalistą w tej dziedzinie i nie po raz pierwszy w życiu doszedłem do wniosku, że wiedza nie daje satysfakcji.



Rozdział dziewiętnasty

Umówiłem się z Claude'em i Nickiem w ośrodku wypoczynkowym „Dwie skały” niedaleko Choise. Znakomicie wyposażony, zamknięty i strzeżony dość dobrze teren, opanowany przez homoseksualistów, odpowiadał nam z kilku względów. Większość klientów chodziła ubrana jedynie we własną skórę, a co za tym idzie mogli najwyżej strzyknąć w naszym kierunku śliną. Za pomocą komp obliczyłem prawdopodobny czas jazdy tam z uwzględnieniem pogody, nasilenia ruchu, awarii samochodu i wyszło mi, że dotrę tam najwcześniej o trzeciej w nocy, a uruchamiając swój wytrych i włączając się w pas zarezerwowany dla samochodów specjalnych - o pierwszej. Postanowiłem przespać się w najbliższym motelu i wyruszyć w drogę nieco po północy, gdy ruch zmaleje. Zasygnalizowałem skręt w prawo. Komp potwierdził przekazanie informacji o zmianie pasa najbliższemu wozom, przejąłem więc kierownicę i zjechałem na zewnętrzne pasmo. Po niecałym kilometrze usunąłem się z oczu innym kierowcom. Za pierwszą kępą drzew odczekałem kilka minut. Zastanawiałem się czy nie lepiej zawierzyć komputerowi drogowemu i nie spędzić nocy w drodze. Korzystałem z kompów, ale nigdy nie przemożem jakiegoś atawistycznego, nieprzychylnego stosunku do nich i niewiary w ich niezawodność. Zresztą życie co chwila chyliło czoła przed moją przemysłnością. Zjechałem przed front motelu i rzuciłem okiem na ekran z wykazem wolnych miejsc. Mieli ich w nadmiarze, co nie było dziwne przy tej klasie budynku. Machnąłem w duchu ręką i zjechałem nieco na bok, za inne cztery wozy. Przekazałem kilka poleceń kompowi,

wysiadłem, przeciągnąłem się i zostawiając pudła w wozie, poszedłem do recepcji.

Powitał mnie wylewnie sam właściciel i zaproponował najlepszy pokój. Udałem, że wierzę w jego wspaniałomyślność i że nie zauważyłem czterech wozów, których właścicielom niewątpliwie oferował również swoje najlepsze apartamenty. O jakości zakładu znakomicie świadczyło przesuszone powietrze i swoista czystość wskutek nieobecności ludzi. Znałem to świetnie ze swojego biura. Pokój był taki, jakiego oczekiwałem - niemodne, choć w miarę wygodne meble i brak kurzu. Ostatni mieszkaniec tego pomieszczenia musiał już dawno umrzeć ze starości, być może do ostatnich chwil zachowując wspomnienie pobytu w „Lion Motel”. Po odkręceniu kranów czekałem dobre pięć minut, zanim popłynęła woda i jeszcze kwadrans, kiedy wreszcie nabrała barwy łagodniejszej od wściekłej ochry. W czasie kąpieli wypaliłem trzy papierosy, po czym uciałem wstępną drzemkę.

Obudził mnie chłód. Tak przynajmniej pomyślałem w pierwszej chwili. Poruszyłem się, wywołując falowanie wspomagane sykiem pękających pęcherzyków piany. Wtedy do łazienki wszedł potężnie zbudowany mężczyzna. Poruszał się bezszelestnie mimo stu kilogramów wagi przy prawie dwumetrowym wzroście. Rzuciłby się w oczy nawet na wypełnionym do ostatniego miejsca stadionie. Prócz wzrostu i wagi wyróżniały go króciutko przycięte, jasnorude włosy i tegoż koloru, dziwnie sterczące wąsy. Ten kto zdecydował się zaangażować faceta rzucającego się w oczy jak latarnia morska, musiał być przekonany o jego kwalifikacjach. Przybysz potwierdził to zresztą, kładąc palec lewej ręki na wargach i trzymając pistolet wycelowany z dokładnością do dziesiątych milimetra w nasadę mojego nosa. Uśmiechnąłem się krzywo i pokiwałem głową, by broń Boże nie miał wątpliwości co do mojego dobrego wychowania. Ogromnie żałowałem, że nie trzymałem w rękach ukrytych pod warstwą piany swojego elefanta. Sprawiałbym mu kapitalną niespodziankę, ale aż tak przemyślny nie byłem. Wstałem wolno, a on cofnął się o pół kroku i wskazał ręką ręcznik. Skorzystałem z uprzejmości agresora tym chętniej, że zaczynałem mieć nadzieję -

skoro nie zastrzelił mnie od razu... Kto wie, do czego może to prowadzić? Wytarłem się i jak przyciągany lufą jego pistoletu wolno wszedłem do pokoju. W fotelu wygodnie rozparty siedział drugi gość. Ufny w kwalifikacje kolegi nie pofatygował się nawet, żeby wyjąć jakiegos gnata. Palił mojego golden gate'a, a stopy wygodnie oparł na blacie małego stolika.

- Ubieramy się - powiedział cicho, nawet nie spojrzawszy w moją stronę.

Potulnie odrzuciłem ręcznik i podszedłem do swojego ubrania. Ktoś rozrzucił je po całym łóżku. Ubrałem się, starając nie patrzeć na tego kogoś zbyt często. Przeczesałem palcami włosy i stanąłem w wyczekującej postawie. Siedzący dotychczas brunet wstał i westchnął ciężko.

- Rachunek opłacony - powiedział. - Żadnych numerów, bo zginą goście i obsługa. Ty przeżyjesz.

Skinął palcem i olbrzym schował pistolet do kieszeni. Brunet podszedł do drzwi i otworzył je. Na moich oczach przeistoczył się. Sympatyczny uśmiech i ciepłe spojrzenie, jakie wykwitły na jego twarzy otworzyłyby mu drzwi do sypialni największych na globie kapłanek wierności. Ruszyłem w jego stronę.

- I w końcu dobrze, że cię znaleźliśmy - powiedział dość głośno. - Mina powiedziała nam, którą trasą pojedziesz, ale tylko cudem zajechaliśmy do tego motelu - ćwierkał, idąc obok mnie.

Duży trzymał się nieco z tyłu.

- Aha - odezwałem się po raz pierwszy od pięciu minut. - Sam nie wiedziałem, że tu zanicuję. Mieliście szczęście.

Byliśmy już w hallu. Recepcjonista patrzył na nas obojętnie - pokój był opłacony, pościeli nie zdążyłem użyć. Wydusił z siebie obojętny uśmiech i nawet poruszył ramieniem, ale jego dłoń nie uniosła się ponad ladę.

Wyszliśmy z motelu. Po zejściu z kilku schodków brunet zatrzymał się i kiwnął głową, wskazując moją chimerę. Podszedłem do niej potulnie, otworzyłem drzwi i odsunięty mocną ręką dużego patrzyłem jak wsiada

na tylne siedzenie już z pistoletem w dłoni. Usiadłem za kierownicą i czekałem na polecenia. Jeden z samochodów, jeden z pięciu wozów na parking, ruszył wolno i wtedy poczułem na karku muśnięcie czegoś metalicznego. Trąciłem zapłon i wycofałem się na podjazd, a potem dodałem gazu - i dogoniłem średniego invidera z brunetem za kierownicą. Gdy dojechaliliśmy do autostrady, zatrzymał swój wóz i kilka sekund trwał pochylony nad kompem, potem wysiadł i skierował się w naszą stronę. Gestem pokazał mi, że mam się przenieść do tyłu, a sam usiadł na moje miejsce i z wprawą świadczącą o obyciu z chimera ruszył, dodając akurat tyle gazu, by przyspieszenie tylko wcisnęło pasażerów w oparcia, a koła nie ślizgały się z wizgiem po betonicie. Upłynęły trzy minuty od chwili uruchomienia silnika. Obejrzałem się. Invider bez kierowcy - niczym samochód widmo z dwudziestowiecznego głupiutkiego horroru - powtórzył nasz manewr. Jezdnia była pusta, tylko daleko z przodu, na granicy widoczności rysował się tył jakiejś ciężarówki. Brunet nie śpieszył się.

- Mam pytanie - odezwałem się.- Wolałbym się nastawić na coś konkretnego. Jedziemy tylko na rozmowę czy na rozmowę zakończoną w jakiś... - pomachałem palcami w powietrzu - ...szczególny sposób?

- Rozmowy nie będzie. - odpowiedział brunet.

- No to może się dowiem kto i dlaczego?

- Nie dowiesz się.

Cmoknąłem. Westchnąłem. Popatrzyłem na dużego obok mnie. Miał obojętne, ale o dziwo ludzkie spojrzenie. Nie to co jego jednooki pomocnik wycelowany ciągle w moją twarz. Osiem minut jazdy.

- Daleko jedziemy? - wymyśliłem inne pytanie.

- Ty tak.

- Mogę zapalić?

- Tak. - A gdy wolno sięgnąłem do kieszeni duży syknął, a brunet rzucił spojrzenie w lusterko i szybko dodał: - Mojego. Jeśli ci się nie podobają, nie bierz.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął w moją stronę paczkę francuskich papierosów. Zawahałem się z wyciągniętą ręką. Brunet roześmiał się

głośno.

- Widzisz? Ja też mam opory, mogłeś nafaszerować swoje jakimś świństwem.

- Przecież paliłeś golden gate'a?

- Paliłem, paliłem - zgodził się pobłażliwie. - Dobrze, zapal.

Rzuciłem okiem na stoper. Dziesięć minut. Wolno sięgnąłem do kieszeni i pod okiem dużego wyjąłem paczkę papierosów i zapalniczkę. Duży zainteresował się nią i bezceremonialnie wyłamał mi palce, wydzierając zabawkę z dłoni, ale gdy obejrzał ją dokładnie i zapalił kilka razy, oddał bez słowa. Brunet sięgnął do tablicy rozdzielczej i przestawił represer na maksymalny wyciąg - Zaciągnąłem się z przyjemnością i wygodnie rozparłem na poduszkach chimery. Brunet nie śpieszył się. Utrzymywał osiemdziesiątkę. Inwider, co sprawdziłem zerkając do tyłu, podążał za nami. Poza nim z tyłu nie było żadnego pojazdu. Ciężarówka z przodu oddaliła się tak, że straciłem ją z oczu. Dwanaście minut. Zaciągnąłem się i wypuściłem długą, skierowaną w sufit strugę dymu, którą błyskawicznie wessały otwory represera. Trzydzieści minut. Wychyliłem się do przodu i chrząknęłem do bruneta. Zerknął w lusterko.

- Gdybym jeszcze mógł łyknąć czegoś mocniejszego? - westchnąłem. - Zachowałbym o was miłe wspomnienie.

Prychnął i pokręcił głową. Odwrócił się, wymienił spojrzenie z kompanem.

- Chyba nie zależy nam na tym - powiedział.

- Nie wyglądacie na sadystów, raczej na fachowców - strzeliłem pochlebstwem. - No to co wam szkodzi? - Zerknąłem na stoper, odczekałem aż wskazówka dojdzie do czternastu minut i pięćdziesięciu sekund. - Przecież sam nie będę pił. Berek jest tam.- Wysunąłem palec i wskazałem skrytkę po prawej stronie.

Brunet odruchowo spojrzął w tamtym kierunku. W tej samej chwili wskazówka stopera sięgnęła dwunastki, cofnąłem rękę, ale trzymałem ją nadal na oparciu przedniego fotela. Brunet pokręcił głową i wykonał kierownicą minimalny ruch, by utrzymać chimere na środku pasa. Wóz

szarpnął się w lewo, brunet zareagował błyskawiczną kontrą bez dotykania hamulców. Chimera sunęła teraz bokiem po pustej szosie. Brunet szarpnął kierownicą, usiłując ustawić wóz w normalnej pozycji, jednak tylne koła popłynęły w drugą stronę, znacząc betonit czarnymi smugami. Z całej siły trzymałem się oparcia, usiłując nie patrzeć na mojego strażnika. Brunet w końcu nadepnął hamulec. Rozległ się przeraźliwy skowyt dartych opon i rzuciło nami w prawo. Przednie koła uderzyły w niewysoki krawężnik. Podrzuciło nas pod sufit, to znaczy ich - ja zaczępiłem stopy o krawędzie foteli. Było pewne, że za chwilę tylne koła pójdą śladem przednich. Zacisnąłem zęby i strzeliłem pięścią w kierunku twarzy dużego. Właśnie lewą ręką odpychał się od podsufitki, prawa z pistoletem opadała w dół, ale na razie nie była groźna - pocisk poszedłby w przednią szybę. Zauważył mój ruch i zrobił unik. Zyskał tyle, że zamiast w podbródek trafiłem go w nasadę nosa. Odwinałem się, wciąż jeszcze trzymając się stopami i uderzyłem z całej siły łokciem. Tylne prawe koło uderzyło w krawężnik. Duży opadł na mnie. Przytrzymałem go barkiem, by mieć miejsce na zamach i posłałem trzy czy cztery haki z dołu w serce i dołek. Coś ciężkiego uderzyło mnie w stopę. Duży przygniatał mnie, ale ruszał się bardzo niemrawo. Nie byłem pewien, czy się rzeczywiście rusza, czy tylko miotająca się na wszystkie strony chimera rzuca jego ciałem. Złapałem go za włosy i kilka razy uderzyłem z całej siły jego twarzą w swoje kolano. Odepchnąłem go, schyliłem się i wymacałem jego pistolet. Dla pewności sięgnąłem jeszcze po swojego elefanta. W trakcie naszej szamotaniny brunet prawie opanował sytuację, czego ja z pewnością bym nie dokonał. Siła rozpędu przycisnęła mnie do oparcia jego fotela. Skrzek opon ustał. Wychyliłem się i przyłożyłem brunetowi do głowy obie lufy. Prawą nogą przycisnąłem do podłogi bezwładne ciało dużego, by wyczuć kiedy się poruszy. Uświadomiłem sobie, że przez cały czas nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Dźgnąłem bruneta lufami w kark. Chimera stanęła w poprzek szosy. Kątem oka zauważyłem, że inwider wyhamował i też zatrzymał się. Zabezpieczyłem pistolet i schowałem do kieszeni. Przesunąłem się w prawo i usiadłem na leżącym bezwładnie dużym.

- Lewą ręką za lufę podaj mi swoją broń i nie obchodzi mnie jak to zrobisz. Wszystko musi być widoczne jak pod mikroskopem. Start - powiedziałem spokojnie.

Nie odrywając ode mnie równie spokojnego spojrzenia via lusterko, wolno sięgnął do kabury i wyjął noszonego na policyjny sposób buldoga. Zręcznie przebierając palcami, uchwycił go, za lufę i podał mi. Nie rzucał się nierozumnie, nie łypał oczami, nie napinał mięśni. Czujnie czekał na okazję. Albo na pocisk w czoło. Przejąłem jego rewolwer i wsadziłem sobie za pasek spodni.

- Kto mnie kupił? - zapytałem bez większej nadziei na wyczerpującą odpowiedź.

- Nie wiem. Dostaliśmy zlecenie od pośrednika, ale też go nie znam.

- Aha. Dostaniesz tyle co i ja od was, czyli papierosa i kilka gramów łożu w twarz. Potem to samo, może bez papierosa, dostanie twój niemy kolega. Typowa kłótnia dwóch bandytów.

- Nie chcę papierosa. Szkodzą mi.

- No to wysiadaj!

Trąciłem klamkę i przesunąłem się w kierunku drzwi, wduśliłem jeszcze przycisk opuszczania szyby i poczekałem aż brunet wysiadzie i odsunie się o metr od samochodu. Wsiadłem i oparłem się o karoserię. Zastanawiałem się, jak usunąć ze swojej drogi dwóch fachowych zabójców. Kiwnąłem lufą w stronę chimery.

- Podejdź tu i rączki na karoserię.

Z wprawą wykonał polecenie. Albo naoglądał się filmów, albo nieraz brał udział w takiej obmacywance. Nie miał innej broni.

- Wyciągaj kołesia i do swojego wozu! - poleciłem.

Wsunął się do chimery i złapał dużego za ramiona. Spodziewałem się kłopotów, ale choć wyglądał zwyczajnie, musiał być cholernie mocny. Bez specjalnego trudu przeciągnął kolegę do inwidera i wrzucił go na tylne siedzenie. Nawet się nie zadyszał.

- Teraz siadasz za kierownicą i jedziesz, prowadzisz ręcznie. Nie próbuj uciekać. Zjeżdżasz w pierwszą drogę i zatrzymujesz się na sygnał światłami. Musimy chwilę pogadać. Sądzę, że nie zapłacili wam za mnie

dużo. Postaram się, byście nie stracili na nie wykonanym zadaniu, a mnie z kolei interesują szczegóły związane z kontraktem. Przemyśl to sobie.

Wskazałem mu miejsce za kierownicą. Zachowałem się elegancko, czyniąc to lewą ręką, nie elephantem. Nie wiem, czy docenił mój gest. Wsiadł i chwycił za kierownicę. Wycofałem się tyłem do chimery i usiadłem za kierownicą. Ustawiłem wóz przodem do kierunku jazdy. Prowadziłem lewą ręką, w prawej trzymając elefanta, gotów w każdej chwili do schowania się za kuloodporną karoserią wozu. Pokiwałem rewolwerem i po kilku sekundach inwider wyprzedził mnie i dość szybko zwiększył prędkość. Dużego nadal nie było widać. Bez trudu dogoniłem bruneta. Przełączyłem wóz na automat i przesunąłem się na prawe siedzenie. Najpierw otworzyłem okno, a potem skrytkę i wspomogłem organizm sporą porcją whisky. Jej zbawienny wpływ na rozdygotany system nerwowy gotów jestem udowodniać każdemu z osobna i przede wszystkim sobie samemu. Pozwoliłem sobie na drugi łyk i schowałem butelkę. Zapaliłem golden gate'a. Poczułem się prawie szczęśliwy. Niewiele trzeba mi do szczęścia - łyk whisky, papieros. Prawie nic. Aha! I ginąca z oczu kostucha. Może dlatego rzadko czuję się szczęśliwy? Odetchnąłem świeżym, wieczornym powietrzem, i wtedy coś ciemnego wypełniło prześwit między tylną i przednią szybą wozu bruneta. Dużo rzucił się do prawego okna i błyskawicznie wypalił w moją stronę z czegoś, czego nie wydobyłem z jego kieszeni. Odruchowo schyliłem się i przesunąłem się za kierownicę. Włączyłem manualne sterowanie i lekko skręciłem kierownicę. Chimera wróciła do poprzedniego przełożenia. Zjechałem na prawy pas i wystawiłem za okno lewą rękę z elephantem. Brunet wcisnął z całej siły hamulec. Zahamowałem również i jednocześnie wystrzeliłem. Mierzyłem w okolice okien, ale bezwładność zrobiła swoje - ręka osunęła się na ramię okna i pocisk poszedł niżej. Z inwidera wyrwał się kłęb ognia i w trzydziestometrowym skoku poszybował ku niebu. Z całej siły wduśiłem akcelerator, chcąc przeskoczyć płamę ognia rozlaną na betonicie szosy. Gorący podmuch wdarł się do kabiny chimery. Poczułem jak prężą się i skręcają włosy i

brwi. Przydusiłem gaz. Pędziłem z prędkością ponad dwustu kilometrów na godzinę. Rzuciłem okiem na komp. Sprawdziłem czy wytrych jest w swoim gnieździe. Był, co znaczyło, że cały czas moja chimera podaje komputerowi drogowemu fałszywe dane a więc jeśli policja nie zablokuje drogi, zanim uda mi się z niej zjechać - nie będzie w stanie udowodnić mi nawet pobytu tutaj. Wytrych trzeba będzie wyrzucić, zresztą i tak za dwanaście dni zmieni się kod. Musiałem zwolnić, gdy zobaczyłem światła ciężarówki, którą widziałem wcześniej. Jadąc wolno, poczekałem aż stracę ją z oczu. Udało mi się dopaść zjazdu wcześniej niż zaalarmowana służba obsługi stwierdziła, że nie był to wypadek drogowy i zanim policja zamknęła z obu stron odcinek szosy. Przy pierwszej okazji zawróciłem i wróciłem na autostradę już jako inny samochód, wciąż jednak w chimerze Owena Yeatesa. Skierowałem się na zachód do Choise. Poczuję zmęczenie i zniechęcenie. Wiedziałem, że tym razem Haig przeleci przez instalację bez pozytywnego efektu. Zwolniłem do sześćdziesięciu i włączyłem obserwator. Zaciemniłem szyby i przeszedłem na tylne siedzenie. Wyłożyłem na podłogę buldoga bruneta i dracona dużego, zamierzając wyrzucić je gdzieś do rzeki. Wygodnie się ułożyłem i zapadłem w sen.



Rozdział dwudziesty

Claude'a z Tebą, jedyną istotą płci żeńskiej w promieniu dwóch kilometrów, znalazłem na plaży. Wylegiwali się pod ścianą z jednostronnie przezrzystych luster. Po chwili nadszedł Nick. Zdecydowaliśmy, że właśnie on skoczy po kilka puszek piwa - My tymczasem rozłożyliśmy ekrany, widzieliśmy więc wszystko dookoła, sami pozostając w środku zwierciadlanego wielokąta. Była to praktyka stosowana bardzo często w „Dwóch skałach” i nikogo pewnie nie dziwiły takie pary, tria czy kwartety pod gołym niebem. Nick wrócił z dwoma kartonami piwa w dziwnych puszkach z fikuśnymi dziobkami.

- Jeszcze nie próbowałaś - powiedział, mrugając jednym okiem. - Zupełna nowość i szal. Gadające piwo. Uważaj.

Złapał jedną puszkę i szarpnął zawleczkę. Rozległ się króciutki bulgot, a potem przeciągły jęk.

- To wszystko? - skrzywiłem się. - No to się nagadało. Rzeczywiście.

- Nie słyszałaś?! - zaperzył się. - Przecież wyraźnie było słyhać: „Piiij!”

- Może - wzruszyłem ramionami.

- Spróbuj sam.

Sięgnąłem po puszkę i otworzyłem ją. Teraz rzeczywiście dość wyraźnie usłyszałem zachętę.

- No dobrze - zgodziłem się, - Gada. Krótko, ale gada. Tylko co z tego? Mnie zachęcać nie trzeba. A jeśli już, to jakoś subtelniej, a to po prostu polecenie.

- Głupis - wspomógł Nicka Claude. - Przecież to początek. To się rozwinie.

- Niech wam będzie. Być może to rzeczywiście wspomniały wynalazek. Szczególnie dla samotnych. Skąd to wystrasnęliście?

- Mówię ci, że to nowość. Produkują dopiero od trzech dni w browarze za przełęczą. Podobno wymyślił to jakiś Europejczyk czy nawet Słowianin, wyobrażasz sobie? Nie do wiary. Ale jak to u nich, facet nie miał z tego ani grosza. Dopiero teraz ktoś wpadł na trop pomysłu. To ma przyszłość.

- Jasne - łyknąłem piwa i z radością stwierdziłem, że gadające czy nie, było wyśmienite. - Czekam na śpiewającą wódkę, recytujący sonety koniak, likier nucący kołysanki i opowiadający pieprzne kawały spirytus. A madera może zrobić striptease. Myślę również...

- Nie było go, był spokój - jęknął Nick. - Towarzystwo trzeźwości powinno zarzucić rynek whisky, która będzie dowcipna jak ty. Nikt nie tknie alkoholu.

- Dobrze - sapnąłem. - Widzę, że nieźle odpoczęliście, Rozpiera was chęć działania. To dobrze, bo chyba wkroczyliśmy w fazę działania, musimy tylko wyjaśnić pewien szczegół. Sprawa wygląda następująco...

Streściłem pobyt w Monachium. Położyłem nacisk na niewiarę Saula w TEC i wynalazek Hoertla. Żaden z nas nie był specjalistą, dyskusja zakończyła się więc na wyrażeniu odczuć. Przeszedłem do jeszcze bardziej spektakularnych informacji - party u Goldleafów, śmierć Ariadny Wood, porwanie mnie z motelu i wydarzenia na szosie. Otworzyłem jeszcze jedną puszkę. Owo „piiij!” było nadzwyczaj wyraźne.

- A co się stało z chimera? Sprawdziłeś czy jest w porządku? Czy to było coś na szosie, może olej z tej ciężarówki? - zainteresował się Claude.

- Ach nie - odpowiedziałem niedbale. - Mówiłem wam że ten samochodzik ma kilka hecnych dodatków. Między innym można w nim zmienić przełożenie kierownicy na dwukrotnie większe. Wyobrażasz sobie, jak się czuje zaskoczony tym kierowca?

- Mniej więcej.

- Powiedziałeś, że przechodzimy do działania, więc do kończ opowieści, bo jak na razie niewiele z tego wynika. Chyba że chcesz

szturmem wziąć Krater Zgubionego Czasu - powiedział wolno Nick.

- Właśnie. Prawie. Chodzi o to, że na wydruku, jaki pozostał w drukarce, znalazłem słowo „nitla”. To samo słowo padło z ust Goldleafa, kiedy siedziałem w pokoju bilardowym. Jeśli Bogg miał rację i jego znajomy zaszyfrował coś w swoim sprawozdaniu i jeśli o tym samym mówi Mosered Goldleaf, to musi to być coś ważnego, nie?

- To jasne - zgodził się Claude. - Tylko co to znaczy?

- Wyjaśniłem, że w wymarłym języku oznacza to „kres drogi, koniec”.

- Mało - stwierdził Scarrow.

- Mało i tym się zajmiesz ty, bo oficjalnie jesteś martwy. Wprawdzie sądzę, że przez kilka dni nikt nie przedsięwzięmie jakichś kroków przeciwko mnie, ale mogą mnie mieć na celowniku i Nicka też. A więc my zostaniemy tu, a ty zaraz pojedziesz do Choise i znajdziesz specjalistę od Indian Chootay i wydrzesz z niego potrzebną nam informację...

- Ciii! - syknął Nick, patrząc gdzieś poza moje plecy. - Znasz go? - zapytał Claude'a.

Odwróciliśmy się obaj. Przez taflę lustra zauważyliśmy młodego Mulata idącego wolno w kierunku naszej lustrzanej fortecy. Rozglądał się, strzelając na wszystkie strony oczami, prawie nie poruszając głową. Miał miękki, elastyczny krok. Doszedł do brzegu, ale nie postawił stopy na mokrym piasku nad jeziorkiem. Rozejrzał się i skierował w naszą stronę. Być może był przygotowany na niebezpieczeństwo, ale z pewnością nie wiedział, że w tej chwili trzy lufy wycelowane były w niego. Claude gestem przywołał Tebę. Mulat zatrzymał się pięć kroków od naszego parawanu.

- Przepraszam! Halo! Czy jest tam może mężczyzna na fotelu numer sześć?

- To do mnie - szepnąłem i zawołałem: - Proszę do nas, albo nie! Już wychodzę.

Ominąłem fotel Nicka i wyszedłem na plażę. Biffaxa schowałem do kieszeni i ustawiłem się tak, by nie przesłaniać Mulata Claude'owi i Dougowi.

- To ja. Słucham.

- Mamy tę dwójkę. Trzeci nie żyje - powiedział wprost, nie bawiąc się w żadne szyfrowania. - Jeśli chcesz z nimi porozmawiać to szybko.

- Daleko? - zapytałem.

- Nie-e. Z dostawą do domu. Sześć kilometrów stąd.

- Jadę - skinałem głową. - Wszedł pan tu bramą? - Nie przeszedłem na ty jak on to zrobił.

Skrzywił się i pokręcił głową.

- Idę do samochodu - powiedziałem. - Spotkamy się za pierwszym zakretem alei.

- Sam - powiedział znacząco i odwrócił się do mnie tyłem.

Wróciłem za parawan i dopiłem piwo.

- No to jadę.

- Sam? - zapytali jednocześnie.

- Słyszeliście? Nic mi nie grozi, to nie ta firma, co nasyła facetów, których można załatwić pociskiem w zbiornik.

Szybko przemierzyłem zalesioną część ośrodka i krytym pasażem dotarłem do parkingu. Dozorca otworzył bramę. Wyjechałem na drogę. Za pierwszym zakretem czekał Mulat. Bez słowa wszedł do wozu. Pilotował mrucząc co jakiś czas komendy. W końcu gestem dłoni zatrzymał chimerę i wysiadł. Zrobiłem to samo. Poszedł pierwszy porośniętą trawą ścieżką w głąb małego zagajnika. Dwieście metrów od szosy stała duża ciężarówka do przewozu mebli. Mulat zaprowadził mnie do tyłu i stuknął niedbale w drzwi. Otworzyły się natychmiast. Rzeński pięćdziesięciolatek z purpurowym nosem zerknął na mnie i gestem zaprosił do środka. Wskoczyłem do budy w ślad za Mulatem. Była jasno oświetlona. W dwóch rogach od strony kabiny siedziało dwóch ze znanych mi już trojaczków. Oczywiście nie wiedziałem, który był który, ale to nie miało znaczenia. Obaj mieli po kilka krwiaków na twarzach, jeden rozciętą wargę, ale ogólnie wyglądali lepiej niż się spodziewałem. Nie byli skuci ani związani. Wodzili wzrokiem po naszych twarzach. Miałem wrażenie, że nie kojarzą mnie z niczym. Odwróciłem się do Mulata.

- Warto w ogóle z nimi rozmawiać? - zapytałem.

- Oczywiście! - zdziwił się. - Powiedzą wszystko.

Podszedłem bliżej. Przykucnąłem przed jednym.

- Ty jesteś Mort?

Skinął głową.

- A ten to Felix? - wskazałem palcem.

Spojrzał na brata i chwilę przyglądał się mu.

- Nie - odpowiedział. - Zastrzeleś Felixa - stwierdził bez cienia emocji w głosie.

- Kto was wynajął?

- Tylko Salvo zna pośrednika. On nadał robotę. Ale Salvo go zastrzelił.

- Dlaczego?

- Bo nie mogliśmy po tej strzelaninie ciebie znaleźć. Chcieliśmy się zemścić, a pośrednik ukrywał zleceniodawcę.

- Czy to prawda? - odwróciłem się do Salvo.

- Tak - wykrztusił.

Zastanawiałem się kilka sekund.

- Podam ci kilka nazwisk. Jeśli któreś z nich jest ci znane z jakiegokolwiek powodu, powiesz mi. Jasne? - zwróciłem się do Morta.

- Tak - był chyba bardziej załamany niż brat.

- Higgins? - rzuciłem pierwsze lepsze nazwisko i wbiłem spojrzenie w Morta.

Zastanawiał się długo, w końcu przecząco pokręcił głową.

- Goldleaf?

Po długim namyśle zapytał:

- Chyba jakiś miliarder?

Skinął głową.

- Rader.

- Załatwiliśmy go na zlecenie - odpowiedział natychmiast. - Na brudno - dodał.

- Scarrow?

- Zestrzelony rakieta na autostradzie. To samo zlecenie.

- Bogg.

Myślał długo.

- Nie znam go.
- Wood - powiedziałem sam nie wiem dlaczego.
- Nie znam go.
- Le Fay?

Mysłał około dwudziestu sekund.

- Nie znam go.
- Nitla?
- To nie jest nazwisko - odezwał się prawie natychmiast. - To poligon.
- Gdzie? - zapytałem, starając się panować nad głosem. - Czternaście mil od Pierre, w Południowej Dakocie.
- Skąd wiesz?
- Felix był tam kiedyś. Miał stawić się sam, ale umówił się z nami w pobliżu. I potem kazał trzymać gęby zamknięte aż do końca życia.
- Kiedy to było?
- Ponad rok temu.
- Czy potem mieliście jakąś robotę? Czy Felix przyniósł jakieś zlecenie?
- Nie. Prawie osiem miesięcy nic nie robiliśmy.
- A potem?

Pokręcił głową. Ktoś podszedł do mnie i położył rękę na ramieniu. Zerknąłem. Obok stał Mulat

- Kończy się seans - powiedział. - Już nie będzie mówił sensownie, chyba żeby dostał inną szprycę, ale to zarezerwował dla siebie szef. Przykro mi - zakończył elegancko.

Popatrzyłem na braci, którym los zostawił przypuszczalnie kilka, może kilkanaście godzin życia. W żadnym zakątku duszy nie mogłem znaleźć dla nich współczucia, ale uczucie lekkiego wstydu przytłumiło radość z wyjaśnienia tajemniczego słowa „nitla”. Odwróciłem się, podziękowałem gestem ręki Mulatowi i jego milczącemu koledze. Nie oglądając się, wróciłem do chimery. Odjechałem kawałek, żeby ci z meblowozu nie myśleli, że ich śledzę i zatrzymałem się. Pootwieriałem wszystkie okna, włączyłem radio i przy cichutkiej muzyce, muskany lekkim wiatrem, wypaliłem dwa papierosy. Już wcześniej zdecydowałem, że Nitla, czymkolwiek by była, musi zostać

spenetrowana, ale wtedy myślałem o samotnym zwiadzie. Teraz zdecydowałem się na natarcie w trzy osoby. Zastanawiałem się jeszcze nad wprowadzeniem do akcji CBI, a przynajmniej jednego z jej pracowników. Nie podjąłem jednak ostatecznej decyzji. Sprawdziłem za pomocą kompa, gdzie znajduje się najbliższe lotnisko z wypożyczalnią samolotów i zamówiłem na jutro lot do Misot dla trzech osób. Teba będzie musiała wejść na pokład w torbie.



Rozdział dwudziesty pierwszy

Na pokładzie trzysilnikowego mayflowera wygodnie można rozmieścić siedem osób, mniej wygodnie podróżuje dziesięć, natomiast trzech mężczyzn może tu urządzić sobie turniej tenisa stołowego lub układać wieżowce z kart, oczywiście pod warunkiem, że pogoda będzie idealna. My taką mieliśmy. Claude wystartował pokazowe W czasie krótkiego dialogu z wieżą i potem z kompem, sprawdzającym warunki na całej trasie, osiągnął zaplanowany pułap i przekazał sterowanie kompiłotowi. Nie zapomniał dyskretnie zmienić kursu tak, by zamiast oficjalnie podanego New Silver Lake odchylić się o kilka stopni na północ i osiągnąć prawdziwy cel, czyli Południową Dakotę. Teba opuściła torbę, gdy tylko koła uniosły się nad pasem. Pierwsze pół godziny węszyła nerwowo i kręciła się po nie wzbudzającej jej zaufania podłodze. Cały mój bagaż przenieśliśmy z chimery do mayflowera i teraz zabraliśmy się do sortowania. Potem zasiadłem do przeglądu broni. Porozkładałem na fragmenty dwa szybkostrzelne dracony, przeczyściłem i złożyłem z powrotem. Potem zająłem się biffaxem i elephantem, choć nie miałem wątpliwości co do ich stanu. „Zapamiętajcie sobie, sznurki - mawiał sierżant McKem zwany Kaszlem - że jest ogromna różnica między „nie mieć wątpliwości” a „mieć pewność”. Przekona się o tym każdy, kto nie uwierzy mi na słowo!” Claude przeglądał latarki, liny, kotwy abordażowe, a Nick zajął się chemikaliami, jak ogłupiacze, świece dymne, paralizatory, ciśnieniowe pojemniki z kwasami do wypalania otworów, tuby z szybko schnącymi pastami do blokady zamków. Skończyłem pierwszy, więc

przejrzałem jeszcze trzy komplety mikronadajników, a potem pomogłem podzielić sprzęt tak, by powstały trzy komplety niewiele różniące się między sobą. Zrezygnowałem z pistoletu maszynowego, mimo że był wyposażony w laserowy celownik. Zamiast niego zabrałem niezawodny jak dotąd biffax i znakomity, przynajmniej w pewnych sytuacjach, elephant. Tak minęła pierwsza godzina lotu. Claude usiadł przed ekranem kompa i zajął się przeglądaniem map. Zrobiłem dla wszystkich kawę i zasiadłem z Nickiem do partyjki piętaszka. Osiągnęliśmy dwa remisy, gdy Claude przywołał nas do ekranu.

- Patrzcie - wskazał kciukiem. - To interesujący nas stan. Prawie idealnie płaski, prawda? - Siatka poziomic potwierdziła jego słowa. Mruknąłem coś. - A teraz patrzcie... - pokazał kolejne zbliżenia.

Było to bardzo efektowne, spadaliśmy na łeb na szyję z dużej wysokości gdzieś na południowo-wschodni kraniec stanu. Wśród jednostajnej, jasnej żółci nagle pojawił się ciemniejszy punkt i urósł do brązowej plamki. W pewnej chwili opadanie ustało, a jasnobrązowy punkt wypełnił cały ekran. Miał prawie idealny owalny kształt z niewielką wizerką na wschodnim końcu.

- Płaskowyz - stwierdziłem. - Nie zdziwiłbym się, gdyby to było właśnie to. Aż się prosi, żeby ogrodzić płotem i wygodnie siedząc z nogami zwisającymi ze skarpy, pilnować gospodarstwa. Ale nie wszyscy muszą być tak mądrzy jak my. Na wszelki wypadek dobrze to obejrzyj. - Palcem obrysowałem owal. - Chodź - trąciłem w ramię Nicka. - Rozstrzygniemy kto jest lepszy.

Po chwili dołączył do nas Claude i głupimi radami spowodował moją porażkę. Szczerze mówiąc, rady nie były głupie, tyle że postępowałem wbrew rozsądkowi, aby nie być podejrzanym o korzystanie z podpowiedzi. Musiałem przegrać. Claude pociągnął znacząco nosem i wrócił do kompa. Odpięliśmy od ściany złożony, płaski blat elektronicznego bilarda. Na tylnej stronie miał napis gwarantujący działanie pod wodą, na dużych wysokościach i po ustawieniu pod dowolnym kątem: Po chwili pierwsza bila, delikatnie ocierając się o krawędź, wtoczyła się do otworu. Zapaliłem się do dalszej gry, ale

Claude podszedł i bezceremonialnie trącił mnie w ramię. Omal nie uderzyłem go kijem.

- Miałem nosa - powiedział, nie zwracając uwagi na moją wściekłą minę. - To jest właśnie Nitla. Płaskowyż Clementa.

- Skąd wiesz?

- Połączyłem się z kompem na stacji benzynowej. Komputery regionalne mają zawsze pewne informacje, które nie wchodzą do sieci federalnej. Są to tak zwane szumowiny informacyjne. Na przykład jakieś gwarowe określenia czy nazwy. I to właśnie jest to.

- Nie mam określeń na twoją przenikliwość. Jeden kłopot z głowy. - Położyłem kij na blacie. - Kiedy możemy przelecieć nad Nitlą? I z jakiej wysokości można wszystko dokładnie zobaczyć?

- No właśnie, tu jest pewien kłopot. Obszar nad tym wypiętrzaniem jest zastrzeżony. To były teren wojskowy z nadal obowiązującym zakazem przelotu. Możemy jedynie oblecieć dookoła.

- Akurat! Żeby wszyscy zapamiętali samolot i czekali na nas z przeciwpancernym pociskiem albo od razu zestrzelili w locie - dokończyłem sarkastycznie.

Nie musisz mi tego tłumaczyć. Zostaje nam tylko lecieć dalej łagodnym łukiem nad Płaskowyżem Clementa. Sfilmujemy co się da i ile się da. Możemy jeszcze wyjaśnić, kto to wykupił i co oficjalnie tam robi - zaproponował Claude.

- Nie. Nie znam się specjalnie na programowaniu, ale wiem, że nie jest wielkim kłopotem wsadzić do programu kilka instrukcji, które poinformują kogo trzeba o naszym zainteresowaniu. Nie będziemy ryzykować.

- Zresztą i tak pewnie kamuflaż jest najwyższej marki - uzupełnił Nick.

- Pewnie tak - zgodził się Claude. - Dobra. To zmieniam kurs i tak ustawię kamery, żeby podczas filmowania już nimi nie ruszać, a wy nie podchodźcie do okien. To za jakieś czterdzieści minut.

Wrócił na fotel pilota i po minucie przejął sterowanie. Poczulem, że łagodnie opadamy. Teba wstała i pisnęła cicho. Wykonaliśmy lekki skręt w prawo. Naparłem brzuchem na blat bilarda. Gdy wyrównaliśmy,

Nick pomógł mi go złożyć i umieścić w zaczepach na ścianie. Claude pokazał, gdzie znajduje się awaryjny monitor. Dysponowaliśmy więc czterema kamerami i trzema displayami. Płaskowyż Clementa pojawił się z lewej strony samolotu. Zdziwiający twór natury, podobnie jak słynna Diabelska Skała. Wyrastał - ni stąd, ni zowąd z równiny dookoła jak plaster jajka na twardo wykrojony wzdłuż osi podłużnej i położony na kromce chleba. Tylko kolory były inne. Na miejscu żółtka wznosił się kompleks budynków otoczony pasem szerokiej drogi. Zerknąłem na ekran kompa i sprawdziłem wymiary Nitli. Dwanaście kilometrów na pięć. Sporo. Musi być tam stu ludzi do pilnowania albo kilkanaście ton sprzętu do wykrywania intruzów. Wolałbym sprzęt. Przytknąłem oko do wizjera kamery. W centrum było chyba dwanaście budynków, w tym cztery duże - hangary albo hale produkcyjne. Na orbicie tego jądra stało kilkanaście mniejszych, wyglądających jak domki mieszkalne. Nie korzystałem z monitora, choć mogłem na nim obejrzeć zbliżenia poszczególnych fragmentów. Na to przyjdzie czas. Teraz chciałem wyrobić sobie wra-; żenie ogólne. Na węższym końcu plastra jajka znajdował się niski budynek z płaskim dachem. Zbudowany był na planie dwóch kwadratów połączonych jakby pelerynką. Na obwodzie kompleksu dostrzegłem jeszcze sześć budynków, ale dużo mniejszych. Największy znajdował się na grubszym końcu Nitli, gdzie z zewnętrznym światem łączyła ją droga, Ścięto tu pionową krawędź i usypano nasyp. Droga więc na odcinku prawie kilometra wspinała się łagodnie, stopniowo osiągając poziom dwustu trzydziestu sześciu metrów, czyli poziom Płaskowyżu Clementa. Najwyraźniej usypano, ją z myślą o ciężkich transportach zmuszonych w przeszłości, a może i teraz, do pokonywania wzniesienia. Zdążyłem jeszcze zobaczyć, że ściany na widocznej krawędzi Nitli są w znakomitym stanie, to znaczy nieomal pionowe i bez śladu roślinności. Nie miałem wątpliwości, że ktokolwiek zajmował Nitlę, dbał o utrzymanie jej ścian w dziewiczym, pierwotnym stanie. Wyobraziłem sobie, jakie to możliwości nawet dla niezbyt zmyślnego inżyniera - ile można elektronicznych pułapek poustawiać na krawędziach, jak można osnuć jego krawędzie pajęczyną

termoczuJNIKÓW, sejsmoczujnikÓW, czujnikÓW zapachowych, wykrywaczy ruchu czy wody zawartej w organizmie. Na pewno były i czujniki akustyczne, i wykrywacze metali sygnalizujące amalgamową plombę w zębie. Do sieci takich czujniczków można podłączyć kilkaset małych laserów, teren oznaczyć tablicami ostrzegawczymi i spokojnie wyjechać na kilka lat do słonecznej Italii. O-bla-di, o-bla-da! Do tak ubezpieczonej Nitli może wśliznąć się jedynie wirus. Skoncentrowałem się na budynkach w centrum. Nastawiłem maksymalne powiększenie, przy którym znaczyłbym wypaloną zapalkę. Nikogo nie zauważyłem - żadnego śladu życia na drogach ani w oknach.- Ma ktoś bramę? - zapytałem.

- Mam - odpowiedział Nick wpatrzony w środek ekranu swojego displaya.

- Widzisz to co ja? - zapytał Claude.

Chodziło mu zapewne o nasze niewielkie szansę.

- A myślisz, że wsadziłem pysk w muszlę klozetową?! - wrzasnąłem.

Wiedziałem, że nie mam racji, ale trafił w punkt, który od kilku minut palił mnie jak brzuch polany pirozelem. Mogłem albo wykrzyknąć się na kogoś, albo uderzyć głową w blat stołu. Oczywiście powinienem zrobić to drugie. Claude zerwał z uszu słuchawki i rzucił nimi o podłogę.

- To jak już tam jesteś, to weź trochę gówna i napchaj sobie do głowy, a wyrzuc ten przemądrzały mózg. Wydaje ci się, że pozarłeś cały rozum ludzkości! - wrzasnął. - Jesteś taki pewny siebie, że mógłbyś wyskoczyć z samolotu bez spadochronu, byle udowodnić wszystkim, że umiesz latać. Twoja megalomania wydełaby cię jak balon i rzeczywiście wylądowałbyś bezpiecznie! Żeby to najjaśniejsza krew załała! Pieprzę ciebie i twoją robotę!

Usiadł w fotelu i odwrócił się w kierunku szyby na dziobie samolotu. Teba, która poderwała się, gdy zaczął krzyczeć, podeszła i położyła mu pysk na kolanach. Nakrył jej głowę dłonią i delikatnie potarł uscho. Zapadła nieprzyjemna cisza. Nick wrócił do swojego okularu.

- Twierdza - powiedział nagle.

Podszedłem do Claude'a i odchrząknąłem pojednawczo.

- W porządku - powiedział. - Nie wysilaj się. I tak wytrzymasz tylko do pierwszej okazji.

Odwrócił się do mnie i wywalił język prawie na pierwszy guzik koszuli. Poklepał Tebę i wstał, by przesiąść się bliżej displaya. Odsunąłem mu się z drogi i spojrzałem na swój ekran. Kamera minęła już Nitle. Poszedłem do kuchenki i zaparzyłem kawę. Podniecenie opadło. Może sprawił to wypalony papieros. Gdy zacząłem nalewać kawę do filiżanek, poczułem, jak siła odśrodkowa odsuwa mnie od stołu. Musiałem się lekko zaprzeć, aby nie rozlać płynu. Wróciliśmy na kurs. Oczekałem do zakończenia manewru i zaniósłem kawę. Kompilot przejął troskę o nasze życie. Ja musiałem zatroszczyć się o lepsze samopoczucie własne i pracowników. Znałem jeden sposób, ale ilość jaką mogliśmy wypić na pokładzie, nie mogła dać zadowalających efektów. I nie dała.



Rozdział dwudziesty drugi

- Nie chcę się wymądrzać - oświadczyłem umyślnie napuszczonym tonem, gdy skończyliśmy przeglądać taśmy z zarejestrowanymi widokami Nitli - ale nie widzę możliwości wdarcia się do Nitli z boczami czy krawędziami, czy jak je tam nazwiemy.

- Stąd wniosek, że możemy tam się dostać tylko przez bramę - skwitował Claude. - I możemy udawać, że na ich miejscu nie przyszłoby to nam do głowy.

- Yhy. Brama musi być strzeżona jeszcze lepiej.

Na pewno.

- Sam nie wiem, po co wysłałem Nicka na drogę. Na pewno dowożą różne rzeczy, ale nie przebijemy się przez system haseł, nawet jeśli wydrzemy je kierowcy. - Wsunąłem rękę między plecy i oparcie. - Marnujemy czas - dodałem samokrytycznie.

- Nie rozczulaj się - rzucił zimno. - Nie mamy wyboru. Pozostaje tylko brama. Poczekajmy na okazję - wychylił się, gasząc papierosa i nagle zamarł w pół ruchu. - Czek-kaj... - wciągnął ze świstem powietrze. - Chwila...

Zmrużył lekko oczy i wbił spojrzenie w ścianę obok mnie. Nie ruszałem się z miejsca, żeby nie spłoszyć pomysłu wykluwającego się w głowie Claude'a. Słupek popiołu na końcu mojego papierosa złamał się pod własnym ciężarem i opadł na nędzny, cienki dywanik, wiernie wylegający się na podłodze obscurnego przydrożnego motelu o dźwięcznej nazwie „Oaza”. Zadziwiająca to była lojalność, skoro

właściciel ani razu od zakupu nie przejechał po nim odkurzaczem. Na miejscu dywanika zwinąłbym się i poszedł gdzie oczy poniosą. Odważyłem się sięgnąć do popielniczki i w tej samej chwili Claude mruknął coś i pokiwał głową.

- Gdyby przekupić kierowców? - zapytał.

Przekupienie kierowcy czy konwojentów nie wchodziło w grę.

Nie ma takiej sumy, która gwarantowałaby całkowitą lojalność. Nie dysponuję taką kwotą, ale wiedziałem o co chodzi Claude'owi. Skinąłem głową.

- Z ich pomocą przedostanie się tam byłoby bardziej prawdopodobne.

- Hipnoza! - powiedział.

Zaskoczył mnie. Myślałem chwilę. To było już coś...

- Teba jest uwarunkowana i co z tego? - zapytałem. - Przecież w końcu mnie zaakceptowała?

- Po pierwsze, to jednak pies. Po drugie, była świeżo po seansie nieutralnym. Po trzecie, trafiłeś w jej czuły punkt, czyli aportowanie. I po czwarte, trojaczkom śmierdziały dusze. Musiała to wyczuć. Z ludźmi wygląda to wszystko trochę inaczej.

- I co?

- Wsiadamy do ciężarówki, a obsługa będzie przekonana, że nikogo nie wiezie. Wjeżdżamy na teren Nitli, a potem co Bóg da. Albo zawiozą nas do jakiegoś magazynu i wyjdziemy w nocy, albo coś bardziej siłowego. W każdym razie jesteśmy w środku... Oni są uspieni własnym bezpieczeństwem i przezornością. Zaskoczenie, nieprzygotowanie... W najgorszym przypadku nadajemy komunikat do policji, FBI czy CBI i czekamy spokojnie na przywóz trumien.

- Ty masz, człowieku, łeb - powiedziałem prawie szczerze i powtórzyłem to już zupełnie szczerze. - Myślimy...

Zapałem i myślałem. Myślałem. Wszedłem do wanny i myślałem. Wróciłem do pokoju, dopiero gdy Claude zwolnił Nicka na posterunku. Doug był już zorientowany w pomysłu.

- To jest to samo, co przekupienie czy sterroryzowanie ekipy - powiedziałem, wycierając rękami resztę czupryny. - Trzeba jeszcze

wziąć pod uwagę aparaturę kontrolującą obsługę wozu. Na pewno coś tam mają. No i załadowanie się do wozu i sposób wyjścia. Ale pomyśl ma tę zaletę, że przy pomyślnym „załatwieniu” ekipy dostawczej mamy ją z głowy, zostaną nam tylko te inne problemy. Co ty na to?

- Zgoda. Podkradanie się nie ma szans powodzenia, szturm z odwróceniem uwagi jest równie idiotyczny. Zostaje brama. A to, co wymyślił Claude jest na razie najlepsze. Zresztą i tak musimy jeszcze kilka dni śledzić dostawy, żeby mieć pewność co do ich kursów. Jak dotychczas nie mogę złapać żadnego tropu. Pewnie go nie ma.

- Pewnie tak. Będziemy musieli posiedzieć trochę w zasadzce i łapać co się da. Ile mają samochodów?

- Co najmniej osiem. Sześć dużych ciężarówek i dwa dostawcze pick-upy. Osobowych nie zauważyłem. Pick-up byłby idealny, mniejsza obsługa.

- Ale trudniej się schować. Mogą wieźć skrzynkę pomarańczy.

- No to ciężarówka. W kabinie zawsze siedzi kierowca i dwaj konwojenci. Nie wiem, co się dzieje w skrzyni. Ale to nie jest aż taki problem. Możemy wpuścić porcję głuptaka.

- Claude ma hipnotyzera? Nie mówił?

- Mówił - potwierdził. - Ma. I może też mieć fachowca od aparatury kontrolnej.

- No to dobrze. Przemyślmy to w miarę szczegółowo. Zatrzymujemy wóz i unieszkodliwiamy obsługę. Hipnotyzer wciska im, że zatrzymują się, by wymienić oponę, hardwareowiec „podciąga” kontrolki. Zamykamy się w pace i wjeżdżamy do Nitli. A potem, wiadomo, nic nie wiemy, więc nic nie planujemy. To mi się zaczyna podobać. Nie jest specjalnie wymyślne, raczej proste i eleganckie. Bez ozdobników. Robota dla jednego jak w dwudziestowiecznym kryminale.

- Podsumowałeś to prosto i elegancko. Bez ozdobników Chyba dlatego jesteś szefem.

Skromnie spuściłem wzrok. Wytrzymałem tak chwilę, a potem parsknąłem śmiechem. Spłynęła na mnie fala dobrego humoru. Poczułem się znacznie lepiej, mając w perspektywie akcję. Cokolwiek by

się działa, mogło mieć tylko dwa zakończenia - sukces albo niepowodzenie.

- Zobaczmy, czy będziesz się śmiał za... - przerwał. - Właśnie, kiedy zaczynamy?

- Myślę, że za tydzień. Zanim Claude ściągnie swoich fachowców, zanim uzupełnimy sprzęt... A dzisiaj robimy sobie przerwę. Zaraz skoczę po Claude'a i do sklepu, bo tu po raz pierwszy przekonałem się, że alkohol może spleśnieć.

- Pociągałeś chyłkiem? Bez nas?

- Dopiero wtedy, gdy poczułem, że wy golicie beze mnie.

- To wstąpcie gdzieś, żeby zadzwonić. Może tych fachowców nie ma i wtedy...

- Co ty powiesz? - zdziwiłem się. - Sam bym na to nie wpadł, ale skoro tak mówisz, to chyba tak właśnie zrobimy.

Sprawdziłem czy kieszenie kurtki są prawidłowo obciążone i wyszedłem na parking. Po kilku minutach uzyskałem akceptację Claude'a co do działań na najbliższy tydzień. Teba nie założyła protestu.



Rozdział dwudziesty trzeci

Pierwszy przyjechał elektronik. Wszedł do pokoju objuczony dwiema torbami. Czułe postawił je na podłodze i obrzucił mnie i Nicka taksującym spojrzeniem. Potem zbliżył się i wyciągnął dłoń.

- Ivo - przedstawił się krótko.

Skinałem głową, przyjmując to do wiadomości, uściśnłem podaną rękę i wskazałem fotel.

- Chodzi mi o usunięcie z pamięci samochodowego kompa kilku minut i zastąpienie ich innymi minutami. Otwarcie drzwi ładunkowych i zamknięcie bez śladu. Zresztą wszystko ma być bez śladów. Inaczej nie ma o czym mówić.

- Dobrze - zgodził się mrukliwie. - Coś jeszcze?

- Nie. To wszystko. A! Może jeszcze przegląd naszych krótkofalówek.

Dawno nie były używane i...

Przerwał ruchem ręki i położył na kolanach jedną ze swych toreb. Po kilku sekundach poszukiwań wyjął małe pudełeczko i podał mi. Podrzuciłem je i złapałem.

- Bardzo dobrze. Jest dużo mniejsze niż nasze. Ma pan trzy komplety?

- Tam w środku jest sześć kompletów - mruknął pogardliwie.

Nadajnik - jedno ziarnko ryżu do naklejenia w kąciку ust, odbiornik - drugie ziarnko za małżowinę uszną. Kapitalna jakość, omal mnie szlag nie trafił, że tyle czasu żyłem bez tej zabaweczki. Prawie nienawidziłem Iva, mimo że widząc moje spojrzenie wyjaśnił:

- To sprawa niemalże sprzed kilku dni. Molekuły scalone.

- Świetnie. - Wzięłem się w garść. - Od jutra zaczynamy czekać na okazję. Jeden z wozów, który spróbujemy przejąć, jest od trzech dni w drodze. Poczekamy na jego powrót. Chyba że przejmemy inną ciężarówkę. W każdym razie dzisiaj ma pan czas na wypoczynek i przygotowanie.

- Jestem przygotowany.

- Świetnie - powtórzyłem. - Claude pokaże panu pokój.

Gdy wyszli, spakowałem minikomunikatory i rozsiadłem się w fotelu. Po godzinie wrócił z warty Nick. Od progu powiedział:

- Żadna z ciężarówek nie wróciła. - Otworzył zamasyście puszkę piwa i opróżnił ją kilkoma łykami. - Piekielny upał. Mam nadzieję...

Usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Poprawiłem się w fotelu - lubię mieć dużo przestrzeni wokół prawej kieszeni. Nick schował się za szafę.

- Proszę! - zawołałem.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł elegancki mężczyzna w moim wieku. Postawił na podłodze płaską walizkę i sapnął:

- No... To jestem.

- Czy to pan jest... - zacząłem wstawać z fotela.

- Nick. - Podeszedł bliżej i radośnie potrząsnął kilka razy moimi rękami.

- To też jest Nick. - Wskazałem palcem wyłaniającego się zza szafy Nicka.

Obejrzał się i równie żywiołowo przywitał się z Nickiem.

- To niech będzie, że ja jestem Robin - powiedział bez chwili namysłu.

- A może Paul? - zapytał Nick.

- Dobrze - zgodził się natychmiast. - Mogę dostać piwa? - Spojrzał na puste puszkę.

- Oczywiście, dzisiaj do oporu! - powiedziałem, akcentując słowo „dzisiaj”.

Czekałem aż wypił trzy puszkę i zainteresowałem się:

- Nie jesteś ciekaw co to za robota?

- Jeśli potrzebny wam jest hipnotyzer to jestem.

Ale słyszałem, że nie wszyscy są podatni, że zbyt płytka hipnoza...

- Bajki - przerwał. - Ja i moja aparatura możemy wmówić słoniowi, że jest wydrą i to tak dobrze, że po minucie przyniesie panu w zębach rybę. Jego hałaśliwa pewność siebie spodobała mi się bardziej niż sucha, profesjonalna pewność Iva.

Leżałem na nieco ściętym za pomocą łopat stoku małego pagórka przy szosie. Obok mnie wyciągnął się Ivo. Ułożył przy sobie swój karabinek z pociskami wypełnionymi głuptakiem i przykrył się miękką płachtą. Po drugiej stronie szosy w głębokim dole leżeli Claude i Nick. Byli uzbrojeni identycznie jak my, to znaczy Claude miał taki sam pistolet maszynowy, Nick - karabin załadowany głuptakami. Nick-Robin-Paul leżał przy płaskim pudle ze swoim sprzętem w odległości około piętnastu stóp ode mnie. Miał tam również monitor przekazujący obraz z kamery zainstalowanej trzy mile od nas. Czekaliśmy. Mniej więcej co piętnaście minut wywoływałem Robina, a on niezmiennie meldował:

- Na powierzonym mi odcinku bez zmian.

Ponieważ od ostatniego wezwania minęło czternaście minut, przycisnąłem brodą guzik na kołnierzu i powiedziałem:

- Robin, do cholery! Przyjechałeś tu zarobić czy leżeć na słońcu?

- Jesteś jasnowidzem. Aż się wystraszyłem, bo właśnie miałem cię zawołać.

Poderwałem się i dobiegłem do jego wykopu. Monitor pokazywał drogę z kwadratowym kształtem kabiny ciężarówki. Była jeszcze daleko - co najmniej cztery kilometry od kamery. Nawet maksymalne zbliżenie nie pozwalało rozpoznać jej numerów ani twarzy za szybą. Odczekałem dwie minuty i byłem już absolutnie pewien, że to ta sprzed trzech dni. Skinąłem głową.

- Robimy ją. Chyba żeby zaraz za nią nadjechała druga. Siedzisz do końca przy monitorze, a jak cię zawołam, przyniesiesz go na drogę.

- Spadaj i nie mędz tyle - usłyszałem już w słuchawce, gdy dopadałem swojego stanowiska.

Ivo leniwie przewrócił się na bok i sięgnął po swój karabin. Przycisnąłem włącznik i syknąłem:

- Nick! Słyszeliście?

- Tak. Jesteśmy gotowi. Mam pierwszeństwo? - upewnił się.

- Tak. Powinni patrzeć w naszą stronę.

Wyłączyłem się i nakryłem głowę płachtą w kolorze otaczającej nas wyschniętej gliny. Palce prawej dłoni ułożyłem na dwóch przyciskach wystających z niewielkiego, płaskiego pudełka. To był pomysł Iva. Pomyślałem, że jeśli to zawiedzie, to bez względu na jego kwalifikacje zapłacę mu i pogonię. Przez szparę w płachcie dostrzegłem błysk na szosie - słońce zamigotało na szybie i zgasło. Policzyłem do dwudziestu i nacisnąłem przycisk. Wbiłem wzrok w miejsce obok szosy i z ulgą dostrzegłem kłęb piasku wzbijający się w powietrze. Po kilku sekundach w myślach przeprosiłem Iva. Trąba powietrzna w klasycznej postaci, mimo że spowodowana przez zmyślną modyfikację bomby turbulencyjnej pięknie kołysała się trzydzieści metrów od szosy. Niby nic - niewielka, niegroźna, ale zaskakująca. Po kilkudziesięciu kilometrach monotonnej jazdy musi przyciągnąć wzrok kierowcy i ochrony. Podjechali bliżej i nawet zwolnili nieco, o czym nie śmieliśmy marzyć. Czekałem na strzał Nicka. Rzeczywiście przednia lewa opona sflaczała i siadła. Ciężarówka odchyliła się nieco od kierunku jazdy i wyhamowała. Przesadziliśmy w ocenie ich fachowości i ostrożności. Kierowca otworzył drzwi, gdy tylko wóz zatrzymał się. Chciał wyskoczyć na szosę. Nick bezbłędnie wstrzelił ładunek w kabinę. Wyskoczyłem spod płachty i podbiegłem do ciężarówki. Trąba powietrzna nadal kręciła się pięknie jakby w oczekiwaniu na oklaski. Szarpnąłem drzwi od kabiny i wstrzymałem oddech. Jeden z konwojentów wychylił się i zaczął wypadać, wciąż trzymając drizzler w ręce. Złapałem go w locie starając się, by lufa nie była wycelowana we mnie. Drugi strażnik utrzymał się w fotelu. Ułożyłem delikatnie konwojenta na asfalcie i odsunąłem się. Robin nadbiegał w naszym kierunku objuczony monitorem i swoją walizką. Pomogłem mu ułożyć ciała rzędem na drodze jak zażądał i przejąłem monitor. Ivo siedział już

na dachu szoferki i właśnie przykładał lufę przebijaka, by zaaplikować do przedziału bagażowego potrójną porcję ogłupiacza. Huk stłumiło kilkuwarstwowe pokrycie. Ivo błyskawicznie przeładował przebijak i wystrzelił jeszcze raz - widocznie pierwszy pocisk nie przebił osłon. Zwinnie niczym gibbon zsunął się z dachu do szoferki i wyszarpnął z kieszeni dwie sondy na długich, cienkich przewodach. Wężowym ruchem wśliznął się na plecach pod kierownicę i straciłem go z oczu. Zająłem się monitorem. Pokazywał pustą szosę. Na wszelki wypadek wspiąłem się na schodek i spenetrowałem widoczne jak na dłoni oba odcinki drogi. Było pusto. Z monitorem w ręce podszedłem do tylnych drzwi opatrzonych elektrosztabą. Przyłożyłem do jej sterownika otrzymany od Iva wytrych w kształcie przepołowionej gruszki i obszedłem ciężarówkę, chcąc pomóc w wymianie koła. Nie byłem im jednak potrzebny. Nowa opona była już założona. Claude kopniakiem i jednoczesnym uderzeniem dłoni złamał potrójną blokadę i pchnął dźwignię podnośnika. Ciężarówka najpierw osiadła, po czym stanęła na wszystkich kołach. Nick ulokował pustą oponę w pojemniku i poszedł ze mną do tyłu. Czekaliśmy chwilę, obserwując programowe harce wytrycha po labiryncie, elektrosztaby. W końcu cztery cienkie linie, miotające się dotychczas bezładnie, uspokoiły się i zamarły. Odstawiłem monitor i pociągnąłem za skobel. Drzwi sapnęły i otworzyły się. Czekaliśmy chwilę z bronią w ręku, ale zza sterty pak nie wysunęła się żadna lufa ani żaden odgłos nie zakłócił ciszy. Słyszałem tylko monotonne brzęczenie dochodzące z kabiny, gdzie Robin uruchomił już swój sprzęt i ścierał z pamięci ekipy wydarzenia sprzed czterech minut. Zerknąłem na monitor i skinąłem głową. Nick wcisnął w nozdrza dwie kulki filtrów i wskoczył na platformę. Zaraz za nim podążył Claude. Odsunąłem się nieco i czekałem. Coś szcęknęło w kabinie, a Robin zagwizdał cicho. Zza skrzyń wychylił się Nick. Skinieniem głowy pokazał, że wszystko jest w porządku. Zostawiłem na brzegu platformy monitor i poszedłem do przodu. Ivo siedział za kierownicą. Małą klawiaturę ułożył na kolanach, przewody sond wsunął w deskę rozdzielczą. Zerknął na mnie.

- Gdy uruchomią starter, czas popłynie na nowo - powiedział. - Dałem im pięć minut na zmianę koła.

- Dobrze. I jeśli zostanie ci czas, zerknij jeszcze do tyłu. Jeśli nie, to trudno.

- Wystarczy.

Obszedłem kabinę i podszedłem do rzędu nieruchomych ciał leżących na szosie. Robin podłączał właśnie do aparatury swojego, płaskiego pudełka trzy pary słuchawek. Poukładał przewody tak, by prowadziły do poszczególnych osób. Obok ich głów porozkładał słuchawki.

- Zostawiam im w pamięci trąbę powietrzną, tak? - zapytał. Skinąłem głową. - I dwaj wymieniają oponę...

- Poczekaj.

Sięgnąłem do kieszeni i zszedłem na pobocze. Z małej, plastikowej buteleczki wylałem na skorupę gliny wodę, kopnąłem czubkiem buta kilka razy w to miejsce i zebrałem na dłoń trochę brązowej packi. Wróciłem z tym do Robina i usmarowałem lekko dłonie kierowcy. Przyjrzałem się pozostałym.

- Ten wygląda na szefa - powiedział Robin, wskazując środkowego.

Przyjrzałem mu się. Miał ostre, władcze rysy twarzy i delikatne dłonie. Usmarowałem dłonie drugiemu. Robin nałożył słuchawki kierowcy i właśnie temu strażnikowi. Rzuciłem buteleczkę daleko w kępę rachitycznych krzewów. Wróciłem do tyłu ciężarówki. Claude i Nick palili papierosy. Zapaliłem i ja.

- Są dwie skrzynie z papierem, to zwykły papier do drukarki laserowej. Może by to wykorzystać? - zaproponował Claude.

Zaciągnąłem się i wzruszyłem ramionami.

- Cholera wie - odpowiedziałem. - Z jednej strony dobrze by było mieć kogoś w odwodzie, gdyby nas od razu wygarnęli, z drugiej zaś podzielilibyśmy siły. Gdyby trzeba było, od razu wchodzić do akcji...

- W każdym razie musimy się zdecydować: Jeśli ktoś tam wejdzie, to trzeba ten papier wynieść, a jest go dużo.

- A wy co? Jak myślicie?

Nick skrzywieniem twarzy i killkoma kiwnięciami głowy zaakceptował

pomysł. Claude zerknął na niego i też kiwnął głową.

- No to bierzemy się za to - strzeliłem petem w bok.

Wskoczyli na pakę i po chwili zaczęli podawać paczki. Odbierałem je i układałem w stos na ziemi, kątem oka obserwując monitor. Ivo wyszedł z za drzwi i zameldował:

- Wszystko w porządku.

- Jesteś pewien? Może mają zdublowany obwód?

- Jestem pewien swojego. Jeśli coś nawali, zwracam forszę i dokładam drugie tyle.

- Jeśli coś nawali, to nie będziesz miał komu oddać tej forsy, ale załatwię cię z za grobu. - Ustawiłem kolejną paczkę.

Nick pierwszy zeskoczył na ziemię i złapał dwie paczki. Pobiegł z nimi do wykopu po drugiej stronie drogi, w którym spędził dzisiaj dwie godziny i z którego strzelał głuptakiem. Za nim podążył Claude. Sprawnie usunęli papier. Po naszym odjeździe Ivo i Robin mieli dokładnie uprzątnąć okolicę, a potem szybko zniknąć z Dakoty i przycupnąć na kilka tygodni w jakimś dużym mieście.

Wyjrzałem z za otwartych drzwi w stronę salonu hipnotycznego Robina. Pochylał się nad ostatnim z trzech leżących i szeptał coś do mikrofonu. Kierowca i drugi z ochrony nadal, leżeli nieruchomo ze słuchawkami na uszach, ale były odłączone od wzmacniacza. Zapaliłem jeszcze jednego papierosa i zerknąłem na zegarek. Mijała piąta minuta. Najwyższy czas odjeżdżać. Jak na razie los był dla nas łaskawy. Robin odłączył siebie od wzmacniacza, a włączył słuchawki całej trójki i manipulował kilkoma przełącznikami. Wyprostował się i popatrzył w moją stronę. Podszedł i wyciągnął rękę po papierosa.

Puściłem im jeszcze raz program, choć jestem pewien, że są gotowi.

Otworzyłem usta. Zauważył to i lekko się uśmiechnął.

- Chodź, posłuchaj, a przekonasz się, czy można się temu oprzeć. Nie bój się, na ciebie to nie podziała. Z natury jestem ciekawski. Zrobiłem kilka kroków i pochyliłem się nad wzmacniaczem. Robin przykucnął i pstryknął jakimś przełącznikiem. Najpierw nie słyszałem nic, potem cienki, świdrujący głos wwiercił mi się pod czaszkę. Potrząsnąłem głową,

ale głos tkwił w niej jak sęk w drzewie. Betonit popłynął mi przed oczami, zobaczyłem dziurawą oponę i swoje ręce szarpiące blokady kleszczy. Pociągnąłem oponę i nagle znalazłem się z powrotem nad wzmacniaczem Robina. Popatrzyłem na Robina. Dostrzegłem mój podziw w oczach. Szeroko się uśmiechnął.

- No i jak? Co widziałeś?

- Zdejmowałem oponę. Nieźle - pochwaliłem protekcyjnie.

- To tylko powierzchnia, samo polecenie. Im to wchodzi w trzewia, jest już organiczne. Żaden sąd czy komora śmierci nie zmienia ich przekonania.

- Jesteś nie...

- Hej! - zawołał Claude. - Pakujemy się.

- ...bezpieczny - dokończyłem. - No to do spotkania - wyciągnąłem dłoń i uściśnąłem jego rękę.

Podszedłem do tyłu. Ivo związał swoje kabelki. Claude wskoczył na pakę, gdzie stał już Nick.

- Ogłuszyłem czujnik. Będzie nadawał sam hałas jazdy i ciszę podczas zmiany koła. Nie palcie i na wszelki wypadek nie hałasujcie specjalnie - powiedział Ivo. Podałem mu rękę. Dłoń miał ciepłą i lekko spoconą. Wskoczyłem na pakę. Nick czekał już z gruszką wytrycha w dłoni. Wskazał mi miejsce z tyłu.

- Chyba będzie najlepiej jak Claude wejdzie do tej skrzyni - powiedział, gdy Ivo zatrzasnął jedno ze skrzydeł drzwi. - On ciągle jest przecież martwy.

Kiwnąłem głową i przelałem przez barykadę skrzyń. Zobaczyłem Claude'a siedzącego na brzegu otwartej skrzyni. Wskazałem palcem na nią. Kiwnął głową i zniknął w środku. Ivo zatrzasnął drugie skrzydło drzwi i musiałem po omacku przedostawać się poprzez skrzynie do tyłu paki. Usłyszałem Nicka przesuwającego się w moim kierunku i po chwili jego ręka trafiła na moje ramię. Usiadł obok mnie. Czekaliśmy aż Ivo i Robin włożą do kabiny ekipę z Nitli. Potem Robin miał im nakazać obudzenie po dziesięciu sekundach, a sam ukryć się. Zamknąłem oczy i nadstawiłem uszu. Usłyszałem trzask jednych i po

chwili drugich drzwi, a po kilkunastu sekundach jakiś hałas w kabinie. Gdy przyłożyłem ucho do ściany, warknął silnik i ruszyliśmy. Wyglądało, że plan jest realizowany bez odchyień Odczekałem kilka minut i zająłem się sprawdzaniem wyposażenia rozłożonego po kieszeniach. Zrezygnowaliśmy z toreb szczególnie że nie były nam już potrzebne linki i kotwy, latarki i wszelkie wykrywacze. Walkie-talkie zamieniliśmy na wszyte w kołnierze radiostacje. Została nam tylko broń, zapasowe magazynki i kilka drobiazgów. Najwięcej mieliśmy czasu. Mnie więcej czterdzieści minut. Większość spędziliśmy w milczeniu Nie wiem, o czym myśleli Claude i Nick. Ja usiłowałem wymyśleć sposób działania na wypadek wykrycia nas już przez pierwszy posterunek. Niewątpliwie powinniśmy przedrzeć się do ośrodka i opanować centrum. Jednak tylko na podstawie oglądanych zdjęć nie zdołaliśmy wytypować miejsca centrum. Zgodziliśmy się w końcu, że jest to któryś z mniejszych budynków na obwodzie nieco dalej od dużych hal. Claude optował za pojedynczym domkiem, stojącym zupełnie na uboczu, blisko bramy. W wielu sprawach nie osiągnęliśmy jednomyślności. Byliśmy jedynie zgodni, że gdyby co - to należy pozbawić Nitlę zasilania. Znalismy jednak tylko jedno jego źródło, a mianowicie grupę wiatraków na południowo-wschodnim końcu. Płaskowyzu Clementa. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem małą torebkę. Rozdarłem i po omacku wyjąłem wąsy. Po upewnieniu się, że trzymam je właściwie przykleiłem je. Z małego flakonika wylałem na dłoń kilka kropli i wtarłem we włosy. Powtórzyłem czynność kilka razy i trąciłem Nicka. Zapaliłem zapalniczkę i zaprezentowałem mu ciemnobrązową czuprynę. Skinął z aprobatą głową. Przykleiłem za uszami cienkie wałeczki z żelomastyksu, przez co małżowiny bardziej odstawały od czaszki. Czekałem, aż Nick skończy swoją charakteryzację. Wreszcie trącił mnie w kolano. Obejrzałem jego wyjaśniałe w kilka minut włosy i pogrubiony nos między zaczerwienionymi oczami. Mogliśmy to zrobić jeszcze przed zajęciem ciężarówki, ale chciałem mieć pewność, że żaden z obrobionej hipnotycznie ekipy nie rozpozna nas, kiedy znajdziemy się już w Nitli. Claude zgodził się tylko na wydęte wargi i małą bliznę na wysokości

ucha. Nie był znany w Nitli, a poza tym oficjalnie nie żył.

Minęło pół godziny. Poczuliśmy jak ciężarówka zaczęła wdrapywać się na Nitlę. Przechyliłem się przez barykadę pak i wymacałem skrzynię Claude'a. Chciałem... Nie wiem. Chyba chciałem dać mu sygnał do zamknięcia skrzyni, ale leżał już w środku. Wróciłem na swoje miejsce. Zacząłem odliczać czas. Nick trącił mnie w kolano, a gdy pochyliłem się do niego, znała moją dłoń i wcisnął końcówkę przewodu z ostrym grotem. Wymacałem otworek w rogu kołnierza i wcisnąłem tam grot

- ...dę spał chyba dobie! - Usłyszałem czyjaś deklarację kabiny. - Coraz bardziej jestem zmęczony tymi jazdami.

- Uważaj, żebyś się nie wyspał! - prychnął inny głos. - Znowu się okaże, że jest za mało ludzi i trzeba będzie trzymać wartość. Żeby jeszcze na zadku, to pół biedy, można się przespać ale na bramie...

- Nie płacą wam za spanie! - ostro szczeknął trzeci, chyba ten z czystymi rękami.

- Pewnie - szybko zgodził się drugi. - Ale przyznasz, że gdyby było nas więcej, praca byłaby lepsza.

- Lekką pracę możesz sobie znaleźć gdzie indziej, na przykład na balonach. Tu zaś płacą ci tyle, że mogą trochę wymagać.

- To prawda - wtrącił się pojednawczo pierwszy.

Silnik zmienił ton. Wóz zwalniał. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i zgrzytnął ręczny hamulec. Szczęknęły drzwi. Kierowca wysiadł jego głos ucichł, że nie mogłem odróżnić słów. Ktoś otworzył drugie drzwi. Słyszeliśmy jak pozostali dwaj wysiedli, a ktoś inny wsiadł do kabiny. Zamknęły się obie pary drzwi i zaległa cisza. Prawdopodobnie wartownik sprawdzał przebieg jazdy. Czekaliśmy dwie czy trzy minuty, potem drzwi otworzyły się i ktoś zeskoczył z kabiny. Głos kierowcy zbliżył się.

- ...może pięć minut...? Nie więcej.

- Dobra, wjeżdżaj. Wy, do raportu.

Kierowca wsiadł i uruchomił silnik. Wóz jechał teraz wolno.

Nie miałem kłopotu z nałożeniem trasy jazdy na plan osiedla. Gdy przystanęliśmy na chwilę, wiedziałem, że stoimy przed jednym z

czterech największych budynków. Metaliczny szurgot obwieścił otwieranie bramy, a po kilku sekundach ciężarówka otoczyła się do środka. Dźwięk silnika dostał lekkiego pogłosu i umilkł. - Trzasnęły drzwi kierowcy. Najbliższe chwile miały zdecydować o wariancie planu. Pierwsza minuta upłynęła we względnej ciszy. Słyszałem jedynie czyjeś kroki, jakieś stuknięcie. Nie dochodził na szczęście gwar charakterystyczny dla przygotowań do wyładunku. Wszystko układało się pomyślnie. Przejechałem dłonią, wzdłuż swojego przewodu i w przyssawce znalazłem mikrofon. Przesunąłem go na boczną ścianę i powróciłem do nasłuchu. Kroki oddaliły się, szcęknęło coś, a potem dobiegł głośny łomot. Przez dwie minuty słyszałem tylko swój oddech. Wysunąłem rękę i znalazłem kolano Nicka.

- Wychodzimy - szepnąłem.

W kieszonce wymacałem mały luminofor i zgmiotłem elastyczną końcówkę. W dłoni rozjarzyło się małe, zimne światełko. W jego blasku przedostałem się prawie bezszelestnie przez najbliższy stos, poczekałem na Nicka i razem dotarliśmy do skrzyni z Claude'em. Pokazałem Nickowi, żeby ją otworzył, a chwilę potem gestem ponagliłem Claude'a. We trójkę dotarliśmy do drzwi. Nasłuchiwałem jeszcze dwie minuty, a potem przyłożyłem do korpusu elektrosztaby wytrych i włączyłem go. Tym razem czekaliśmy tylko kilka sekund. Cieniutkie, seledynowe kreseczki zamarły jak w postawie na baczność. Pchnąłem drzwi i szybko zatrzymałem je, chcąc spenetrować przez szparę wnętrze magazynu. Było puste, przynajmniej od tej strony. Biegący pod sufitem ciąg okrągłych otworów dawał skąpe światło. Otworzyłem szerzej drzwi i zsunąłem się na podłogę, przykucnąłem i zajrzałem pod wóz. W zasięgu wzroku nic nie poruszyło się. Claude zsunął się za mną i wychylił zza paki z drugiej strony. Nick zeskoczył i zdjął z drzwi wytrych. Zamknął oba skrzydła i przełączył wytrych na zamykanie. Tylko on nie miał jeszcze broni w rękę, niecierpliwie przebierał palcami, czekając na sygnał zamknięcia. Pomachałem ręką, a gdy popatrzył na mnie, pokazałem, że obejde magazyn. Skinął głową i wziął pistolet w prawą rękę. Rozglądając się na wszystkie strony, obszedłem ciężarówkę. Gdy wyszedłem z drugiej

strony, Nick zdejmował akurat gruszkę wytrycha z drzwi. Pokazałem palcem na dużą bramę garażu. Prawie doszliśmy do niej, gdy nagle ciszę rozdarł głos zaserwowany przez bardzo mocny wzmacniacz:

- Nie próbujcie nawet! Rzucić broń i rozebrać się do naga. Macie dziesięć sekund!

- Do kabiny! - krzyknąłem i pobiegłem pierwszy.

Sądziłem, że uda się staranować bramę ciężarówką. Wskoczyłem na stopień i szarpnąłem drzwi. Dojrzałem jeszcze jak Claude przystanął na moment i rzucił swoją mikrobombę w stronę bramy. Zanim wybuchła, wskoczył do kabiny i trącił zapłon. W tej samej chwili gdzieś spod sufitu runęła na nas chmura żółtawego dymu. Zdażyłem wsunąć w nozdrza kuleczki filtrów i zrzucić nieprzytomnego Claude'a na drugie siedzenie, gdzie wytrzeszczający oczy Nick szamotał się z klapką kieszeni. Poczułem jeszcze w dłoniach chłód kierownicy, a potem grzmotnąłem czołem o klakson i jego przeraźliwy dźwięk towarzyszył mi w opadaniu w nicość.



Rozdział dwudziesty czwarty

W swoim życiu co najmniej kilkanaście razy obrywałem po głowie, tyleż razy wypróbowano na mnie bardziej lub mniej łagodnie wyprodukowane preparaty. Jakość paralizatora można określić po czasie wychodzenia z nieświadomości: im gorszy, tym trudniej odzyskać przytomność, tym szersza gama wrażeń towarzyszących, jak pieczenie pod powiekami, metaliczny smak w ustach, drętwienie palców albo całych kończyn, paralizator zastosowany w Nitli niby był dobry - żadnych przyjemnych doznań, ale jednocześnie dziwny - nigdy nie było mi tak zimno w głowę. Czułem, że leżę na czymś twardym, policzek i jedna dłoń dotykały czegoś szorstkiego. Musiała to być jakaś wykładzina, ale nie mogłem zrozumieć skąd ten chłód. Nie otwierałem oczu. Wzrok jest najgorszym ze zmysłów, gdyż zdradza odzyskanie przytomności. Węszyłem, słuchałem i dotykałem. I coraz bardziej się bałem. Wyobraziłem sobie, że mam odciętą czubek czaszki. Słyszałem kiedyś, że po inplantacji elektrod występuje często takie uczucie. Zduśliłem w sobie krzyk i wreszcie otworzyłem oczy.

Rzeczywiście leżałem na podłodze. Wykładzina była w nieregularny biało-czarny deseń. Kilka centymetrów od twarzy wyrastał z niej metalowy, błyszczący słup. Był zbyt blisko, żebym nie poruszając głową, mógł obejrzeć go dokładniej. Rozmywał się. Nieco dalej zobaczyłem drugi podobny. Nogi stołu. - Poruszałem gałkami ocznymi, ale reszta pozostawała poza zasięgiem spojrzenia. Podniosłem głowę i usiadłem. Byłem sam w pokoju cztery metry na cztery. Stół i krzesło były przyśrubowane do podłogi. Spojrzałem na pryczę i drzwi. Podniosłem

rękę i ostrożnie dotknąłem czoła. Przesunąłem najpierw wolno dłoń, potem śmielej przejechałem ręką po głowie. Byłem ogolony do skóry. Omal nie roześmiałem się głośno. Obiema dłońmi przejechałem po tarce na czaszce i zadowolony wstałem. Rozejrzałem się uważnie po pokoju. Sprawdziłem stół i krzesło. Były wręcz wlane w beton. Prycza wydawała się wygodna. Nie było okna. Dostrzegłem ryjki dwóch szerokokątnych obiektywów. A! Była też wąska rynna klozetu. Na szczęście nie musiałem jej wypróbować.

Zauważyłem, że jestem ubrany w coś zupełnie innego niż kombinezon, który tak chytrze wymyśliłem sobie trzy dni wcześniej. Teraz miałem na sobie obcisły trykot mieniący się wszystkimi barwami tęczy. Jęknąłem głośno. Musiałem w tym wyglądać jak ogon pawia po praniu w zbyt gorącej wodzie. Spróbowałem rozerwać tkaninę, wsadzając palec za kołnierz. Prawie złamałem sobie kark, lecz nie usłyszałem trzasku nawet jednego pękającego włókienka. Obmacałem całe ciało i choć to nieprawdopodobne, nie znalazłem ani jednego szwu. Kręciłem się w kółko świadomy, że dostarczam nieliczej rozrywki obserwatorom. Nagle spłynęło na mnie natchnienie. Przypomniałem sobie sukienkę Dei Goldleaf, sukienkę wyglądającą jakby się w niej urodziła, a jednak nadspodziewanie łatwo się zdejmującą i tak samo łatwo wracającą na ciało swojej pani. Musiałem być ubrany w coś podobnego - z tą różnicą, że Dea sama decydowała o swojej drugiej skórze. Podrapałem się po głowie i wskazałem kamerze rynną klozetu i swoje podbrzusze. Prawie wystraszyłem się, gdy w tej samej sekundzie coś przejechało mi po skórze nad wzgórkiem łonowym. Odruchowo wygiąłem się do tyłu. Pod pępkiem tkanina pękła i opadła do połowy ud. Złapałem za zwisający płat i szarpnąłem z całej siły. Wymusknął mi się z rąk i boleśnie uderzył w krocze. No dobrze. Machnąłem ręką i patrzyłem jak szew zrasta się na moich oczach. Po kilku sekundach nie było po nim najmniejszego śladu. Pokręciłem głową. Nagle poczułem podobne muśnięcie nad pośladkami. Ktoś zabawiał się niezłe moim kosztem, może nawet miałem szerszą widownię. Płat trykotu opadł, ale już nie próbowałem go oderwać. Musiałem wyglądać jak mandryl. Gdy

nadszpiewanie szybko kłapa zrosła się z resztą kombinezonu, usiadłem na pryczy i oparłem się o ścianę. Obojętność spłynęła na mnie niczym mgła na pola. W tej chwili nieważne było ani jak nas okryto, ani czy można było umknąć wpadki. Nie miało sensu układanie jakichkolwiek planów.

- Chce mi się pić - powiedziałem cicho. - I papierosa proszę.

Nic się nie wydarzyło. Zaskoczył mnie, a jednocześnie podniósł na duchu brak mikrofonów w celi. Nic mnie tak nie cieszy jak błędy innych ludzi. Może Claude miał rację? Podkurczyłem nogi, ale zaraz zerwałem się i podbiegłem do ściany z ledwo widoczną płytą drzwi. Na moment odchyliła się jakaś kłapka i na podłogę upadł zapalony papieros, tuż obok pacnęła papierowa mała poduszeczka wypełniona wodą. Chwyciłem najpierw papierosa i pociągnąłem mocno. Podły gatunek, pewnie jakiś miejscowy. Pomimo to wypaliłem go z ogromną przyjemnością. Niedopałek położyłem na stole. Sięgnąłem po wodę. Wypiłem ją szybko, nadmuchałem worek i pacnąłem węń z całej siły. Huk - taką miałem nadzieję - musiał poderwać na nogi obserwatora. Wynajdywanie cudzych błędów cieszy mnie tak samo jak robienie na złość. Odczekałem trochę, a potem przedarłem worek na dwa kawałki. Wszedłem na pryczę i bez trudu przykleiłem mokry papier do jednego obiektywu kamery. Gorzej było z drugim. Był zbyt wysoko. Podskakiwałem różnymi sposobami. Tymczasem papier wysechł. Naplułem na płat polimeryzowanej celulozy. Kolejny podskok dał zamierzony efekt. Obie kamery oślepiły. Poszukałem innych, niestety - albo nie było więcej, albo były schowane. Usiłowałem wyłamać kłapkę, przez którą wpadł papieros i woda, ale po kilkunastu nieudanych próbach zrezygnowałem. Wróciłem na pryczę, długo nie poleżałem - drzwi tygrysim ruchem uskoczyły w ścianę. W progu stanął mężczyzna o urodzie sycylijskiego rzezimieszka sprzed dwustu lat. Powiedziałbym mu to, gdyby i nie dwulufowa śrutówka w jego rękach. Nie poruszyłem się więc ani o milimetr. Wszedł pewnym krokiem do pokoju, a za nim wsunął się otyły, purpurowy na twarzy jegomość. Grubas podszedł bliżej i ujął się pod boki. Uniósł brwi i nagle strzelił mi w twarz czymś, od

czego łyzy połały się strugą grozącą odwodnieniem organizmu. Usiłowałem go kopnąć, ale zdążył oddalić się, jednak niezbyt daleko, - skoro zdołał jeszcze uderzyć mnie w obie skronie. Gdy przestałem prychać i wytarłem twarz w materac, cela była już pusta. Było mi to na rękę. Nie miałem zamiaru bić się z kimkolwiek, a szczególnie ze zwykłymi klawiszami. Odetchnąłem głęboko kilka razy i rozejrzałem się po celi. Papier z obiektywów zniknął - znów błyszcząły ironicznie. Podszedłem do stołu i wziąłem do ręki niedopałek, a właściwie jego filtr. Ostrożnie rozdarłem papier i wydostałem wstążeczkę z przesyconej nikotynowym smrodem puchatej tkaniny. Podzieliłem ją na dwie części. Jedną przykleiłem do kamery nad pryczą. Kleista smoła znakomicie spełniła funkcję kleju. Z drugą częścią podszedłem pod przeciwległą ścianę. Ostentacyjnie poczekałem chwilę, a ponieważ nikt nie nadszedł, podskoczyłem i już za czwartym razem trafiłem w obiektyw. Ucieszył mnie ten sukces. Rzeczywiście trening jest ojcem sukcesu. Przyszli po minucie - Sycylijczyk, Gruby i Furiat. Ten ostatni trzymał w ręce długą pałę. Począł aż Sycylijczyk ustawi się pod odpowiednim kątem, po czym wyrzucił z siebie:

- Co ty sobie, członie, myślisz? Na występy kurważ twoja, przyjechałeś?

Trząśł się cały. Najwyraźniej sytuacja przerastała go. Roznosiła go chęć przypieprzenia mi, a jednocześnie targała obawa przed złą oceną stanu rzeczy. Kiedy mówił, nadmiernie poruszała mu się warga. Gruby przeszedł za plecami operetkowego Sycylijczyka i zbliżył się do mnie z lewej strony. Wycofałem się pod ścianę.

- Gadaj! - wrzasnął cienko Furiat.

- Gównno! - zapiałem falsetem.

Furiat podskoczył dwa razy w miejscu, aż czubek pałki zatoczył koło. Gruby splunął na podłogę.

- Te! - zwrócił się do mnie. - Podskocz jeszcze raz i zdejm te syfy z obiektywów.

- On jest bardziej skoczny - wskazałem brodą Furiata. - Nie widzisz?

W tej samej chwili Furiat runął w moim kierunku. Gdy pała ze

świsłem rozpoczęła lot w kierunku mojej głowy, usunąłem się z jego trajektorii. Furiat zatoczył się i zasłonił sobą Sycylijczyka. Z dziką radością usłyszałem trzask łamanego żebra pod ciosem pięści. Zawył przenikliwie. Złapałem go i zasłoniłem się nim. Sycylijczyk wyglądał na zdenerwowanego. Gruby wysunął rękę i nie przejmując się Furiatem, strzelił w moją stronę strugą tego samego co przedtem świństwa. Zamknąłem oczy i wstrzymałem oddech, ale sporo mgiełki osiadło mi na twarzy. Rzuciłem wyjącego Furiata i odskoczyłem na osłep do tyłu. Zasłoniłem twarz dłońmi. Znów strzelił tym paskudztwem. Lał litrami. Kichałem i płakałem, usiłując jednocześnie wymierzać kopniaki i ciosy. Znakomicie schodził z linii, a mnie nie udało się ani razu. W końcu, chyba zmęczony już, zaniechał młócki.

Odpoczywałem dziesięć minut, a potem wyjąłem z rękawa część schowanego filtra i nie śpiesząc się, wszedłem na pryczę. Wolno podzieliłem strzęp na dwie części i jedną zakleiłem obiektyw. Drzwi do celi otworzyły się, gdy byłem w drodze do drugiego. Tak jak się spodziewałem, pierwszy wpadł Furiat. Nie miał do zaferowania niczego prócz prostego kopa z prawym sierpowym. Bez kłopotu podbiłem mu nogę tak, że się zatoczył, I a wtedy wyprowadziłem prosty w środek twarzy i drugi w żołądek. Zależało mi, żeby nie upadł i zasłaniał mnie przed bronią palną. Znakomicie mi się to udało. Odwróciłem Furiata i przytrzymałem przed sobą. Gruby z Sycylijczykiem przyglądali się wszystkiemu, stojąc na korytarzu.

- Dobrze. Czego chcesz? - warknął Gruby.

Takiego pytania nie zadaje się człowiekowi, którego przeznaczyło się do piachu. Możliwe, że tu, w Nitli, problemy rozwiązywane były inaczej niż na zewnątrz.

- Chcę rozmawiać z szefem tego klubu. Na pewno zainteresuje go, co się stanie jeśli w określonym czasie nie nadam określonego sygnału. Przedtem muszę się jeszcze upewnić, że moim kolegom nic nie dolega.

Gruby zacisnął wargi. Myślał kilka sekund. Nadął policzki i skinął głową.

- Puść go i chodź.

Cisnąłem Furiata do tyłu i ruszyłem, do drzwi. Sycylijczyk odsunął się i przepuścił mnie przodem. Korytarz był wąski na jedną osobę w ruchu jednokierunkowym. Gruby prawie ocierał się o obie ściany. Nie widziałem żadnych drzwi, aż skręciliśmy w lewo. Gruby przystanął przy małym monitorku. Zerknął sam, a potem wskazał mi go i odsunął się. Trzymał w ręce zwykłego colta 0,30. Popatrzyłem w ekran. Ujrzałem siedzącego Claude'a. Właściwie leżał. Ręce podłożył pod głowę i spoglądał w sufit - Odsunąłem się od ekranu. Gruby zrobił kilka kroków i wskazał drugi ekran. Tu odpoczywał Nick. Chyba spał albo świetnie udawał. Wszyscy żyli i trzymali się dzielnie. Gruby kapnął pytająco. Kiwnąłem głową. Ruszyliśmy w poprzednim szyku. Korytarz łamał się kilkakrotnie. Musiał to być spory budynek.

- Czekaj - powiedział Gruby, przystając przed jakimiś drzwiami.

Zatrzymałem się, ale dopiero wówczas, gdy doszedłem do drzwi, za którymi zniknął Gruby. Oparłem się o ścianę, kierując ucho w stronę płyty drzwi. Nie spodziewałem się zbyt wiele i dlatego prawie podskoczyłem, gdy wyraźnie usłyszałem:

- Nie mogę sobie z nim poradzić - skarżył się. Gruby. - Trzeba by mu przestawić zęby, ale jak ma nie być śladów...

- Ty kretynie! - ryknął ktoś. Rozpoznałem głos z garażu. - Trzeba było ich od razu rozwalić, a jak już nie, to przynajmniej pomyśleć, że trzeba to będzie zrobić później. A ty kazałeś ogolić im głowy, durniu.

- Przecież ustaliliśmy, że wszystkich tu golimy, żeby nie było kłopotu z odróżnieniem od obsługi.

- No to spróbuj teraz zafundować im wypadek drogowy. Szef agencji detektywistycznej i dwaj jego pracownicy rozbijają się samochodem. Tylko nikt nie wie, dlaczego wszyscy ogolili sobie pały. Już nie wspomnę o tym, że jeden z nich nie żyje od kilku tygodni. Och, jak bym cię kopnął!

- Dobrze - pojednawczo jęknął Gruby. - Poczekają kilka dni, włosy odrosną... W końcu jak się spalą to i tak włosy nie są ważne.

- Tylko w przypadku jeśli nie będzie żadnych wątpliwości, ale niech no męty coś zaczną podejrzewać, to najprostsze badanie da im powód

do rozmyślań. No i ten Scarrow...

- Przecież on nie żyje!

- Waśnie. Przynajmniej z nim nie będzie kłopotu. Zresztą i tak musimy ich wziąć na badanie. Kto wie, czy nie zostawili komuś adresu?

- No! - entuzjastycznie zgodził się Gruby. - To co? Pogadasz z nim?

- Jak już mu obiecałeś... Dawaj.

Schyliłem się, niby drapiąc stopę. Gruby wyszedł z pokoju z godną miną i niedbale coltem wskazał mi drzwi. Superman z pośladkami jak krowie wymiona. Wszedłem do pokoju, Gruby podążył za mną. Wszedł również Sycylijczyk. Trzeba przyznać, że zachowywał się najbardziej fachowo w tym gronie - zawsze ustawiony tak, że nawet przez myśl mi nie przeszło wyrwać się na wolność. Obejrzałem mężczyznę wygodnie rozpartego w szerokim, zachęcającym do drzemki fotelu. On również dokładnie mnie zlustrował, jakby wcześniej nie miał okazji. Jego głęboko osadzone, ciemne oczy przejechały po mojej sylwetce w tę i z powrotem. Był chyba mojego wzrostu, nieco szczuplejszy. Na kolanach ułożył biffaxa. Na pewno to był mój biffax. Zauważył, że przyglądam się pistoletowi.

- To pana - powiedział. Jego głos w niczym nie przypominał tego sprzed minuty. - Rzecz jasna na razie będzie u mnie. To chyba rozumiałe. Wkradliście się panowie na teren prywatny, chroniony ze względu na prowadzone tu badania prototypowych urządzeń kilku firm.

Co prawda znaleźliśmy przy panu licencję detektywa, ale jeśli mam być szczery, podejrzewam działalność konkurencji. - Zrobił przerwę, jakby dając mi czas na przyznanie się albo sprostowanie. Milczałem. -

Musimy, rzecz jasna, wyjaśnić co tu się naprawdę wydarzyło. To chyba rozumiałe? - Odczekał chwilę i nie widząc mojej reakcji, kontynuował:

- Kiedy okaże się, że jest pan naprawdę prywatnym detektywem, przekazemy sprawę do sądu i zapewniam, że dołożymy starań, by stracił pan licencję.

- A jeśli nie jestem? - zainteresowałem się.

- To skończy się na więzieniu. Musimy strzec tajemnicy firm, które nam zawierzyły.

- Prowadzę oficjalne śledztwo, a ślady prowadzą tutaj - wzruszyłem ramionami. - Nie interesują mnie wynalazki, zresztą, może nie pchałbym się tu gdyby nie to, że nie mogłem znaleźć właściciela terenu. Może pan mi wyjaśni, czy Płaskowyż Clementa jest terenem doświadczalnym firmy, kilku firm czy też poligonem, powiedzmy, poligonem do wynajęcia?

- Nie mogę panu niczego zdradzić - powiedział tonem pełnym ubolewania.

- A co pan może?

- Zależy o co panu chodzi.

- Moje ubranie albo jakieś inne, obuwie i papierosy. Chcę też być ze swoimi pracownikami. Poczekamy razem, aż się wyjaśni moja rola i zadanie.

- Obuwie, owszem - popatrzył na Grubego. - Papierosy również. Co do reszty, to przykro mi - rozłożył ręce, nędzny aktorzyzna. - Ale zapewniam, że to długo nie potrwa, dzień może... No i przypominam, że to nie ja wkradłem się do pańskiego domu, proszę więc się nie dziwić, że nie spełniam każdej pana prośby - wstał.

- Dobrze - powiedziałem. - Tyle wytrzymam. Ale proszę o swoje golden gate'y.

- Oczywiście - znowu spojrzął na Grubego. Tamten skinął głową. Ukłoniłem się elegancko i wyszedłem na korytarz. Ponieważ Gruby nie zdążył wyjść przede mną, prowadziłem pochód i umyślnie skręciłem w nie w tę co trzeba odnogę korytarza. Gruby, gdzieś zza pleców Sycylińczyka, zaniepokoił się.

- Hej! Nie tu!

Zatrzymałem się i odwróciłem. Teraz Gruby musiałyby iść pierwszy, a Sycylińczyk tyłem. Gruby zamamrotał coś i machnął ręką nad głową Sycylińczyka.

- Niech będzie! Niech pan idzie - nieświadomie przeszedł na „pan” wzorem dystyngowanego szefa. - Na drugim skrzyżowaniu proszę się zatrzymać.

Zyskałem jeszcze jedną informację. Posłusznie wykonałem polecenie i

inną drogą wróciłem do swej celi. Poczekiałem, aż Gruby wystuka na klawiaturze zamka kod i przypomniałem:

- Papierosy i zapalniczka.
- Zaraz przyniosę - powiedział jakby niezadowolony.

Odsiedziałem chwilę na krześle pod czujnym okiem Sycylijczyka. Kiedy wrócił Gruby, zrozumiałem dlaczego na moje żądanie zareagował właśnie tak - papierosy rzucił na stół, a potem sięgnął do swojej kieszeni i wyjął moje cudencko z „Higher than high”. Powstrzymałem się od uszczypliwych uwag, w końcu mógł mi dać zapalniczkę. W ogóle było tu nieco dziwnie. Nie mogłem zrozumieć, jak ludzie pozwalający więźniom podsłuchiwać swoje rozmowy, mogli utrzymać w tajemnicy istnienie Nitli. Gdy zostałem w celi sam, zająłem się przemyśleniem tego problemu. Przeanalizowałem możliwość wyjątkowo perfidnej gry oraz drugi wariant - niefachowość strażników. Miałem zbyt mało danych, żeby dojść do pewnych wniosków. Jednego jednak byłem pewien - zapalniczki nikt nie rozkręcał, a to było najważniejsze. Wypaliłem dwa papierosy, lecz nie do końca, bo chciałem sprawdzić działanie mojego klucza do wolności. Zadowolony ułożyłem się jak Claude i czekałem. Jeśli trafiłem na przeciwnika prowadzącego wyrafinowaną grę, należało odczekać, aby wykryć haczyk, jeśli zaś opiekowała się mną banda amatorów... to też miałem trochę czasu. Starłem się odprężyć. Zasnąłem.

Obudziło mnie krótkie potrząśnięcie za ramię. Otworzyłem oczy i usiadłem. Drzwi do celi były otwarte i stał w nich nie znany mi czterdziestolatek z moim elefantem w dłoni. Pistolet poznałem po żółtej kropce na końcu lufy. Zawsze go po tym poznawałem. Przeniósłem spojrzenie na Mosereda Goldleafa opartego o stół. Tę twarz znałem z niezliczonej liczby zdjęć i wywiadów, a także z materiałów, z którymi miałem doczynienia prowadząc moje śledztwo. Wyglądał nieco starszy niż na fotografiach. Miał szczupłą, wysportowaną sylwetkę, przeredzoną blond czuprynę, do ratowania której ściągnął posilki znad lewego ucha. Nosił jasny wąs. Spojrzenie jego piwnych oczu było inteligentne. Spomiędzy rozchylnych warg widać było niezbyt dobrze

utrzymane siekacze, co trąciło pewną kokieterią - stać go było na lepsze zęby. Wiedziałem, że jest wesoły, dowcipny, inteligentny i pewny siebie.

- A więc spotkaliśmy się, panie Yeates - powiedział. Od razu poznałem głos. Głos z korytarza jego pałacu w czasie party.

- Przypadek - zbagatelizowałem.

- Niepotrzebnie się pan przyczepił do mnie - kontynuował, jakby nie słyszał mojej dowcipnej riposty. - Przyczepił? - zdziwiłem się obłudnie. - Przesadza pan. Najlepszy dowód, że po raz pierwszy się widzimy.

- Usiłowałem pana powstrzymać przed wtykaniem nosa w nie swoje sprawy. Mógł pan się wycofać co najmniej kilkanaście razy - ciągnął jakbyśmy rozmawiali przez nie zestrojone radiostacje.

- Szczególnie wtedy, gdy zabił pan dwóch moich ludzi. Zresztą to pan pchnął mnie do śledztwa.

- Oczywiście - zgodził się. Po raz pierwszy usłyszał, co do niego mówię. - To był błąd. Nie mój, nawiasem mówiąc. Ale co się stało, to się nie odstanie.

Odwrócił się do mnie, obszedł stół i usiadł na krześle. Oparł się łokciami o blat stołu. Westchnął.

- Co pan wie? - zapytał. Odczekał chwilę i zerknął na ochroniarza w drzwiach. - Wyjdz. - Wyciągnął dłoń po elephanta i trzymając kolbę w dłoni, lufą w moim kierunku położył rękę na stole. Nie zwracał uwagi na minę czterdziestolatka. - Zdaje pan sobie sprawę, że już w tej chwili wiecie za dużo wyjść stąd nie możecie. Wasz los zdecyduje się w ciągu kilku dni...

- Muszą nam odrosnąć włosy - przerwałem z uśmiechem. - Właściwie tak - zgodził się. - Znowu niekompetencji personelu. Trudno jest znaleźć nawet za duże pieniądze kilkudziesięciu ludzi na tyle tępych, by nie zadawali pytań i na tyle inteligentnych, by nie trzeba było wciąż ich kontrolować.

- Wybacz pan, że będę okrutny, ale jakoś nie mogę panu współczuć. - Wzruszyłem ramionami i schyliłem się, by podnieść z podłogi papierosa. Goldleaf zareagował gwałtowniej niż przewidywałem.

- No? - krzyknął i szarpnął elephantem.

- Chcę zapalić - wskazałem palcem zapalniczkę i paczkę golden gate'ów.

Co za durnie - powiedział spokojnie i popatrzył w obiektyw kamery. - Dobrze, niech pan pali - odczekał aż przypaliłem i zapytał: - Czy pan jest do kupienia?

Pokręciłem głową, wypuszczając jednocześnie dym. Cienka mgiełka na kilka chwil oddzieliła mnie od szefa TEC.

- Nie po tylu zabójstwach.

Odchylił się w krześle. Elephant zniknął zasłonięty stołem. Puste, „szerokoogniskowe” spojrzenie Goldleafa skierowane było na mnie i jednocześnie gdzieś obok. Myślał chwilę. - No to co pan odkrył? Pytam z czystej ciekawości.

- Że TEC to właściwie PIC. To chyba wyjaśnia wszystko. - Strzepnąłem popiół na podłogę.

Ma pan rację, reszta to szczegóły - zgodził się. - Ale stawia to pana w beznadziejnej sytuacji. - Zrobił współczującą minę. - Która godzina? - zapytałem.

Zerknął na zegarek i zastanawiał się chwilę.

- Prawie szósta rano. Czy pana pytanie coś oznacza?

- Oczywiście.

- A co?

Pokazałem mu peta i wyciągnąłem dłoń w kierunku rynny sedesu. Kiwnął głową. Elephanta wycelował w okolice mojego mostka, Wyrzuciłem niedopałek i wróciłem na swoje miejsce. - Zabezpieczyłem się, rzecz jasna - powiedziałem, patrząc mu prosto w oczy. Nie zauważyłem oznak strachu czy zdenerwowania.

- I co? - zapytał spokojnie. - Wpadnie tu policja? Przeszuka Nitlę i wróci jak niepyszna. Nie znajdzie niczego. Musiałaby grzebać głębiej - wskazał palcem podłogę obok swoich stóp - a nie tak łatwo jest tam wejść. - Znowu odchylił się w krześle. Obliznął wargi. - Jeśli pan nie powie wszystkiego, jeśli nie dowiem się, w którym miejscu układ jest drożny, będę musiał zastosować drastyczne środki - poinformował mnie. - Nie mam wyboru.

- Ani ja.

- Czy to znaczy...

- To znaczy, że nic nie powiem. Chyba że zakończy pan zabawę z czasem i ogłosi światu szczegóły swojego wyczynu. W końcu to tylko kilka zabójstw i kilkanaście porwań. Sztab prawników załatwi panu najwyżej dożywocie, a może tylko dwadzieścia pięć lat.

- Ron! - zawołał Goldleaf. Drzwi otworzyły się natychmiast i do celi wszedł czterdziestolatek. - Pan Yeates domaga się środków rozluźniających jego upór. Pozostałych na razie nie ruszać. Będę u siebie.

Wstał i wyszedł, po drodze oddając elefanta Ronowi. Ten chwycił go z wyraźną radością. Czułem, że ma zamiar mnie uderzyć. Odchyliłem się i wystawiłem do przodu nogę.

- Tylko mnie rusz! - ostrzegłem. - Może nie będzie to długa walka, ale szef się nie ucieszy. Ciągłe narzeka na durny personel.

Zatrzymał się i wycofał tyłem na korytarz. Stamtąd warknął

- Chodź!

Rzuciłem papierosy na stół i wyszedłem na korytarz. Mój konwojent lufą wskazał kierunek marszu. Poszliśmy w przeciwną niż cele Claude'a i Nicka stronę. Nie skręcając nigdzie dotarliśmy do czwartych z kolei drzwi. Stał przy nich leniwie żujący gumę tępy osiłek uzbrojony tylko w drewnianą pałę. Małe oczka zapadnięte w głąb czaszki nie były - przy dokładniejszym przyjrzeniu się - pozbawione sprytu. Zrozumiałem, że mielenie gumy w zębach pozwalało mu panować nad sobą. Na razie był najniebezpieczniejszym ze znanych mi strażników. Ron dźgnął mnie lufą w kręgosłup, gdy zwolniłem przed drzwiami. Osiłek przyłożył mi pałką w ramię, tak że straciłem władzę w prawej ręce. Gdy pchnięty wtoczyłem się do pokoju, powtórzył uderzenie, lecz w lewe ramię, a Ron z radością w oku dodał swoje dwa razy otwartą dłońią, po czym wyszedł. Osiłek wskazał pałką olbrzymi fotel z mnóstwem pasów. Usiadłem. Fachowo przypiął mi każdą rękę trzema pasami do oparcia, założył pasy na korpus, uda i golenie. Mogłem poruszać tylko palcami stóp i głową.

- Zaraz przyjdzie tu Wzgórze Miłości - rzucił zadowolony.

- Nie pytałem cię o nic - powiedziałem.

- No to co? Informuję cię, żebyś się nie zdziwił. Wzgórze Miłości to nasz najlepszy fachowiec od szeroko pojętej medycyny i znakomity lekarz. Wiesz... - nalał sobie soku z gigantycznej butli i napił się - ...kiedyś wyjmował kulę z szyi jednego z naszych. Wyobraź sobie, że robił to scyzorykiem, w samochodzie telepiącym się po gruntowej drodze i przy świetle zapalniczki. I wiesz, że zrobił to znakomicie?! Jedyny feler to to, że tą zapalniczką paskudnie przypalił pacjentowi ucho, ale to już nie jego wina. Tak, bracie, Wzgórze Miłości to jest ktoś.

Czekaliśmy kilka minut. Potem drzwi zostały otwarte zwykłą mechaniczną klamką i wszedł Ron oraz Wzgórze Miłości - niski, pokraczny garbus z ponurą twarzą o gładkiej, napiętej, pergaminowej skórze. Obrzucił mnie spojrzeniem i począpał do stojącej za fotelem szafki. Słyszałem brzęk szkła i jakichś drobnych metalowych przedmiotów. Ron oderwał triumfujące spojrzenie ode mnie i popatrzył na garbusa.

- Hej! Na razie bez żadnych dodatków. On ma żyć jeszcze jakiś czas. I bez śladów.

- No to czemu, do nagłej kurwizny, nie mówisz tego od razu?! - wściekł się Wzgórze Miłości.

- Nie ciskaj się, zachowasz swoje wiruski na inną okazję, Może już za kilka godzin? - Zerknął na mnie, upajając się władzą.

Wzgórze Miłości nie dał mi czasu na walkę ze strachem. Podszedł do mnie z pneumoinjektorem w dłoni. Zręcznie maznął wacikiem po moim lewym nadgarstku i przyłożył igłę strzykawki. Poczułem lekkie swędzenie. Odetchnąłem głęboko.

- Neuropiryna - poinformował garbus i zniknął mi z pola widzenia.

Coś brzęknęło z tyłu, widocznie związał sprzęt. Swędzenie skóry na lewej ręce błyskawicznie przeniosło się na tors i nagle ogarnęło całe ciało. Napiąłem mięśnie, starając poruszyć się w fotelu i choć trochę potrzebę się o oparcie. Swędzenie szybko ustało, a zastąpiło je zimno. Wydawało mi się, że zostałem polany jakimś błyskawicznie parującym preparatem. Potem każdy milimetr skóry zapiekł jak polany napalmem.

Zwinałem się, przynajmniej chciałem się zwinać. Zacisnąłem powieki, bo światło uderzyło w źrenice. Mimo to miałem wrażenie, że ktoś z okrutnym uporem wciska mi pod powieki gęstą szczotkę cienkich drucików. Szarpałem głową, choć ten ruch wydziera mi gałki oczne z oczodołów. Każdy tyk powietrza przechodził do płuc niczym kłęb drutu kolczastego. Zęby jakby powiększyły się dwukrotnie i zaczęły nawzajem wysadzać się z dziąseł. Każdy kawałek dała ogarnął piekielny ból. Mózg zawirował w czaszce ale jakaś cząstka zachowała zdolność myślenia, skoro zdawałem sobie sprawę, że kretyнки komórki budują mój organizm na nowo według absolutnie idiotycznego wzorca - oczy znalazły się na poziomie podłogi jakby wskoczyły na miejsce palców stóp i serce uderzało nierytmicznie na wysokości kolan, powietrze z trudem dostawało się do płuc, na których siedziałem, przez jamę ustną na plecach, język bełtał się w miejscu kciuka. Mózg rozpuszczał się - nie zostało dla niego miejsca w nowym Owenie Yeatesie. Został tylko ośrodek bólu, który wył, wrzeszczał skowyczał, jęczał, piszczął, chrypiał, szlochał, charczał. Niektóre części i organy ulatywały w powietrze utrzymywane tylko na cieniutkich niteczkach nerwów rozciągających się z ponurym trzaskiem. Przestałem oddychać, krew ścięła się w kolczaste wielowymiarowe gwiazdki. Naczynia krwionośne darły się na strzępy, przebiegając pod wymyślnymi kątami. Umarłem. Wszystko zamarło. Ktoś potężny nakazał całkowitą ciszę i absolutny bezruch mojemu nieforemnemu ciału. Zamarły zdziwione gwiazdeczki krwi i schowały swoje ostre kolce. Wiszące gdzieś z boku serce wolno wróciło do kolan i delikatnie pompowało powietrze. Płuca wstrzymały wydzielanie palącej żółci, a wątroba i nerki rozplatały się i rozejrzały dookoła. Oczy przestały uderzać niczym piłki tenisowe o podłogę, grzecznie wskoczyły pod powieki z paznokci i ostrożnie wyjrzały. Zobaczyłem ogromny rybo-smoczy pysk i usłyszałem: - Kto cię naprowadził na TEC?

Język ochoczo zadrgał, zwinał się jak lizus pragnący udzielić prawidłowej odpowiedzi i zaczął:

- Bo... Boj... Boni! Bonnie Le Fay! I jej chłopak. A potem Saul Bogg ale on nie żyje. Rozmawiałem także z Lyndonem Pinnigerem, trochę z

Douglasem Sartissianem. Parę osób wie, że prowadzę jakąś sprawę, ale nie mają pojęcia o co chodzi. To...

- Poczekaj! - ryknął rybo-smok. - Jak się zabezpieczyłeś? Z kim umówiłeś się? Kto was asekuruje?

- Nikt, nikt, nikt! - zaterkotał język. - To był blef. Jesteśmy tu sami i nikt o tym nie wie!

- Kłamiesz! - rybo-smok strzyknął mi w oczy śmierdzącym jadem, po czym odskoczył nieco i rozmył się w pasiastą plamę, - Dołóż! - Usłyszały oczy.

Jakiś piekielny sygnał uruchomił nagle zamarłą na kilka chwil aparaturę ciała. Zawirowało, zakotłowało się, każdemu ruchowi towarzyszyło uderzenie, tarcie, zgrzyt, kłucie, darcie, spalanie. Mógłbym tym bólem obdzielić cały świat. Wrzeszczałyby domy, zwijałyby się z bólu rzeki, płakałyby drogi i piszczwały drzewa, Wszystkie rodzaje męczarni uformowały sześcian, w którego centrum się znalazłem. Ściany zaczęły zwierać się, gniotąc mnie z każdej strony. Poczuję nagle ogromną siłę. Sformowałem ze wszystkich komórek olbrzymie gardło i wydałem ryk zdolny do wywrócenia góry. W widzialną strugę dźwięku wsunął się pysk rybo-smoka. Zamarłem.

- Kto was ubezpiecza? - Uderzył we mnie szpilą przenikliwego dźwięku.

- Nikt - wyartykułowało gardło. - Uwierz, że nikt!

Rybo-smok zniknął gdzieś w przestrzeni, coś zamigotało przede mną. Zakotłowałem się cały, wpadłem w górę słodkiego lodu, cudownej kojącej pianki, w której wyraźnie wydzielić mogłem cyjanowodór, pistacje, gumit do opon, zefir i jeszcze kilkaset składników. Czułem je wyraźnie, mogłem dotknąć każdego, zanurzyć się w nim. Kołysałem się po kolei w każdym, odnajdując fragmenty siebie. Byłem. Zobaczyłem swoje spięte pasami uda i spuchnięte, fioletowe dłonie. Usiłowałem podnieść głowę, ale tylko zakiwała się na cienkich postronkach jak łąpek marionetki w ręce dyletanta.

- Odnieś go! - Usłyszałem z boku, a może z tyłu albo z góry.

W polu widzenia pojawiły się dwie dłonie. Sprawnie odpięły pasy

najpierw na nogach, potem coraz wyżej, tak że nie mogłem spaść z fotela. Ręce szarpnęły mnie i dźwignęły w górę. Osilek przytulił mnie do swojego boku i jedną ręką ujął pod pachę. Włókł mnie po korytarzu, a ja miałem tylko tyle siły, by pobierać atmosferyczny tlen. Wtaszczył mnie do celi i rzucił na łóżko. Skorzystałem z rozpędu i przewróciłem się na plecy. Głowa trafiła w ścianę i tak została.

- Pięknie śpiewałeś. - Uśmiechnął się opiekun. - Nie wiedziałem, że można w tak krótkim czasie sypnąć tylu ludzi. Ta Pyma, ten twój kolega z ZOO i dziennikarz, i dwaj policjanci. Różaniec trupów. - Pokręcił głową. - Będę musiał kiedyś poprosić Wzgórze Miłości, żeby mi to zaaplikował. Ciekawe, czy z każdego robi szmatę, czy tylko z takich gnojów jak ty.

- Znasz teorię dwu metrów? - wydusiłem z siebie. Z każdą sekundą czułem się lepiej. Garbus był rzeczywiście mistrzem w swoim fachu. - Znasz? - powtórzyłem.

- No, nie znam.

- Teoria ta głosi, że prawdziwy mężczyzna mierzy w sumie dwa metry, czyli wzrost plus długość członka. A ty ile masz wzrostu?

Zmrużył oczy i przyjrzał mi się. Nie wiedział, że czekam tylko na jego atak. Może wyczuł to, może nie był bydlakiem, w każdym razie odpuścił mi.

- Nie bądź taki do przodu - wycedził - bo cię z tyłu zabraknie.

Odwrócił się i wyszedł. Rozpoczął się żmudny proces odnajdywania swojego ciała. Poruszałem mięśniami. Najpierw poczułem fakturę materaca, a potem zimno w stopy i uznałem proces przywracania ciała właścicielowi za skończony. Nie było już na co czekać. Musiałem jak najszybciej wydostać się z celi i uwolnić Nicka i Claude'a. Przekręciłem się na łóżku z jękiem. Spod przymkniętych powiek zerknąłem na stół. Zapalniczka była na swoim miejscu. Odetchnąłem i sprzyłem się do skoku. Zamiast jednak skoczyć, zamarłem, czując jak serce zatłukło - pod blatem stołu ktoś przykleił w czasie mojej nieobecności małego zgrabnego perla 0,30. Zamknąłem oczy i jęknąłem jeszcze raz. Prowokacja nie miała sensu, dowcip - też nie za bardzo. Czyżby pomoc

kogoś z Nitli? Cela była przez cały czas otwarta. Nie miałem wyboru - musiałem w to uwierzyć. Zwłokłem się z pryczy i chwiejnie dotarłem do stołu. Trzęsącymi się palcami wydostałem papierosa z paczki, a gdy wypadł mi z ręki, przykucnąłem, by go podnieść i obejrzałem perlę. Usiadłem na podłodze i zapaliłem papierosa. Smakował wspaniale. Przrzekłem pozostanie w nałogu do końca swoich dni, ile by ich nie było. Wypaliłem do końca, co jakiś czas opierając czoło o blat i sycąc oczy widokiem broni. Potem szurając po stole jedną ręką, drugą sięgnąłem po perlę. Z zapalniczką w jednej ręce, a pistoletem w drugiej powlokłem się do drzwi. Gdy dotarłem do nich, oparłem się o nie czołem, a rękę z zapalniczką umieściłem na wysokości kasety z zamkiem. Zabelkotałem coś i w myślach poganiałem rekoder zainstalowany w zapalniczce. Mógł oczywiście być za słaby, mógł nie przejść przez ścianę. Mógł zostać wyjęty... Drzwi poruszyły się. Wyszedłem na korytarz. Pusto. Bezszelstnie ruszyłem w stronę celi Claude'a i Nicka. Do monitorka dotarłem bez przeszkód. Przycisnąłem zapalniczkę do zamka. Wytrych poradził sobie z tymi drzwiami jeszcze szybciej niż z moimi. Claude poderwał się i bez słowa skoczył do drzwi. Wcisnąłem mu do ręki zapalniczkę i wskazałem następną celę. Dopiero teraz sprawdziłem magazynek perla - był załadowany. Osiem strzałów. Przecisnąłem się między Claude'em a ścianą i czekałem na otwarcie drzwi. Gdy Nick wysunął na korytarz uśmiechniętą twarz, przywołałem ich skinieniem ręki i poszedłem pierwszy. Bez przeszkód dotarliśmy do drzwi, pod którymi podsłuchiwałem jak besztano Grubego. Monitor był zaciemniony, kodu nie znaleźliśmy. Zapalniczka jeszcze raz poszła w ruch. Tym razem trwało to długo, baterie musiały już być słabe. Zaciśnąłem zęby. W końcu zamek błysnął zielenią i gdy tylko szpara pozwoliła mi wcisnąć do środka rękę, zrobiłem to. Sekundę później byłem w środku i wciskałem lufę perlą w nos facetowi, który usiłował elegancko obsłużyć mnie kilka godzin temu.

- Wstawaj - syknąłem. - Ręce na boki sztywno wyprostowane.

Wykonał polecenie z gębą otwartą jak tunel kolejowy. Ruchem lufy wprowadziłem go zza biurka. Claude szybko obmacał go. Wyjął z

kieszeni biffaxa i sprawdził magazynek.

- Gdzie twoja broń? - zapytałem i pokręciłem muszką w nozdrzu.

- W szufladzie - jęknął.

Nick podszedł do biurka i z szuflady wyciągnął colta. Jak na razie wszystko szło po prostu rewelacyjnie. Nick znalazł w niższej szufladzie płaską butelkę bourbona. Na wszelki wypadek przyłożyłem otwór szyjki do ust gospodarza i wlałem w niego kilka solidnych łyków. Potem przekazałem butelkę do tyłu. Cichy bulgot i wdzięczne oddechy świadczyły o wykorzystaniu oferty. Potem Nick wsunął się za plecy eleganta i przyłożył mu lufę do czaszki. Odsunąłem się i pociągnąłem długi łyk. Odstawiłem butelkę i powiedziałem:

- Zaprowadzisz nas do windy. Chcemy dostać się na dół. Do uczonych - spadło na mnie natchnienie.

Wytrzeszczył oczy. Przycisnąłem mocniej lufę perla, aż wsunęła się głęboko w nozdrza. Ugięły się pod nim kolana, ale nie opuściłem ręki ani na milimetr. Z gardła wydostał się skowyt przypominający trzask dartej płyty laminatu.

- No? - ponagliłem.

Zdrętwiało mi ramię, zwolniłem mięśnie. Sekundy płynęły. Przymierzyłem się do drugiego nozdrza.

- To może być tylko przez wejście do szefa, ale nikt nie zna kodu.

- Prowadź, tym my się będziemy przejmować. Ty przemyśl tylko, czy chcesz być żywy. Idziemy.

Odrzuciłem go i wcisnąłem koniec lufy pod lewą łopatkę mężczyzny. Korytarz był wciąż pusty. Poprowadził nas z powrotem w kierunku naszych cel. Minęło co najmniej sześć do siedmiu minut od czasu, gdy otworzyłem drzwi swojej celi, a nikt nie reagował na nasze zabawy w centrum utajnionej Nitli. W pewnym sensie było to gorsze niż odstrzał. Minęliśmy moją celę i dopiero na skrzyżowaniu korytarzy przewodnik skręcił w prawo. Po chwili, na jeszcze jednym skrzyżowaniu, skierował się w lewo. Przysunąłem się bliżej jego pleców, lewą ręką dając znaki Claude'owi i Nickowi. Przeszliśmy dalsze kilkanaście metrów. Nasz przewodnik wyprężył szyję. Zza jego pleców zobaczyłem dwóch

strażników stojących po obu stronach drzwi. Bliższy nas już przenoślił w naszym kierunku wylot lufy peemu, drugi podrywał się z podłogi. Strzeliłem dwa razy, mierząc w bliższego. Jego seria poszła w przewodnika i częściowo górą. Upadłem na podłogę i strzeliłem jeszcze cztery razy. Claude i Nick również strzelali. Drugi strażnik uwalcił się na ścianę, miał cztery postrzały w pierś i dwa w brzuch, ale wciąż jeszcze podnosił lufę w górę. Wiedziałem, że jeszcze pół sekundy i uda mu się unieść ją na tyle wysoko, by śmiertelnym skurczem palca wysłać nas do krainy, gdzie czas nie odgrywa roli. Strzeliłem kilka razy, opróżniając magazynek. Ktoś strzelał za mną raz po raz, trafiając w ramię strażnika, które wisiało na strzępach mięśni. W końcu strażnik osunął się na podłogę. Przeskoczyłem leżącego bez ruchu przewodnika i chwyciłem peem. Claude i Nick ustawili się po obu stronach drzwi. Odsunąłem się pod przeciwległą ścianę i posłałem długą serię w zamek. Rozsypał się w kawałeczki, ale drzwi ani drgnęły. Ruchem lufy odsunąłem dalej Nicka. Claude podniósł drugi peem i odskoczył sam. Spróbowałem odgadnąć, w którym miejscu mogą znajdować się chwytaki zasuw i ostrzelałem oba te miejsca. Drzwi opadły o jakiś centymetr. Nick przyłożył do nich płasko dłoń i pchnął je w stronę Claude'a. Stałem na wprost, oczekując strzału z wewnątrz. Drzwi drgnęły i odsunęły się. Claude wcisnął w nie palce i szarpnął z całej siły. W odsłoniętym pokoju stał Mosered Goldleaf. Miał opuszczone ręce, puste dłonie. Patrzył na mnie w napięciu. Wolno przysunąłem się bliżej drzwi, starając się obejrzeć cały pokój. Najwyraźniej ktoś stał przy ścianie. Inaczej nie mogłem wytłumaczyć zachowania Goldleafa. Nick runął na podłogę. Zaraz za nim uczyniłem to i ja. Lufą peemu omiotłem pomieszczenie. Claude, opierając się prawym barkiem o ścianę przy drzwiach, obserwował korytarz. Pokój, był, jeśli nie liczyć Goldleafa, pusty. - Gdzie masz broń? - zapytałem.

- Może zachowajmy do końca pewne formy - zaproponował spokojnie. - Nie musi pan na mnie warczeć.

Niespodziewanie zrozumiałem, że nie boi się naszych luf. Najbardziej obawiałem się, że zdecyduje się na opór.

- Przepraszam - powiedziałem potulnie. - Gdzie pan ma broń?

- W tej szafce. - Wskazał gładkim ruchem ręki.

Znalazłem tam swojego elefanta i jeszcze dwa peemy. Wcisnąłem pod pachę rewolwer i kilka zapasowych magazynków do peemów. Nick uczynił to samo.

- Mógłby nas pan zaprowadzić do windy? - zapytałem.

Podszedł do biurka i wduśił jedyny przycisk. Niemożliwe aby było to tak proste, musiał już wcześniej przygotować się do tego ruchu albo planował ucieczkę na dół, a my przeszkodziliśmy mu. Ściana za biurkiem z cichym sykiem rozdzieliła się, na dwie części i rozjechała na boki. Duża kabina windy czekała na pasażerów.

- Proszę. - Wskazałem mu kabinę.

Wszedł pierwszy. Nick wsunął się za nim - nie bawił się w analizę psychologiczną jak ja - trzymał peema jednoznacznie wycelowanego w brzuch Goldleafa. Claude strzelił kilka razy w korytarz i wskazał mi windę. Wsiadłem do kabiny i położyłem rękę na przycisku. Wtedy posłał serię w obie strony korytarza i dwoma skokami dołączył do nas. Drzwi syknęły i kabina miękko ruszyła w dół.

- Co jest na dole? - zapytałem. - To znaczy, strażnicy, posterunki i tak dalej.

- Placówka przy windzie ma czterech ludzi. Jest i centrala strażnicza. Placówkę biorę na siebie - powiedział Goldleaf.

- Wybacz pan, ale moje zaufanie ma pewne granice. Właśnie je przekroczyliśmy. Nie liczyliśmy na pańską pomoc i będziemy postępować jakby jej nie było.

- Jak pan chce - powiedział i dodał szybko, bo winda zwalniała. - Przy drzwiach jeden strażnik, a po prawej za pancernymi szybami powinni być pozostali.

Nie miałem czasu zastanawiać się czy mówi prawdę, czy wprowadza nas w błąd. Kabina zatrzymała się. Drzwi otworzyły się. Wypadłem i wyrznąłem w głowę zaskoczonego strażnika. Claude i Nick minęli mnie, potrącając w biegu. Dopadli otwartych drzwi. Widziałem przez szybę, jak jeden ze strażników odrzucony serią z peemu upada plecami na

ścianę i osuwa się, zostawiając na niej krwawy ślad. Drugi zdążył złapać się za zmasakrowaną pociskiem twarz. Dwaj pozostali wyprężyli ręce w daremnej próbie dotknięcia sufitu. Odwróciłem się do tyłu. Mosered stał w drzwiach windy, uniemożliwiając jej jazdę do góry. Zerknąłem do środka. Nick ułożył strażników na podłodze i skuwał im ręce i nogi, tworząc wymyślny kłęb niezdolny do niczego prócz oddychania. Podeszedłem do Goldleafa.

- Dlaczego pan nam pomaga? - zapytałem.

Popatrzył na mnie. Ktoś kto wymyślił określenie „zmęczone spojrzenie” musiał przedtem długo patrzeć w takie oczy jak Mosereda Goldleafa. Wyglądał jakby miał dziewięćset lat i przez ten czas zbierał zmęczenie całego świata. Nie chciałbym dożyć chwili, kiedy w lustrze zobaczyłbym, że mam takie oczy.

- Pod trzema lufami trzeba być rozsądnym - powiedział.

- Przecież to pan podłożył mi perla. Pan zwolnił blokadę drzwi swojego gabinetu.

- Mam pewną filozofię. Jeśli muszę coś zrobić, to robię to - odpowiedział.

- Niech będzie - zgodziłem się. - Gdzie jest centrala?

- Korytarz na prawo, czwarte drzwi. Powinien tam być tylko jeden strażnik. Ale pośpieszcie się. Są tu możliwości bardzo przeróżnych sztuczek.

- Nick! Zostań tu i pilnuj windy, żeby nie odjechała na górę.

Zrozumiał mnie właściwie - wszedł do kabiny i niedbale przesunął lufę bliżej Goldleafa. Podeszedłem do przodu, ocierając się prawym barkiem o ścianę. Za mną posuwał się Claude. Dotarliśmy do załomu korytarza, minęliśmy pierwsze drzwi, drugie i trzecie. Wszystkie były zamknięte, choć miały monitory podglądowe. Czwarte były bez monitora. Przyłożyłem do nich ucho i słuchałem chwilę. Wydawało mi się, że słyszę jakiś krzyk. Ktoś powtarzał kilka słów. Odsunęliśmy się nieco i strzeliłem cztery razy z elephanta, starając się trafić w to samo miejsce. Efekt był znakomity. Dziura, przez którą przeszłaby piłka, odsłoniła wnętrze centrali. Zanim zdążyłem podejść, Claude wsunął przez nią lufę

peemu i wrzasnął:

- Otwieraj!

Skoczyłem, by go odciągnąć. Peem zatrząsł się, rzygając ołowiem. Głowa Claude'a szarpnęła się. Dotarłem do niego i trąciłem z całej siły w ramię. Peem wypadł z dłoni i stuknął o podłogę. Bezwład ciała Claude'a powiedział mi więcej niż dziura w twarzy tuż pod okiem. Bezmyślnie odciągnąłem go dalej i sprawdziłem puls. Claude był martwy. Usiadłem pod ścianą, tuż przy udzie miałem jego głowę. Zamknąłem mu oczy. Umarł drugi raz. Nie czułem nic. Nie powinno się dwa razy umierać, nie można wtedy liczyć chociażby na żal. Podniosłem głowę i spojrzałem na drzwi, skąd dopadła Claude'a śmierć. Nic się nie poruszało. Wstałem, podszedłem do drzwi i pochyliłem się lekko. Zobaczyłem leżącego na brzuchu mężczyznę. Jedna z wyciągniętych rąk sięgała do leżącego poza zasięgiem palców colta - ulubionej w Nitli broni. Przełożyłem głowę na drugą stronę otworu i rozejrzałem się. Było tylko to jedno ciało. Wyciągnąłem zza mankietu zapalniczkę i przyłożyłem do zamka, starając się nie dostać w przeswit dziury. Wykres na monitorce zafalował leniwie, zbyt leniwie. Obawiałem się, że baterie wyczerpały się nieodwołalnie. Czekałem, zaglądając do centrali i nasłuchując. W końcu przeskoczyłem drzwi, minąłem Claude'a i oglądając się za siebie, doszedłem do załomu. Przywołałem Goldleafa skinieniem dłoni. Nick odpiął kajdanki nieprzytomnemu strażnikowi, przypiął mu nogę do ręki za plecami i przeciągnął ciało tak, żeby blokowało windę. Dogonił Goldleafa, zanim ten doszedł do mnie.

- Zna pan kod do centrali? - stwierdziłem raczej niż zapytałem.

- Nie. Takie tu zasady - odpowiedział.

- Nie wierzę panu. - Elephant sam podskoczył mi w dłoni. - Claude nie żyje - powiedziałem. - Zabił go pan dwukrotnie. Nie mam żadnych oporów, przynajmniej w połowie wyrównam rachunek.

- Powiedziałem wszystko, nikt prócz aktualnej zmiany nie zna kodu. Wyznacza go losowo komputer po zmianie obsady.

- Jeden z tych skutych może być z centrali - powiedział Nick i szybko

wrócił do placówki.

Staliśmy na rozdrożu korytarza. Oderwałem spojrzenie od twarzy szefa TEC i zapytałem:

- Co tam jest?

- Laboratoria. A dalej ich mieszkania.

- Wszyscy tu są?

- Nawet więcej niż pan przypuszcza. Musieliśmy znaleźć im pomocników - poinformował beznamiętnie. - Są też dwaj naukowcy, którzy zginęli w katastrofach drogowych. Razem dwadzieścia dziewięć minut... - potrząsnął głową i poprawił się; - ...osób, rzecz jasna. Myślałem, ile jeszcze macie czasu, stąd te minuty - wyjaśnił...

- Komputer?

- Tak. Co jakiś czas żąda potwierdzenia sprawnego działania układu strażniczego. Nie wiem co ile, chyba też losowo.

Z placówki wynurzył się Nick i podbiegł do nas.

- Jeden rzeczywiście był z centrali. Nie żyje.

- Chodźmy - poszedłem pierwszy.

Gdy doszliśmy do ciała Claude'a, zatrzymałem pochód i sam dotarłem do drzwi. Strażnik nadal niedokończonym ruchem ręki sięgał do colta. Cisza. Przyłożyłem dłoń do zapalniczki, starając się ogrzać ją i być może zmusić baterie do wykrzesania jeszcze pół milivolta. Cztery falujące kreski wyprężyły się, ale wciąż nie mogły osiągnąć jednomyślności. Z otworu usłyszeliśmy nagle modulowany dźwięk. Uderzyłem kolbą elefanta w ścianę tuż nad zamkiem.

- Trzeba nacisnąć klawisz na ścianie - powiedział Mosered Goldleaf. - Piętnaście sekund.

Przyklęknąłem. Wyciągnąłem dłonie, oparłem je na krawędzi wyrwy, ale Nick gwałtownie pchnął mnie i przewróciłem się na plecy. Przykucnął przy dziurze i wsunął w nią dłonie z peemem. Perlisy ćwierkot przyspieszył, rozdzielił się na pojedyncze dźwięki. Ostatnie sekundy. Nick strzelił. Ćwierkot najpierw przyspieszył, a potem zamilkł. Nick zerknął na Goldleafa spokojnie stojącego obok Claude'a. Tamten skinął głową. Zacząłem zbierać się z podłogi. Wtedy drzwi syknęły i

otworzyły się. Nick wszedł pierwszy. Goldleaf nie czekając na zaproszenie, podążył za nim. Zdjąłem ze ściany zapalniczkę i zajrzałem do centrali. Nick stał przed klawiaturą komputera i trząsał w klawisze. Goldleaf podszedł do krzesła stojącego z dala od aparatury i usiadł.

- Która godzina? - zapytałem.

Ogarnął mnie jakiś niepokój. Coś w moim mózgu zaczęło swędzieć i podrygiwać niecierpliwie. Nie wiedziałem, dlaczego pytam o czas.

- Jedenasta dwadzieścia trzy - odpowiedział.

- Przepraszam, ale muszę mieć pański zegarek - wyciągnąłem rękę i podszedłem do niego.

Po raz pierwszy zareagował żywiej. Zmrużenie oczu świadczyło o jego zdziwieniu moim żądaniem. Bez słowa odpiął kilkudziesięciofunkcyjną deltę i podał mi.

- Czy są tu jakieś normalne ubrania?

- Nie. Te niezniszczalne stroje to jeden z elementów zabezpieczenia. Nie da się ich zdjąć, świecą w ciemności. Nie da się w nich uciec. Na dole też nie ma żadnych innych.

- Co mogą nam zrobić ci z góry?

- Nic - zadziwił mnie. - Z góry można tylko obserwować co się tu dzieje. Wszystko co tu jest, jest niezależne. Tyle że nie można wyjść.

- Aha. A zna pan ten komputer? - Przykro mi - pokręcił głową.

Gdyby nie natłok zdarzeń, gdybym miał czas na zastanawianie się, gdybym nie działał pod przymusem, zastanowiłbym się nad jego zachowaniem. Ponieważ jednak istniały te wszystkie implikacje, przyjmowałem na wiarę wszystko co mówił. Popatrzyłem na Nicka. Wyglądało, że nieźle sobie radzi z komputerem. Zobaczyłem na stole paczkę BM i szybko zapaliłem jednego.

- Możesz dać podgląd na pokoje? - zapytałem, wskazując ścianę wytapetowaną ekranami monitorów.

- Jeszcze chwila - odpowiedział Nick i wskazał swoje usta.

Rzuciłem mu paczkę i podszedłem do drzwi. Jednak nie wychyliłem głowy. Musiałbym wtedy popatrzeć na Claude'a. Tylko posłuchałem. Żadnych odgłosów. Coś jednak zmieniło się z tyłu. Obejrzałem się i

zobaczyłem rozjarzoną światłem ścianę monitorów. Pokazywały dwadzieścia cztery pomieszczenia, z których połowa była pusta - dziesięć pomieszczeń roboczych. Dwa pokoje były zaludnione. W dwóch laboratoriach ludzie stali naprzeciwko drzwi, widocznie to były te pomieszczenia, do których dotarły odgłosy strzelaniny. - Można do nich zagadać? - zapytałem Nicka.

- Mów - wduśił jakiś przycisk.

- Nazywam się Yeates - powiedziałem, patrząc w monitory. - Jestem detektywem. Dostałem się na wasz poziom i pomogę wam wyjść. - Prawie wszystkie postacie poruszyły się. - Zachowajcie spokój i słuchajcie. Zaraz pootwieramy wasze pomieszczenia. Na razie rozejrzyjcie się wokół siebie i w tych pomieszczeniach, gdzie nie ma nikogo z obsługi, żadnych strażników. Tam, gdzie jesteście sami, podnieście ręce. - Przerwałem i przyjrzałem się ekranom. Na niektórych od razu, na innych z opóźnieniem, ale w końcu we wszystkich pomieszczeniach podniosły się ręce. - Słuchajcie dalej. Specjalistów od komputerów proszę o przybycie do centrali. Natychmiast po otwarciu drzwi - Skinąłem na Nicka głową i dźgnął kilka razy palcem w klawiaturę komputera. - Pozostali, jeśli nie macie niczego istotnego do powiedzenia, proszę zebrać się w jakiejś jednej dużej sali. Na razie panujemy tylko nad tym poziomem, dlatego proszę rozważyć wszystkie możliwości wydostania się stąd. Czekam w centrali.

Nick wyłączył nagłośnienie. Obserwowałem, jak postacie na ekranach zawirowały w bezładnym ruchu - kilka ruszyło do drzwi i zobaczyłem je na korytarzu. To byli ci, co samotnie wysłuchiwali mojego komunikatu. Tam gdzie były co najmniej dwie osoby, najpierw rzucały się sobie w objęcia. Popatrzyłem na Goldleafa.

- To koniec TEC, koniec pańskiego imperium spowolnionego czasu. Pański krater stanie się hotelem albo cysterną na carboropę. Albo śmietnikiem. Zresztą to chyba pana specjalnie nie obchodzi?

- Zgadł pan. Jest mi to obojętne.

- Jak się czuje człowiek, który traci władzę budowaną kilkanaście lat, dla zdobycia której poświęcił majątek i życie pewnie kilkudziesięciu

osób?

- Może to pana zdziwi, ale nie odczuwam niczego prócz ulgi. Zresztą porozmawiamy o tym na górze. Jeśli dożyję - powiedział.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby pana więźniowie chcieli teraz szybko dokonać rozliczenia - wtrącił Nick.

- Ja też - powiedział Goldleaf i spojrzał na drzwi.

Stali tam dwaj mężczyźni. Byli ubrani jak i my z Nickiem. Wszyscy byli tak ubrani, a mężczyźni mieli również starannie wygolone czaszki. Nie udało mi się ich rozpoznać, choć spędziłem kiedyś nad ich fotografiami dwie godziny. Wskazałem pulpit komputera.

- Trzeba szybko przelecieć jego bank. Uniemożliwić tym z góry interwencję i ewentualnie znaleźć jakieś inne wyjście.

Patrzyli na Goldleaf'a i potem powoli spojrzeli na siebie. Widziałem, że doszli do porozumienia.

- Stać! - ryknąłem. - Gdyby to był jakiś numer, to skulibyśmy Goldleaf'a starannie. I wtedy nie miałibyście żadnych podejrzeń, co? Nie widzicie ciała na korytarzu? Tam leży facet, którego raz zabili na górze i drugi raz tutaj. Przy windzie znajdziecie trzech zabitych strażników. Uważam, że tylu wystarczy. Pomagacie nam czy nie? Jeśli nie, to spieszcie mi z oczu i czekajcie, aż nam się uda albo zostanieie w tych gatkach do końca spowolnionego żywota!

Starszy bokiem wszedł do centrali i nie patrząc na Goldleafa, podszedł do pulpitu. Drugi chwilę patrzył na mnie, a potem zniknął za ścianą korytarza. Poszedł w kierunku windy. Zapaliłem papierosa i zastanowiłem się. Znowu coś zaczęło mnie dręczyć jak piętnaście minut temu, gdy odebrałem Goldleafowi zegarek. Musiałem sobie coś przypomnieć, jakaś zadra poruszona słowem czy gestem dotkliwie kłuła świadomość. Usiadłem na stole. Położyłem obok peema i elephanta. Potrzebowałem chwili spokoju, kilku minut odosobnienia, żeby sobie uprzytomnić, czego domaga się mózg.

- Nick - zawołałem. Nachyliłem się do jego ucha i szepnąłem: - Idę do tej reszty. Gdyby coś się działo, wezwij mnie przez kanał ogólny. Pilnuj, żeby szefowi nie stała się krzywda.

Skinął głową. Podszedłem do leżącego na środku pokoju strażnika i dopiero teraz uświadomiłem sobie, że jego colt leży ciągle na podłodze, niezbyt daleko nóg Goldleafa. Przykucnąłem i popatrzyłem na Mosereda. Patrzył na monitory. Rzuciłem colta Nickowi i zdjąłem zabitemu pas. Założyłem go sobie i wsunąłem peem. W drzwiach zderzyłem się z drugim naukowcem.

- Ten w windzie usiłuje wstać. Ogłuszyłem go i położyłem w progu - zameldował.

Błyszczały mu oczy. Byłem pewien, że dołożył też tym dwóm skutym w placówce. Kciukiem wskazałem mu centralę. Poszedłem w kierunku sali, w której zgromadzili się pozostali amatorzy nieśmiertelności. Chyba byli wszyscy, ponad dwadzieścia osób, w tym cztery kobiety. Im na szczęście nie ogolono głów. Radosny gwar można by kroić na krążki i sprzedawać jako płyty. Umilkli, gdy stanąłem w progu.

- Owen Yeates. - powiedziałem głośno. - Czy tu są wszyscy prócz tych dwóch, którzy poszli do centrali?

Milczeli. Trochę się im nie dziwiłem - w tym opalizującym trykocie z peemem za pasem musiałem wyglądać niezbyt przekonująco. Zdenerwowałem się.

- Kogo nie ma? - wrzasnąłem. - Jeśli wam się wydaje, że jesteście już na progu swoich domów, to się głęboko mylicie. No?

- Prócz Spinksa i Normana są wszyscy - powiedziała jedna z kobiet.

- Dobrze. Jeszcze raz powtarzam: jest nas tu dwóch uzbrojonych, mamy Goldleafa i trzech żywych strażników. Nie wiemy, co się dzieje na górze. Czy ktoś ma pomysł, jak się wydostać stąd? Czy jest inne wyjście? Milczeli. Popatrzyłem na zegarek Za dziesięć dwunasta.

- To inaczej. Co wiecie o tych na górze? Ilu ich jest?

Cisza. Ta sama szatynka zrobiła pół kroku w moim kierunku.

- Kiedyś próbowaliśmy obliczyć obsadę. Jest co najmniej czterdzieści osób.

Westchnąłem i znów spojrzałem na zegarek Za siedem dwunasta. Poczułem, że muszę, że to bardzo ważne, być sam. Popatrzyłem w obiektyw kamery i pomachałem ręką. Natychmiast usłyszałem głos

Nicka:

- Tak?

- Czy masz podgląd na powierzchnię?

- Nie. Odłączyli wszystkie kamery.

- Idę do pokoju obok - odwróciłem się do zebranych w pokoju. - Proszę nie wychodzić stąd. Gdyby były jakieś polecenia, proszę wykonywać je bez wahania pod warunkiem, że zaczną się od hasła: „Mówi Bonnie”. Są pytania?

Lekki szmer powiał w moim kierunku, ale ponieważ nikt nie wyartykułował konkretnego dźwięku, nie zareagowałem i wyszedłem. Dopadłem pierwszych otwartych drzwi i wszedłem do pomieszczenia. To było jakieś małe laboratorium. Coś bulgotało w retorcie, uznałem, że nie będę mógł tu spokojnie się skoncentrować. Dopiero za następnymi drzwiami znalazłem spory pokój mieszkalny. Usiadłem w fotelu i poczęstowałem się papierosami gospodarza. Popatrzyłem na zegarek. Do dwunastej brakowało czterdziestu sekund. Nie odrywając wzroku od czarnej tarczy, śledziłem migotanie dziesiątych części sekund oraz cyferki rytmicznie odliczające sekundy. Doczekałem do dwunastej i gdy na moment tablo zdominowały zera po dwunastce, coś zaskoczyło w mojej głowie jakby odsunięto zasłony w ciemnym pokoju. Przypomniałem sobie rozmowę z Robinem na drodze, tuż przed wejściem do ładowni ciężarówki: „Czy zaasekurowaliście się jakoś?” zapytał. „Nie” odpowiedziałem niechętnie. „Nie chcesz tego robić? Czy nie możesz?” „Ani to, ani to”. „Masz kogoś, komu mógłbyś zaufać? Prawda?” „Mam”. „Chcesz, żebym go zawiadomił? Tak - wyrzuciłem z siebie. - Ale nie mogę tego zrobić”. „Boisz się, że wyduszą z ciebie informację i narazisz tę osobę?” Wyciągnął ze mnie wszystko co chciał, robił to delikatnie, ale czułem, że gdybym nawet chciał się opierać, złamałby mój sprzeciw jednym słowem. „Tak. Za dużo ludzi już zginęło”. „A jeśli zapomnisz o wszystkim? Nikomu nie sypniesz!” zapewnił mnie. „Dobrze - zgodziłem się z ulgą. - Douglas Sarkissian. Piętnaście, siedemdziesiąt osiem, trzydzieści dziewięć. Zadzwoń do niego jutro o dziesiątej i zapytaj, czy dałem znak życia. Jeśli nie, to niech

wpadnie do ośrodka na Płaskowyżu Clementa. Gdzieś tam mnie znajdzie”. Robin uśmiechnął się, widziałem jak jego ręka dotknęła jakiegoś przełącznika na piekielnej aparaturze. Usłyszałem: „Teraz zapomnisz o tej rozmowie. Przypomnisz sobie jutro o dwunastej. Jutro o dwunastej!” powtórzył z naciskiem.

Otrząsnąłem się. Siedziałem w pokoju, minęła dwunasta cztery. Doug, jeśli tylko żył, powinien coś zacząć robić. Tym bardziej więc musiałem aktywniej działać tu na dole. Wyszedłem z pokoju i skierowałem się do centrali.

- Czy można przestawić sygnalizację windy tak, żeby udawała, że stoi, a jechała do góry? - zapytałem mężczyznę przy pulpicie komputera.

- Nie wiem. - Zaskoczony moim pytaniem podrapał się w nos. - Nie jestem elektrykiem.

- No to chodźmy - powiedziałem. - Pan tu zostanie. Gdyby coś się działo, jesteście w windzie. Pan natomiast idzie z nami - popatrzyłem na Goldleafa.

W placówce znaleźliśmy komplet narzędzi. Kłęb ze splecionych ciał dwóch strażników zamarł w niewygodnej pozycji. Szybko zdarliśmy obudowę ze skrzynki sterowniczej. Obejrzelśmy układ. Jeśli nie było w nim żadnej pułapki, to sprawa była prosta. Uczony spisał się nadzwyczaj zręcznie. Gdy wszystko było gotowe, przetaszczyliśmy nieruchomego, choć przytomnego strażnika do placówki i wróciliśmy do kolegów.

- Pan i pan - popatrzyłem na Goldleafa i uczonego - jedziecie windą. Zatrzymacie ją na mój sygnał. My będziemy na dachu kabiny. Gdy dam znak, otworzycie drzwi, a gdy krzyknę, pojedziecie do góry. Jeśli zobaczycie, że coś jest nie tak... Jeśli nie będziemy dawali znaku życia, - natychmiast zjeżdżajcie na dół i blokujcie windę. Na górze są już moi znajomi i wyciągną was z tego.

- No to po co ryzykujecie? - rezolutnie zapytał jajogłowy.

- Nie przywykłem, żeby moje sprawy były załatwiane beze mnie - odpowiedziałem.

Nie dodałem, że Doug mógł po prostu nie znaleźć windy i odejść po starannej rewizji. Nie dodałem, że nie jestem pewien, czy w ogóle jest w

Nitli. Nick odkręcił klapę w dachu windy i wyjrzał przez nią. Potem podciągnął się na rękach i zniknął w otworze. Przeżyłem chwilę wahania, ale w końcu nie zostawiłem broni uczoneму, choć spoglądał na nią łakomie. Będąc już na dachu, przykucnąłem i szepnąłem:

- Jeśli zacznie się strzelanina, stańcie pod drzwiami. No jazda do góry i uważajcie na mój sygnał.

Uprzytomniłem sobie, że używam liczby mnogiej, jakby obaj byli więźniami. Jeszcze trochę a dam Goldleafowi broń i każę pilnować uczonych. Kabina bezszelestnie ruszyła do góry. Nick stał z głową zadartą do góry i peemem wycelowanym w szczyt kwadratowej studni. Klęczałem na jednym kolanie, spoglądając w górę i trzymając lewą rękę nad otworem w dachu, żeby w każdej chwili widzieli moje sygnały. Lekkim ruchem przygotowałem uczonego do zastopowania kabiny i gdy krawędź drzwi znalazła się dwa metry od dachu kabiny, machnąłem ręką. Udało się znakomicie. Krawędź drzwi mieliśmy na wysokości mostków. Nick przesunął się pod prawe skrzydło, ja pod lewe i machnąłem ręką. Drzwi syknęły i poruszyły skrzydłami.

W pokoju było ich czterech. Dwaj siedzieli na krzesłach naprzeciwko drzwi. Jeden dostrzegł, że drzwi otwierają się i zdążył posłać serię, ale mierzył za dokładnie - kabina zatrzymała się na ich poziomie. Nick nie dał mu czasu na poprawkę. Drugi padł do tyłu, nie oddając strzału. Po skosie, tuż przy drzwiach, stał trzeci. Wykreśliłem lufą małe kółko w powietrzu. Zrobił dwa kroki i zwałił się na podłogę. Czwarty, stojący tuż pod ścianą, na której znajdowały się drzwi do windy, uskoczył za biurko i seria Nicka poszła w mebel. On zaś zmusił Nicka do skoku w moim kierunku. Poczęstował ściany szybu prawie ciągłym ogniem. Kilka rykoszetów omal nie załatwiło nas. Nick upadł na podłogę i krzyknął coś do otworu. Kabina drgnęła i podjechała metr w górę. Pociski zza biurka ciągle szły w dół, tam gdzie powinny być nasze głowy. Wyjąłem zza paska elephanta i wysuwając tylko dłoń, wystrzeliłem dwa razy, po czym odrzuciłem pusty rewolwer. Nie był już potrzebny. Nick skoczył przez drzwi i skierował w biurko strumień ołowiu. Wskoczyłem również. Nick stał przy drzwiach. Kilkoma

skokami przemierzyłem pokój i zebrałem broń. Rzuciłem peem Nickowi, wymieniłem swój na inny i zostałem z dwoma pistoletami z prawie pełnymi magazynkami. Zerknąłem na biurko. Komp był, też załatwiony.

- Może zgasimy światło? - zapytałem Nicka.

- A te ubranka? - Splunął na podłogę, patrząc na korytarz.

- Racja. - Podeszedłem do drzwi i wyjrzałem, pochylając głowę do wysokości pasa Nicka. - Idziemy?

Odskoczyłem. Jakiś cień mignął na wylocie. Nick posłał serię, a ja słysząc jęk, ruszyłem w tamtym kierunku. Za zakrętem czekał facet, akrobatyczną figurą zamykając przejście - stopy wparł w złączenie ściany i podłogi, ramionami opierał się o przeciwległą ścianę, z szyi tryskała jasna krew. Kopnąłem leżący peem i przeskoczyłem nad jego kolanami. Strażnik opadł na podłogę. Kilka metrów przebyliśmy bez przeszkód. Potem korytarz rozdawał się. Mogliśmy pobiec w kierunku naszych cel albo gdzie indziej. Wybrałem to drugie i od razu przekonałem się, że wybrałem dobrze. Coś wyrznęło mnie w udo, a gdy posłałem do przodu długą serię w nadziei, że ukryję się za nią, zapiekło mnie przedramię. Nie przestawałem strzelać, przewracając się na bok i potem przekręcając z boku na brzuch. Drugą ręką wyrwałem zza pasa zapasowy peem. Na kilka sekund powietrze przed nami zgęstniało od trzech strug pocisków. Potem pierwszy peem umilkł, a Nick krzyknął coś. Przeskoczył przede mną i pobiegł korytarzem. Zerwałem się i pokuśtykałem za nim. Skrzyżowanie korytarzy Nick przebył w filmowym skoku - przeleciał jak tygrys, waląc z obu luf w tunel drugiego korytarza. Gdy dobiegłem tam, z dwu mężczyzn tylko jeden jeszcze się ruszał. Nick, lekko kulejąc, dobiegł do mnie. Teraz już obaj mężczyźni leżeli nieruchomo. Poszedłem pierwszy. Znaleźliśmy się blisko wyjścia albo okna, w każdym razie powiało nagle świeższym powietrzem i usłyszeliśmy jakieś krzyki. Potem zaskoczyła nas długa seria. Zaskoczyła, bo nie była skierowana w nas. Dotarliśmy do zakrętu korytarza, a gdy przyklęknałem i wyjrzałem, zobaczyłem dwa okna obsadzone przez pięciu mężczyzn. Poznałem ciekawskiego osiłka i grubasa, reszty nie

znałem. Przez otwarte okno dotarł do nas wzmocniony przez głośnik głos:

- Zostało wam piętnaście sekund! Poddajcie się.

Nie mieli jednak zamiaru skorzystać z propozycji. Wstałem i przeciągnąłem serią po nogach, nie starając się dzielić sprawiedliwie. Nitla znajdowała się poza obszarami, gdzie działały jeszcze pojęcia „po równo”. Padali na podłogę różnie, na szczęście wszyscy wypuścili broń. Nick przemknął obok i kopniakami poodrzucał od nich peemy i rewolwery.

- Poddali się! - wrzasnął w stronę okna. - Wchodźcie! Tylko nie postrzelcie nas.

Opuściłem lufę. Coś dużego, ciemnego, skulonego wpadło przez okno. To był Doug. Był jeszcze na tyle młody, że mógł sobie na to pozwolić. Zbliżał się do tego wieku, kiedy sprawność organizmu jeszcze przeciwstawia się myśli o nadchodzącej starości. Wylądował miękko. Za nim wskakiwali pozostali. Doug podszedł do mnie i uśmiechnął się paskudnie.

- Wiem, że stary mnie opieprzy jak nigdy w życiu, ale widok łysego Owena Yeatesa w tęczowych gatkach wart jest tego. Ma któryś aparat? - krzyknął do tyłu. - Dostaniemy premię od szefa.

Zobaczył plamę krwi na mojej nodze i poruszył brwiami.

- Mięsień. Nic ważnego.

- Poczekaj. Opatrunek! - krzyknął do tyłu.

Jeden z jego supermenów wprawnie odciął nogawkę i zlał ranę opatrunkiem. Gdy szukał w torbie xylocainy, wyciągnąłem do Douga dłoń.

- Daj papierosa - a gdy spełnił żądanie i zaciągnąłem się dodałem: - W podziemiach są wszyscy naukowcy, których od lat Goldleaf zamykał w Kraterze Zgubionego Czasu. To była jedna wielka bzdura. On też tam jest. Claude nie żyje.

- Co ty gadasz? Przecież zastrzelili go...

- Nie - przerwałem. Poczułem chłód na udzie i piekący dotychczas ból złągodniał. Fachowiec Douga schował iniektor i zapiął torbę. Nie

śpieszył się do jęczących pod ścianą obrońców Nitli. - Wtedy mu się udało. Chodźmy.

Zaprowadziłem go do biura z windą. Nie interweniowałem, gdy chłopcy z CBI skuli Mosereda Goldleafa, a potem dwóch pojechało na dół. Oparliśmy się o ścianę i zapoznałem Douga z całą sprawą, oczywiście tylko w skrócie. Pomiąłem kilka nieistotnych szczegółów jak wioskę grubasów i trojaczki. Co jakiś czas zerkałem na spokojnie stojącego Goldleafa. Trzej, chłopcy Sarkissiana utkwili w nim ponure spojrzenia. Nick podszedł i poczęstował go papierosem. Podziękował uprzejmie, nie otwierając ust. Nie jest łatwo to zrobić, ale jemu się udało. Nie mogłem znaleźć w sobie nienawiści do niego, tym z CBI przyszło to łatwo. Zazdrościłem im.

Na górze zaczęli się pojawiać poprzebierani za akrobatów naukowcy. Wrzeszczeli, płakali, klepali po ramionach chłopców Douga. Nie wiadomo skąd znalazła się płaska butelka z kukurydzianką. Festyn. Kilku rzucało inwektywami w stronę Goldleafa. Do nas podeszła znajoma już szatynka, która zachowywała się najrozsądniej. Była ponętna w tym obcisłym trykocie. Powinna tak chodzić stale. Potrząsnęła głową, aż włosy zafalowały na ramionach.

- Sądzę, że to panom jesteśmy winni wdzięczność - popatrzyła na Nicka i wróciła spojrzeniem do mnie.

- Myli się pani - pokręciłem głową.

- Ma pan rację, wdzięczność to brzmi idiotycznie. - Podeszła do mnie i pocałowała.

Czułem podniecający chłód jej warg długo po tym, jak wyszła z pokoju. W pewnej chwili usłyszałem teatralne westchnienie któregoś z komandosów Douga. Coś sobie przypomniałem.

- W Monachium spotkałem Gregory'ego Sandersa - powiedziałem. - Albo komandora Pritch'a - popatrzyłem na rozdziawioną gębę Douga i dodałem: - Już się nie dowiemy kogo.

Zamknął usta i odchrząknął dwukrotnie. Po raz pierwszy widziałem Sarkissiana zdumionego.

- Aha...? - powiedział. - No to miałeś rzeczywiście dużo roboty.

- Aha - potwierdziłem. - Słuchaj... Potrzebuję jakieś ubranie. Po pierwsze zdziżyły mi się te kolory, a po drugie muszę pójść do WC. Doug wskazał palcem jednego z chłopaków i tym samym palcem pokazał mu drzwi. Czekaliśmy parę minut, zanim wrócił z dwoma cienkimi kombinezonami w ochronnych kolorach. Poszliśmy z Nickiem do WC i pomagając sobie nawzajem, tnąc trykoty na strzępy wydostaliśmy się z nich. W kombinezonie poczułem się swobodnie, może nawet za bardzo. Wyszliśmy na zewnątrz. Było jasno, słonecznie. Po duszącym od prochu powietrzu korytarzy płuca z radością pochłaniały normalną mieszankę.

- Zaraz przyprowadzą szefa tego cyrku - powiedział Doug. - I jedziemy. Ekipa jest już w drodze. Będzie tu zabawy na kilka tygodni, jak sądzę. Łyknieisz? - wyciągnął w moją stronę ogromną piersiówkę.

Pomyślałem, że droga powrotna może być całkiem przyjemna. Pociągnąłem łąpczywie, ale nie na tyle by zdenerwować Nicka. Podawałem mu butelkę, gdy z budynku buchnęły strzały. Cztery. Rzuciłem piersiówkę i podbiegłem do drzwi. Wyprzedził mnie jeden z CBI i Doug. Zaraz za pierwszym zakrętem wpadłem na czyjeś plecy. Odsunąłem go i zobaczyłem leżącego na plecach Goldleafa. Czerwony bukiet rozkwitał mu na piersi. Patrzył na nas spokojnie. Przyklęknałem.

- Jakiś garbus wypadł na nas jak spod ziemi - powiedział cicho jeden z mężczyzn. - Przecież wszystko tu już przeszukaliśmy, ale musiała być skrytka... To nie nasza wina.

- Powiesz to szefowi! A na emeryturze przemyślisz to jeszcze raz. Żeby was...

Pochyliłem się nad Goldleafem.

- Coś jest nie tak, prawda? - zapytałem. - Gdzieś się pomyliłem?

Poruszył wargami. Podniósł głowę. Chłopak podtrzymujący go podparł mu ją.

- Goldleaf! Czuję, że coś jest nie tak. Pomóż nam!

Napiął mięśnie, wciągając powietrze do dziurawych płuc. Tymczasem dołączył do nas jeszcze jeden z CBI, niosąc torbę sanitarną. Rozsunął kolegów i grzotnął na kolana. Goldleaf spojrzeniem odrzucił jego

wyciągniętą rękę. Otworzył usta.

- To... nie jest... proste - powiedział niespodziewanie zupełnie wyraźnie. Miał zmęczony, suchy, mimo bulgotu w gardle, głos. Otworzył jeszcze raz usta i opadł na podłogę bezwładnie.

Poderwałem się z podłogi. Najchętniej uderzyłbym głową w najbliższą ścianę. Znałem ten głos z nieba! Znałem go nie z wywiadów! Przypomniałem sobie to samo zdanie wypowiedziane przez niego na party. To nie on był szefem TEC, to ten drugi głos! To był prawdziwy szef i jego głos też znałem. Co za idiota! Walnąłem dłonią w ścianę.

- Doug? Idziemy! - rzuciłem za siebie i skierowałem się do wyjścia. Gdy mnie dogonił, wydusiłem: - Zatrzymaj tu tych uczonych, nie przekazuj żadnych komunikatów. Udawajmy, że tu się nic nie stało. Polecimy do Krateru Zgubionego Czasu. Jak najszybciej zorganizuj lot. Niech w samolocie będzie sprzęt do poszukiwań geologicznych. Pośpiesz się! Będziemy łapali prawdziwego szefa TEC.

Dwoma skokami wyprzedził mnie. Wyszedłem na zewnątrz. Wycygałem od jednego z komandosów paczkę papierosów i paliłem jednego za drugim, siedząc na trawie pod ścianą budynku. Nick chyba chciał podejść do mnie, ale zrezygnował. Słyszałem jak oburzeni naukowcy rozwrzeszczeli się na wiadomość, że muszą tu jeszcze zostać. Dopiero teraz zauważyłem, że sto metrów dalej czterej chłopcy Sarkissiana, unikając wchodzenia sobie pod lufy, przechadzają się przed grupą stojących na czworakach dwudziestu kilku mężczyzn. Dwóch wypinało ku słońcu zady w kolorowych gatkach. Zrozumiałem, skąd mamy kombinezony. Po kilku minutach Doug z Nickiem podeszli do mnie.

- Czy dobrze zrozumiałem? - zapytał Nick. - On mówi, że Goldleaf nie jest szefem TEC. - Kciukiem wskazał Douga.

- Tylko nominalnym - powiedziałem przez zęby. Wyrzuciłem niedopałek. - Jeśli się nie mylę, musiał firmować to kurestwo. Ktoś inny jest bosem. Wszystko się wyjaśni w Kraterze - popatrzyłem z dołu na Douga.

- Zaraz będzie helikopter do lotniska. Za półtorej godziny powinniśmy

tam być.

- No to powiedz tym biedakom, że jeszcze dzisiaj uściskają swoje rodziny. Najwyżej za trzy godziny wszystko się wyjaśni.

- A może byś tak i nam coś powiedział? - syknął Doug.

Warkot śmigłowca rozległ się nad głowami. Naukowcy radośnie machali, przewidując odlot. Swoimi okrzykami prawie zagłuszyli ryk silnika, widząc że tylko szóstka wsiada do kabiny. Nie założyłem słuchawek i podczas całego lotu udawałem, że nie rozumiem zapytań Douga. Dziesięć minut później wskoczyłem pierwszy do samolotu i dopadłem WC. Zamknąłem się. Ktoś uderzył w drzwi czymś ciężkim. Potem dali mi spokój. Wsadziłem głowę pod kran. Szósty papieros już mi nie smakował. Poczulem kwas zalewający mi żołądek i śmierdzące błocko w ustach. Napiłem się wody i ponownie usiadłem na sedesie. Po dziesięciu minutach ktoś zapukał do drzwi. Otworzyłem je i poszedłem do kabiny.

- Uważajcie - powiedziałem, podłączając się do sieci pokładowej. - Oni mają wykupiony obszar nad Kraterem. Oblećcie go dookoła i zróbcie zdjęcia. Szukamy wyjścia z tej kuli. Musi być gdzieś jakiś podziemny korytarz.

Żałoga zabrała się do roboty. Nick spokojnie palił z leciutkim uśmiechem na ustach. Doug ostentacyjnie odwrócił się do okna i przez lornetkę obserwował teren pod nami. Zatoczyliśmy prawie półkole, gdy nagle jeden z towarzyszących nam mężczyzn ryknął w słuchawki:

- Jest! Długi na dwa kilometry. Przechodzi pod tymi trzema wzgórzami.

- Leć do wylotu - rozkazał Doug i odwrócił się do mnie: - Co tam trzeba zrobić?

- Jeśli jest tam jakaś załoga, to trzeba ją wykurzyć. Mam już dość strzelaniny - powiedziałem.

- A potem wejdziemy tam?

- Chyba macie tu spadochrony?

- Wy dwaj, do karabinów! - Doug wskazał palcem dwóch członków swojej ekipy.

- Szefie! - odezwał się pilot. - Może rakieta z paralizatorem?

- Jasne! - ucieszył się Doug. - Tak zrobimy. I przypomnij mi, żebym ci wskoczył na premię za dyskusję z przełożonym.

- Rozkaz! - radośnie zawołał pilot.

Przysunąłem się bliżej okna. Zza wzgórza wyłoniła się niewielka farma - spory dom i kilka małych zabudowań gospodarczych. Gruntowa droga, ale w niezłym stanie. Spod skrzydła oderwała się mała rakieta wyprzedzająca smugę spalin ze swojego silniczka, zatoczyła koło i pomknęła w dół. Zanim uderzyła w ziemię tuż obok domu, w ślad za nią odpaliła druga. Pilot przechylił samolot w ostrym skřęcie. Gdy wyszliśmy znowu na prostą, Doug mruknął: - Jeszcze ze cztery.

Wstałem i podszedłem do szafki ze spadochronami. Wyszarpnąłem jeden i zarzuciłem na plecy. Nick zrobił to samo. Doug rozejrzał się po kabinie i wskazał palcem trzech ze swojej ekipy. Odniosłem wrażenie, że jeden jakby skulił się, ale milczał. Wyskoczyłem drugi. Przedtem chwilę obserwowałem chłopca Sarkissiana, by ustalić kierunek wiatru. Nie miałem żadnych kłopotów. Przeleciałem, tak jak chciałem, nad kępą drzew i opadłem za największym budynkiem bez okien. Zrzuciłem szelki i z peemem w dłoni wszedłem na podwórze. Dwaj z ekipy Douga wpadli do domu, trzeci - ten, co mężnie skoczył, choć nie robił tego dotychczas, kulejąc wybiegł z za węgla i rozejrzał się po podwórku. Kiwnąłem na niego dłonią i wszedłem do obory. Zaraz za drzwiami przystanąłem i rozejrzałem się. Stał tu ciągnik - uniwersalny moloch najezony przystawkami i łączami. Obeszliśmy oborę, ale poza sprzętem nie znaleźliśmy niczego. Wróciliśmy do drzwi. Z domu wypadli dwaj z CBI, wlokąc pod pachy jakiegoś eleganta w garniturze. Ustawili go przed Dougiem.

- Szybko - jeden dźgnął mężczyznę pod żebro lufą.

- Tam. - Wskazał nosem wystającym pomiędzy wytrzeszczonych oczu.

Jednak obora. Tandem z CBI powlókł informatora do budynku. Poszliśmy za nimi. W środku elegant wskazał potężny stół roboczy i płaczącymi się palcami pogmerał przy imadle. Odśloniła się kasetka z

kilkoma przyciskami. Doug przysunął się bliżej.

- Co tam jest? - zapytał. - Szybko!!! - ryknął. - I prawdę, bo cię wsadzimy do młyna.

- Tunel - łamiącym się głosem szybko odpowiedział elegant. - Jest tam platforma na szynach, Osiem minut jazdy...

- Kto jest na końcu? - wtrąciłem.

- Balsam i Oppy.

- Tylko dwaj?

- Tak. Tam przecież nie ma prawie nikogo...

- Otwieraj! - pchnąłem go w kierunku kasety.

Trzęsły mu się ręce, ale trafiał w przyciski. Ściana tuż obok stołu wraz z półeczką i stojącymi na niej przedmiotami wysunęła się odrobinę do przodu i odjechała na bok odsłaniając ciemną rurę z płaskim dnem. Rozjarzyła się światłem, ukazując ośmioosobową platformę. Ruszyłem pierwszy. Usłyszałem jak Doug zleca pilnować eleganta debiutującemu spadochroniarzowi. Pozostali wskoczyli na platformę. Trąciłem dźwęk startowy. Silnik mruknął, z każdym metrem rozpędzając platformę i wydając coraz wyższy dźwięk. Nie rozmawialiśmy. Po siódmej minucie wziąłem do ręki dźwęk, ale platforma zwalniała już sama. Podniosłem się, ale ktoś z tyłu przydusił moje ramię.

- Siedz, bo cię palnę w łeb! - syknął Doug. - Nam za to płacą.

Szarpnąłem się, ale poczułem, że rzeczywiście gotów jest mnie ogłuszyć i zrezygnowałem. Gdy platforma zwolniła, dwóch ludzi Douga wyskoczyło w biegu i pierwsi dopadli drzwi. Waśnie zaczęły się uchylać. Ktoś za nimi stał. Jeden z agentów CBI był szybszy od tamtego. Gdy powoli weszliśmy, wartownik leżał skuty, otwartą głową celując w każdego wchodzącego. Drugi stał ze skutymi na plecach rękami. W dużym pokoju był komp, tablica rozdzielcza i kilka telefonów. Wróciłem do pierwszego strażnika.

- Gdzie są dziewczynki? - zapytałem, czując jak serce tłucze się pod żebrami.

Milczał. Zrobiłem szybki krok i wziąłem potężny zamach, by kopnąć go w krocze. Wrzasnął i zamachał nogami.

- Prawy korytarz! - krzyknął.

- Pójdiesz pierwszy - zatrzymałem nogę. - Jeśli coś tam na nas czeka, będziesz przewodnikiem również w zaświaty. Czy tu jeszcze ktoś jest?

- Nie ma. - Trzęsły mu się wargi, ale już się nie bał. Raczej dygotał z chęci zabicia mnie.

- Kiedy zmiana?

- Za siedem godzin.

- Kto tam jest? - Kiwnąłem głową do tyłu.

Zacisnął wargi i poruszył nimi. Nie czekałem aż splunie, tylko magazynkiem peema uderzyłem go w splot słoneczny. Osunął się z jękiem na podłogę.

- Co z tym drugim? - odwróciłem się do drugiego agenta.

- Potrzebuje wody - odpowiedział. - Już.

Szybko podszedł do szklanych drzwi i po kilku sekundach wrócił z dzbankiem wody. Chlusnął nią w głowę ogluszonego i odwrócił go na plecy. Mężczyzna poruszył kilka razy głową i zatrzepotał powiekami. Agent posadził go, plecami opierając o ścianę.

- Gdzie są pozostali? - zapytałem.

- Tu jesteśmy tylko my dwaj - odpowiedział, błędząc oczami po naszej piątce.

- A tam? Z dziewczynkami? - kiwnąłem głową w stronę drzwi.

- Tam? Tam jest tylko opiekunka - zdziwił się.

Doug pomógł mi wstać i otworzył drzwi. Mężczyzna poszedł pierwszy, niezgrabnie kołysząc ramionami. Doug okrągłym gestem wskazał mi drzwi. Dogoniłem strażnika i położyłem mu rękę na ramieniu. Oderwałem ją na chwilę, by odbezpieczyć peem i przetrzeć oczy. Poczujęm się zmęczony. Na szczęście nie było daleko. Może sześćdziesiąt metrów. Potem korytarz wpadł do dużej sali. Przewodnik wybrał jedno z kilkunastu drzwi. Jednym palcem wystukał na klawiaturze zamka 12 983 476. Pchnąłem go do przodu. Gdy drzwi otworzyły się, zamarłem zaskoczony. Wiedziałem jak olbrzymia jest kula, wiedziałem, że budując ją przewidywano pobyt kilkudziesięciu osób albo i więcej. Mimo to rozmiary sali oszołomiły mnie - boisko do

amerykańskiego futbolu zajęłoby tylko środek, całe obrzeże tworzyły różne pola. Ściany były oblepione sprzętem rekreacyjnym. Na jednej z węższych ścian dostrzegłem olbrzymi ekran oraz dwie małe i jedną dorosłą postać pod nim. Nabrałem powietrza.

- Hej! Dzień dobry! - wrzasnąłem na całe gardło.

Odwróciły się szybko. Poszedłem w ich kierunku, czując jak gęba wykrzywia mi się z radości. Widziałem, że patrzą na mnie ze wstrętem niczym na olbrzymią ropuchę, ale wcale mnie to nie peszyło. Jak miały patrzeć? Podeszedłem bliżej. Małe złapały się za ręce i przysunęły do opiekunki.

- Bonnie Le Fay, jak sądzę? - z radości stępił mi dowcip. - Nie poznajesz mnie? To ja uratowałem ci życie przy ostatniej próbie samobójstwa.

Wysunęła do przodu żuchwę i zmrużyła oczy.

- No? Słucham? - rzuciła zaczepnie.

- Będiesz miała swój życiowy reportaż - powiedziałem ciągle z idiotycznym uśmiechem na twarzy. Jedną z oznak starości jest częściowe tylko panowanie nad mięśniami. - Tam stoją trzej panowie z Central Bureau of Investigation i mój pomocnik. A ja jestem Owen Yeates, prywatny detektyw. Witam w normalnym czasie.

Bonnie jeszcze chwilę stała bez ruchu. Bezzradnie spojrzała na dziewczynki, a potem przeniosła wzrok na stojącą za mną resztę ekipy. Widziałem, że boi się jakiegoś podstępu. Trzasnąłem bezpiecznikiem peema i dużym łukiem posłałem go pod ścianę.

- Idziemy - powiedziałem.

Poszedłem pierwszy. Po kilku krokach dogoniła mnie Bonnie. Na wszelki wypadek trzymała się nieco z boku. Wyprzedziła mnie trochę i zajrzała w twarz.

- Zabiję cię, jeśli nas kiwasz! - powiedziała.

Głos jej drżał. Zaciśnięte pięści kiwały się na sztywno wyprostowanych ramionach. Skinąłem głową.

- Dobrze. Możesz zabrać tamten peem. Nie zwalniając, wskazałem palcem za siebie. Jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak pewien, że nic mi

nie grozi. Zerknąłem przez ramię. Dziewczynki szły za nami, ale bardzo wolno. Długo jeszcze nie będą ufały obcym mężczyznom.

- Zabierz te małe - poprosił Bonnie. - One tobie ufają. Nie męcz ich.

Wytarła łzy rękawem flanelowej koszuli i zatrzymała się. Wróciłem do czekających Nicka i Douga. Miałem ochotę uderzyć w twarz skutego strażnika. Czułem, że mógłbym go zabić. Tylko obawa przed opacznym zrozumieniem tego przez dziewczynki i Bonnie uratowała mu życie.

- Dajcie zapalić - wychrypiałem.

Usiłowałem odchrząknąć, ale ucisk w gardle rósł. Chciałem zakląć, chciałem zapalić, chciałem, żeby nikt nie widział, jak się wydurniam. Widzieli wszyscy. W końcu udało mi się zaciągnąć dymem. Napuściłem go sobie do oczu i długo tarłem je, zanim wszystkich zobaczyłem klarownie.

- To są córki Goldleafa. Siedzą tu osiem czy dziewięć lat. I Bonnie Le Fay. Na szczęście nie zabili jej, tylko zrobili opiekunką małych. A ich ojciec robił to, co musiał, by utrzymać córki przy życiu. - Wciągnąłem w płuca dym i wypuściłem z głośnym sykiem. - Na party u Goldleafa podsłuchałem kilka zdań wypowiedzianych przez niego i prawdziwego szefa TEC. Tylko że ponieważ znałem oba głosy, pomyliły mi się. Szefem jest Rem Wood. Myślałem, że jest tutaj. - Odwróciłem się do Nicka. - Tym razem nie idę na żadne układy z CBI - powiedziałem. - Teraz to już nie jest sprawa państwowej wagi. To pospolite przestępstwo na gigantyczną skalę i cała masa nieszczęścia i łez. I śmierci.

Sarkissian trzasnął bezpiecznikiem peemu i oddał go jednemu z agentów. Poruszył ustami, jakby chciał odgryźć, przeżuć i połknąć własne wargi.

- Skąd tu się wziął ten Wood? Cały czas była mowa o Goldleafie... - Wzruszył ramionami.

- Skurwiel zastosował podwójne zabezpieczenie i zmylił mnie - przyznałem. - Jeśliby nawet ktoś się przegryzł przez system zabezpieczenia, to i tak trafiał na Goldleafa, a ten musiał milczeć, jeśli nie chciał, by jego córkom stała się krzywda. Zresztą kiedy zdał sobie

sprawę, że trzeba było od razu walczyć z szantażem, kiedy na koncie prawdziwego TEC było już kilka morderstw, nie widział innego wyjścia jak czekać. Dlatego nie powiedział nam od razu w Nitli wszystkim. Podłożył mi rewolwer i na wszelki wypadek udawał, że to nie on. Pewnie miał nadzieję, że uda się uwolnić dziewczynki. Tylko tyle mógł zyskać. On sam był w każdym przypadku załatwiony.

- Ale jak dotarłeś do Wooda?

- Nie wiem. Intuicja. Najpierw myślałem, że uruchomiłem zbirów, bo dopytywałem się o Bonnie, ale to nie było to. Wood wystraszył się naprawdę dopiero wtedy, gdy dowiedział się, że był śledzony przeze mnie. Co prawda chodziło o sprawę rozwodową, ale nie był widocznie pewien, co przy okazji odkryliśmy. Zaczął na wszelki wypadek likwidować zagrożenie. W jakiś sposób przejął dowody zdrady i zmusił żonę, żeby wycofała sprawę. Zyskał na czasie, a gdy zorientował się, że spotkała się ze mną jeszcze raz, zlikwidował i ją. Sądzę, że nie będzie łatwo go odnaleźć.

- Wooda biorę na siebie! - Szybko zareagował Doug. - Zaraz zarządzę aresztowanie - zatrajkotał. - Wygrzebię go spod...

- Nie denerwuj się; nie będę go łapał - uspokoilem Sarkissiana. - Zakończyłem sprawę.

Nick otworzył usta, ale szybko je zamknął. Popatrzył gdzieś do tyłu. Odwróciłem się. Cała trójka przystanęła i patrzyła na nas. Dziewczynki miały spokojne, lecz zmęczone spojrzenia. Prawie biegiem ruszyłem pierwszy.



Epilog

Wspaniale panowała nad sobą. Cieszyłem się, że to ona nalewa do szklanek. Miewam dni, kiedy cieszy mnie byle co. Miewam dni, kiedy mogę wlać w siebie, jak dziś, butelkę, a mój organizm w jakiś przedziwny sposób dokonuje otorbienia każdego procenta i wydała go w przestrzeń kosmiczną. Nie przeszliśmy na ty i z tego również cieszyłem się. Gdyby zaproponowała to teraz, poczułbym się jak chłopak na polu golfowym, któremu rzuca się dziesiątkę za wyjęcie piłki z kępy kolczastych głógów.

- Musi pan wybaczyć dziewczynkom - powiedziała. - Musiałam zwolnić całą męską część służby, zresztą na razie nie wiem, jak wygląda mój majątek.

- Nie ma o czym mówić - powiedziałem. - Nie mówię o majątku, rzecz jasna. A reszta się ułoży. - Odmówiłem sobie ostatniego łyka i wstałem. - Cieszę się... - Przypomniałem sobie Mosereda i nie dokończyłem tak, jak chciałem: „że tak to się skończyło” - ...że dziewczynki czują się dobrze. - Zauważyła, że zmieniłem zakończenie zdania. - Przykro mi z powodu męża.

Dea Goldleaf podeszła do mnie. Wyciągnęła rękę i pogłaskała mnie po policzku. Wiedziałem, że nie znaczy to to, co zazwyczaj znaczy. Przytrzymałem jej rękę i pocałowałem. - Przepraszam za swoje zachowanie wtedy w bilardziarni - powiedziała. - Zle pana oceniłam i pewnie już nie byłam w pełni władz umysłowych.

Puściłem jej rękę.

- To powszechne. Najczęściej ludzie błędnie oceniają samych siebie, zazwyczaj lepiej niż powinni, a potem taka błędna ocena zaczyna

dotyczyć innych, lecz na minus. Jestem tego najlepszym przykładem.

Wyszedłem na szeroki ganek. Przystanąłem na szczycie schodów i zaczerpnąłem powietrza. Zszedłem na ścieżkę i ruszyłem do samochodu. Obszedłem chimerę i stanąłem twarzą do pałacu. W oknie pierwszego piętra zobaczyłem dwie dziewczęce twarze, a potem dwie niewielkie dłonie nad ich głowami. Uniosłem ręce, wysunąłem język i jego czubkiem dotknąłem nosa. Dawno tego nie robiłem, ale bardzo się starałem. Nigdy dotychczas nie zapłacono mi tak hojnie. Szybko wsiadłem do wozu, by zachować te uśmiechy w pamięci, szczególnie że miałem do załatwienia ważną sprawę i wiedziałem, że tylko w takiej niezrozumiałej euforii mogę to zrobić.

- Hm. Przyznam, że chyba po raz pierwszy spotykam się z taką prośbą.

Wiedziałem, że zastępca komendanta usiłuje bawić się w małą politykę, ale jego zachowanie wskazywało, że nie dysponuje niezbędną w takiej zabawie elastycznością i pokerową twarzą. W kółko mówił coś o swoim zaskoczeniu, o precedensie. Niemal przekonał mnie, żeby wyrwać mu z ręki moją licencję i wyjść, trzaskając drzwiami.

- I to teraz, kiedy stał się pan bohaterem narodowym? Kiedy ludzie zaczynają szanować ten zawód, któremu poświęcił pan...

- Czy to jest niezgodne z prawem? - przerwałem.

- Nie, nie! - zatrzepotał rękami, aż licencja wypadła mu z dłoni i po krótkim, płaskim locie uderzyła w szybę.

Taka to właśnie robota. Czternaście lat harówki i byle śmieć rzuca ci jedynym twoim osiągnięciem. Poczuję, że za chwilę grzmotną faceta i wtedy zabiorą mi po prostu licencję. Powstrzymałem się jednak. Wstałem.

- No to proszę przyjąć ode mnie oficjalną rezygnację z pełnienia szaczonej funkcji detektywa bez żadnych zobowiązań państwa i narodu wobec Owena Yeatesa. Biuro zlikwidowane. Żegnam.

Żałowałem, że nie mam kapelusza. Aż się prosiło o energiczne, wymowne załamanie rona ruchem a'la Humphrey Bogart czy Kio

Hawkshaw. Zszedłem na dół i wsiadłem do chimery zaparkowanej przed głównym wejściem. Pojechałem wolno do swojego - już nie mojego - biura. Tabliczkę zdjąłem rano i wyrzuciłem na śmietnik. Dotarłem pod drzwi i otworzyłem je pchnięciem nogi. Na pozór nic się nie zmieniło. Uprzątnąłem magazyn z broni palnej, resztę zostawiając następcy. Usiadłem przy biurku. Odłączyłem komp. Sięgnąłem do szuflady i wyjąłem puszkę Duke of Eternity i fajkę. Starannie oczyściłem ją, precyzyjnymi ruchami nabiłem i wrzuciłem razem z przybornikiem do kubła. Kolejny raz otworzyłem szufladę i wyjąłem służbową butelkę. Zostało w niej ledwo na dzień. Akurat. Wyrzuciłem bez żalu. Stuknięcie o dno kubła zbiegło się z sygnałem telefonu. Drgnąłem. Przeczekałem dziesięć sygnałów i podniosłem słuchawkę.

- Wyprowadzenie zwłok za chwilę - powiedziałem. - Niech się pan pośpieszy.

- Owen - jęknął Nick. - Ty nie masz pojęcia, jakiego ja mam kaca. Gadaj szybko, co zażyć, żeby być tak dowcipnym jak ty - mówił wolno, jakby na czubku głowy miał jajko.

- Skocz do Douga i dajcie sobie klina - zaśmiałem się, wrednie.

- Ty durniu, przecież masz wyłączony telefon, to Doug ekshumował połączenie. Jesteśmy jeszcze u ciebie w domu. Doug zaczął robić klina, ale chyba zemdlał na widok butelki. Pomocy!

- Musicie się przemóc. Zadzwońcie za dwa dni. Jakby się nie polepszyło, to zdradzę wam sekret. Zamówcie karetkę do baru „HTH”. Barman wam pomoże.

Odłożyłem słuchawkę. Było cicho. Jak zwykle. Jak zawsze. Wstałem i przeciągnąłem się.

- No to żegnam - zakończyłem elegancko.

Idąc do drzwi, uruchomiłem odkurzacz i to była jedyna rzecz, która mnie nie pożegnała bezruchem. Jego cichy, żalobny warkot słyszałem jeszcze obok windy. Uroczystości pogrzebowe zakończyły się na ulicy.

Włączyłem się do ruchu.

Długą chwilę stałam na rogu, patrząc na dom oznaczony numerem czternaście. Niby niczym nie różnił się od innych na tej ulicy - na pierwszy rzut oka był nawet mniej zadbane, szczególnie trawnik przed nim. Miał jednak w sobie coś, co sprawiało, że poznałbym go wśród kilkuset innych. A może tylko tak mi się wydawało. Wypaliłem dwa papierosy, zanim zdecydowałem się ruszyć. Odruchowo sprawdziłem, czy mam w kieszeni broń. Poklepałem Tebę i ułożyłem na tylnym siedzeniu. Przekroczyłem, furtkę i podszedłem do drzwi na szczycie dwóch schodków. Moja dłoń ominęła dzwonek i nacisnęła klamkę. Wszedłem. Nie starałem się iść cicho. Usłyszałem czyjeś kroki. Zbliżały się. Chciałem usiąść i udawać, że siedzę tu od kilku lat, ale musiałbym mieć co najmniej godzinę, by dojść do kanapy. Znowu pożałowałem, że nie mam kapelusza, aby mieć jego rondo, zająć czymś ręce. Udało mi się skrzyżować je na piersi. Każdy początek jest dobry.

Weszła Pyma, kierując się do okna. Powstrzymała się od krzyku, ale poderwała głowę, a gdy dotarło do niej, kto stoi w salonie, jedynie zdołała poruszyć wargami.

- Przepraszam. Naprawdę nie miałem zamiaru cię wystraszyć - powiedziałem. - Zaskoczyłaś mnie.

- Kto ci powiedział, że mnie wystraszyłeś? - wykrztusiła.

Uśmiechnąłem się idiotycznie. Usłyszałem, że chichoczę jak kretyń. O Boże!

- Fatalnie wybrałeś porę na odwiedziny - oświadczyła twardo. - Właśnie wychodzę.

- Aha. Wiem - bąknąłem. - To znaczy... Nie wiem... Byłem w pobliżu i tego...

Zerknęła w okno. Była zaniepokojona. Więcej - wystraszona. Nagle zrozumiałem, że czeka na kogoś. Fala spokoju spłynęła na mnie, odzyskałem pewność siebie.

- Mam prośbę. - Wsłuchałem się we własny głos. Teraz kiedy wiedziałem, że za chwilę ma tu przyjść facet, miał normalne, bardzo przyjemne brzmienie. - Prawie dwie doby jestem bez snu. Muszę się przespać przynajmniej cztery, pięć godzin. Przecież mnie nie wyrzucisz?

Podszedłem do kanapy i usiadłem z teatralnym westchnieniem. Nogi z wyraźną ulgą wyciągnąłem przed siebie. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem papierosa. Rzuciła się na mnie, gdy wypuściłem pierwszy kłęb dymu. Złapała mnie za rękaw koszuli i szarpnęła. Rękaw puścił. To nie materiał z TEC. Prawie upadła. Zacisnęła pięści na materiale.

- Owen! - Zesztywniałem słysząc ten ton. Była zrozpaczona. - Owen - powtórzyła, szukając słów. - Błagam cię, wyjdź stąd. Zadzwoń do mnie za godzinę. Tu niedaleko jest hotel, przyjdę tam. Ale teraz wyjdź! Wynoś się!!!

Poczułem się jak ostatnie bydło. Przez całe życie starałem się walczyć z ludźmi dążącymi do celu bez oglądania się na innych. Teraz stanąłem w ich szeregu. Nagle dotarło do mnie, jak łatwo jest żądać od innych realizacji własnych planów. Wstałem.

- Przepraszam cię. Naprawdę nie miałem zamiaru... - pomajtałem rękami. - Oczywiście łągałem o tym niewyspaniu. Zadzwonię.

Odwróciłem się do drzwi i wtedy jak w filmie grozy otworzyły się na oścież. Malec z wykrzywioną z wysiłku twarzą wpadł jak burza i jakimś cudem wyhamował. Przeniósł radosne spojrzenie z Pymy na mnie i przestał się uśmiechać. Zamarliśmy. Można by wyrzeźbić nas tak w marmurze. Mały miał twarz Pymy i jej oczy. Mimo zaskoczenia i poważnej twarzyczki, tryskały radością. Musiałem zaczerpnąć powietrza, ale nie przyszło mi to łatwo:

- Phil. - Usłyszałem z boku, z drugiego końca salonu. Miałem wrażenie, że z drugiego końca kontynentu, świata. - Phil... To... jest...

Mały strzelił oczami w stronę Pymy. Czuję, że zaraz wytnie numer, jakiego świat jeszcze nie widział. Jednak zaskoczył mnie.

- Wiem - powiedział z przekonaniem. - To przecież tatuś. Mówiłaś, że wróci w końcu z tej wyprawy. Tylko nie wiedziałaś kiedy. - Popatrzył na mnie surowo. - Długo tam się grzebałeś.

Dopiero teraz mój anioł stróż, prawie po czterdziestu latach życia, znalazł swój przydział. Postanowiłem rozliczyć się z nim później. Na razie odpowiedział mi odpowiednią kwestię:

- To była trudna wyprawa. Na szczęście zakończyłem ją pomyślnie... -

wzruszyłem ramionami. - No i jestem.

- Zostajesz - stwierdził, pochylając głowę.

Anioł stróż dołożył mi oko gdzieś z boku głowy. Nie musiałem więc jej odwracać, żeby zobaczyć jak Pyma kręci głową z szeroko otwartymi ustami.

- Wiesz... - chrząknąłem.

- Phil! - Pyma odzyskała głos. - Idź, umyj ręce! Szybko!

Phil zacisnął zęby, ale ruszył w stronę drzwi, z których przedtem wyszła Pyma. W progu odwrócił się i wyciągnął w moim kierunku wskazujący palec.

- Zostajesz!

- Phil! - krzyknęła Pyma.

Odwrócił się i wyszedł. Zebrałem resztki sił i podszedłem do niej.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - zapytałem świadomy, że mój szept nie przebiłby się nawet przez bibułkę. - Przecież... przecież...

- Masz swoje życie - odpowiedziała równie głośno. Cichy szum wody mąconej ruchami rąk mojego syna prawie zupełnie ją zagłuszał. - Nie umiesz żyć bez wtrącania się do spraw innych ludzi. Nie potrafisz...

- Potrafię! - przerwałem. - O! Już potrafię. Nie jestem już detektywem. Naprawdę.

Chwyciłem ją za ramiona i pociągnąłem do siebie. Zaparła się. Potrząsnęła głową.

- Nie wierz! Nie uwolnisz się od tego. Pewnie za chwilę dasz małemu do zabawy swój ukochany biffax. Na początek wyjmiesz magazynek.

- Nie mam broni. Nie zrobię mu nawet procy. Kupię mu cały wagon pluszowych misiów. Mam pieniądze!

Wyrwała się i wytarła oczy moim rękawem. Tupnęła nogą.

- Ty i pieniądze. - Wytarła nos w tenże rękaw. - Owen bez broni i z pieniędzmi!

- I jedno, i drugie to prawda. I będę miał jeszcze więcej - zaśmiałem się. - Nie wyjdę z domu ani na sekundę, a forsa sama spłynie do mnie. I mam psa... - dodałem.

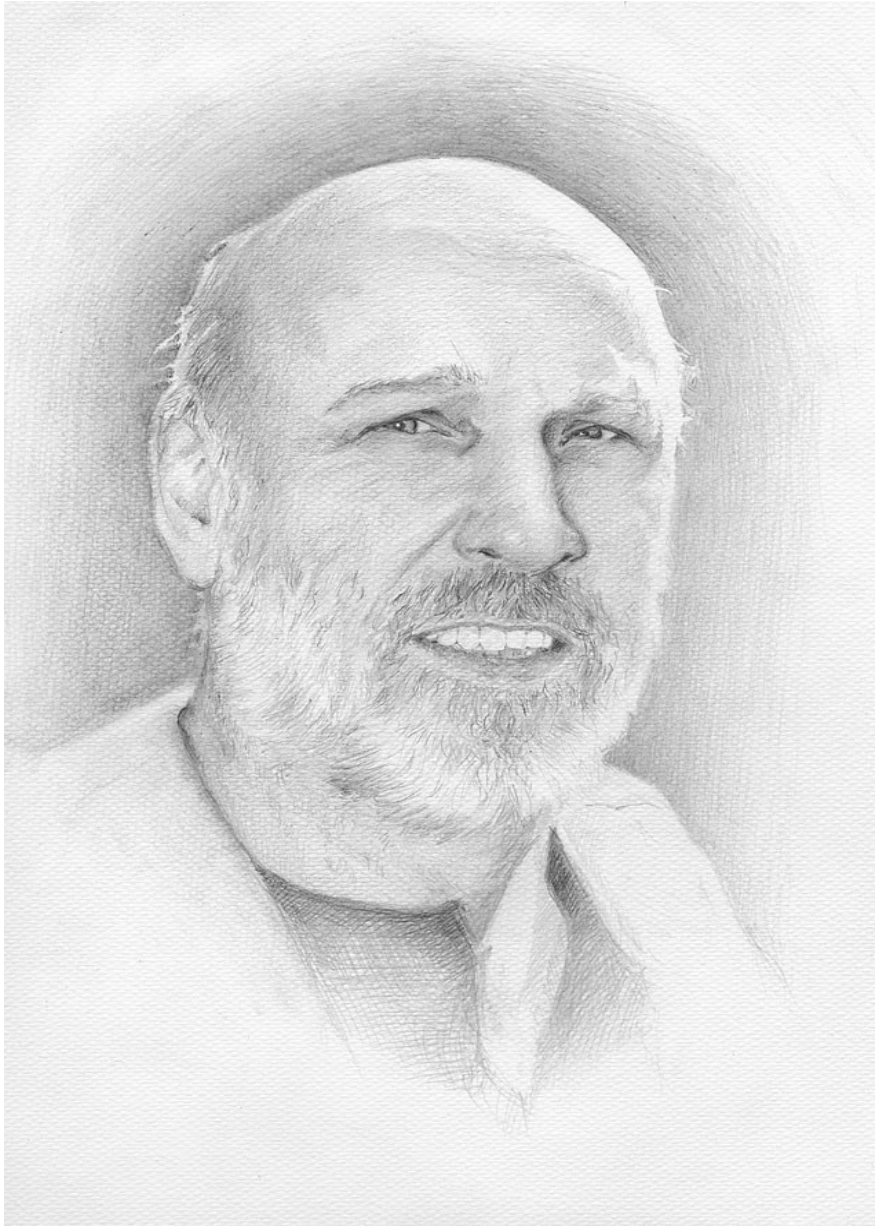
- A już prawie ci uwierzyłam - powiedziała Pyma.

- Zaraz podjadę tu wozem i pokażę ci psa i kontrakt. Podpisałem umowę na dwie powieści. „Kom, Agran i Welfare” zaakceptowali moje konspekty. - W łazience umilkł szum wody. Miałem mało czasu.- Jak Boga kocham! Mam już tytuły: „Ludzie z tamtej strony świata” i „Ludzie z tamtej strony czasu”.

- Literat się znalazł - szepnęła z miażdżącą pogardą. Podobnie jak ja nasłuchiwała czujnie. Spieszyła się. - Cholernie oryginalne. Jeśli taka sama jest...

- Zostaje-e-e-esz!

Po raz pierwszy w życiu czekałem z radością na „byka”. Przeliczyłem się. Nie mam wprawy. Pięcioletni chłopcy walą głową nie w żołądek.



Eugeniusz Dębski – wrocławianin, filolog rusycysta, tłumacz. Spiritus movens tarapatów Owena Yeatesa, prywatnego detektywa oraz niejakiego Hondelyka, rycerza. Ojciec założyciel magazynu internetowego Fahrenheit, w realu ojciec dwóch synów. Zdobywca Kilimandżaro i kilku wzgórz.

Laureat Śląkfy, czterokrotnie nominowany do Nagrody im. Janusza A. Zajdla. Dobrze poinformowane źródła donoszą, że jest jedynym pisarzem na świecie posiadającym aż dwie nagrody specjalnie dlań ustanowione: Nagrodę Mątwy i Srebrnej Muszli.

Owen Yeates, cholerny, cwany twardziel...

Faceci jak on zawsze tkwią drzącą w tyłkach innych. Do większości spraw stosunek mają - delikatnie mówiąc - analny. Jątrzą przeciwnika. Zamiast przeprowadzić fachowe śledztwo, stają przed lufą tak, by w odpowiednim momencie uchylić się i złapać wroga za rękę. Jeden na stu odnosi nawet sukces...

Rozrabiając na podwórku korporacji, która wmówiła sobie, że kontroluje nawet czas należy liczyć się z konsekwencjami. Poważnymi. Wpakowanie przeciwpancernej rakiety w furę Twojego kumpla czy wysłanie samobieżnych min to nie drobnostka. Bogactwo zastosowanych środków sugeruje, że ktoś wyraźnie sobie czegoś nie życzy. Tylko czego, skoro zaczęło się od niewinnego tropienia niewiernego męża...

FACECI JAK ON.
JEŚLI MAJĄ PRZYJACIOŁ.
TO O DOŚĆ POSPOLITYCH
IMIONACH W RODZAJU
JOHNNY WALKER.
JACK DANIELS.
GASPAR CAMPARI
CZY LUKAS BOLS.

Potrzebujesz
pomocy?
Zadzwoń:
555-help-me
prosić Owena

Już dzi
WD

Firma holenderska
fk
distributor
Jensh Classics

Patroni medialni

